



ELIZA ORZESZKOWA

Dziurdziowie


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ELIZA ORZESZKOWA

Dziurdziowie

WSTĘP

W ogromnej, wysokiej sali, aparat sądowy roztoczył całą wspaniałość swą i grozę. Był to zimowy wieczór. Zwisające od sufitu żyrandole i lampy, gorejące u ścian białych i gładkich, potoki światła lały na szkarłatne opony okien i stołów, na pstrocizną twarzy i ubrań tłumnie zgromadzonej dziś publiczności. W głębi zasiadali członkowie sądu, z boku, pod jedną ze ścian, na dwu wysokich i ozdobnych ławach, miejsca swe już zajęli przysięgli. U jednego z okien oskarżyciel publiczny, schylony nad obficie oświetlonym stołem, wczytywał się pilnie w rozwartą księgę praw, przy drugim sekretarz sądu, przerzucał stosy papierów. Urzędnik przeznaczony do strzeżenia porządku, w ubraniu zdobnym w złote hafty, szybkim i cichym krokiem przebiegłszy salę, z piórem w ręku usiadł na stronie. Wśród wielkiej ciszy, niezmaconej nawet powstrzymanemi na chwilę oddechami kilkuset piersi, przewodniczący sądowi, głośno i wyraźnie obwieścił zbrodnią, o którą podsądni oskarżonymi zostali. Nie było to przestępstwo, ale była to zbrodnia, straszna zbrodnia, jedna z tych która niekiedy, jak sny złośliwe i ponure przesuwają się przed udręczonemi oczyma ludzkości. Kim byli, do jakiej społecznej warstwy należeli, jak wyglądali ci nieszczęśliwi i okropni ludzie, którzy ją popełnili? Kilkaset oczu, jednomyślnie zwróciło się ku ławie obwinionych.

Naprzeciw wysokich i ozdobnych siedzeń sędziów przysięgłych, obrońca z urzędu, zamyślony, niespokojny, nerwowym ruchem ręki, ołówkiem kreślił na kawałku papieru jakieś luźne notatki. Tuż za nim, nad wysoką poręczą ławy, podniosły się i w pełnym świetle stanęły, cztery męskie postacie w więziennych długich szarych ubraniach. Przed chwilą weszli tu oni przez niskie drzwi, z-za których ukazało się całkiem prawie ciemne wnętrze, bocznej jakiejś sieni. Zdawać się mogło, że wychodzili z otchłani. Nizkie drzwi zamknęły się wnet za czterema uzbrojonymi żołnierzami, którzy, stanąwszy z obu stron ławy, zanurzyli sterczące nad ich głowami bagnety, w olśniewającym świetle lamp. Pomiedzy lśniącymi ostrzami bagnetów, twarzą w twarz z sędziami swoimi, w potokach światła, uwydatniających każdy rys i każdą niemal zmarszczkę ich twarzy, czterej podsądni, stojąc w nieruchomych i oczekujących postawach, odpowiadali na zwracane ku nim pytania przewodniczącego.

Nazwiska ich?

Cztery męskie głosy dość wyraźnie, głośno, odpowiedziały z kolei.

— Piotr Dziurdzia.

— Stefan Dziurdzia.

— Szymon Dziurdzia.

— Klemens Dziurdzia.

Stan ich?

Chłopi, rolnicy i posiadacze ziemi. Ostatni tylko ziemi własnej jeszcze nie miał, ale był synem i dziedzicem pierwszego, Piotra Dziurdzi, który nietylko że ją posiadał, ale przed laty kilku piastował w swój wiosce ważny w społecznym życiu chłopów, urząd starosty.

Teraz, pytanie najciekawsze.

Czy przyznają się do popełnienia zbrodni, o którą obwinionymi zostali.

Znowu cztery głosy, z kolei, ciszej lub donośniej lecz zawsze wyraźnie odpowiedziały.

— Przyznają się.

Przyznają się. Niéma więc już wątpliwości, że popełnili tę zbrodnią. Nie nędzarze, nie włóczęgi, nie członkowie proletariatu, żyjącego w trującej atmosferze palących zawiści i podstępnych łupów, ale rolnicy, którym wiatry Boże niosą rzeźwość i zdrowie... posiadacze, którym ziemia własna rodzi bujne kłosy... pracownicy, których uznojone czoła, równać się mogą w powadze i czystości czołom uwieńczonym wawrzynem... Co to znaczy? Czy urodzili się już potworami? Czy, kiedy jeszcze w kolebkach byli, geniusz zbrodni napoił ich swym oddechem? Czy nie mieli serca, ani sumienia, ani w piersiach swych żadnej z tych strun dobroci, litości, prawości, które z wiekowym mazołem ludzkość wypracowała w swém łonie? Byliż to może szaleńcy, idyoci, głupcy, którzy dobrego od złego odróżnić nie mogli?

Rzecz dziwna! Daremnie kilkaset par ludzkich oczu zatapiało się w ich twarzach, zgodności pomiędzy nimi a tém, co popełnili, dostrzedz nie było podobna. Nie wyglądali na tych, którzy już na świat ze sobą przynieśli zadatki zbrodniczych przeznaczeń, ani na szaleńców, ani na idyotów.

Pierwszy z nich, ten, który nazywał się Piotrem Dziurdzią, był wysokim, dość szczupłym i już nie młodym, ale jeszcze krzepkim i silnym człowiekiem. Włosy miał bardzo gęste, ciemnopłowe siwizną przysypane i tak długie, że spadały mu aż na kołnierz więziennej opończy. W oprawie tych długich, siwiejących włosów i krótko ostrzyżonego zarostu, twarz jego bladawa nieco, łagodnością i powagą wyrazu swego, pociągające sprawiała wrażenie. Policzki jego, w więzieniu może wychudłe, zakreślały prawidłowy i łagodny owal, usta pod płowym wąsem drżały trochę, na wązkim czole ciemniało kilka głębokich zmarszczek a siwe, zamysłone oczy, z pod brwi wypukłych i gęstych, wodziły dokoła powolnym, poważnym i bardzo smutnym wejrzeniem. W chwili gdy stanął w ławie obwinionych, można było dostrzedz zaledwie widzialny ruch ręki, którym na piersiach swych skreślił znak krzyża, a gdy już odpowiedział na wszystkie zadane mu pytania, splecione ręce złożył na poręczu ławy i oczy wznosił w górę. Wówczas w twarzy jego zjawilo się coś marzycielskiego, coś, co zdradzało wewnętrzną, pokorną, w głębinach duszy szeptaną modlitwę. Wkrótce jednak powieki przykryły mu rozmodlone źrenice, grzbiet przygiął się, głowa na pierś opadła i tak już ze splecionymi rękoma, poważny, łagodny, bardzo smutny pozostał.

Zupełnie niepodobnym do Piotra, był stryjeczny brat jego Stefan. Wysoki także ale barczysty i bardzo wyprostowany, brunet z czarnymi jak noc włosami i czarnym bujnym wąsem byłby on pysznym okazem silnego, kształtnego i pięknego chłopca, gdyby nie szczególne i uderzające, przedwczesne zesterzenie twarzy. Nie miał jeszcze lat czterdziestu a ściągłe i prawidłowe rysy jego były tak zorane, zmięte, pomarszczone, że niepodobna-by na nich znaleźć najmniejszego gładkiego miejsca. Przytém, mogło się zdawać, że wielki jakiś ogień opalał twarz tę tak długo, aż powlekl ją ciemną, prawie brązową cerą. Widoczném téż było, że nie nędza fizyczna uczyniła ją taką, lecz, że zmięły ją i spaliły w ten sposób gwałtowne namiętności i srogie zgrzyoty. Była to twarz ponura i zropaczona, śmiała i roztropna. Czarne oczy Stefana, posępnie lecz roztropnie i nawet bystro spoglądały wprost przed siebie; w postawie i ruchach jego malowała się energia, której zbytek musiał znajdować sobie ujście w nieposkromionej, gwałtownej popędliwości.

Trzecim i zupełnie różnym od tamtych typem chłopskim był Szymon Dziurdzia. Nizki, chudy, z welnistym splątany włos, który mu czoło całkiem prawie zakrywał z otwartymi nieco ustami i nosem małym, bombiastym, u czoła wklęsłym, był to człowieczek niemłody, brzydki, gapiowaty, bardzo widoczném nadużyciem alkoholu oglupiony i prawie zezwierzęcony. Pijackie oczy jego, z blado błękitną źrenicą, pływały w chorobliwej wilgoci; czasem grubym i ciemnym palcem ocierał sobie łzę z powiek i bezmyślnym ruchem rozmazywał ją po chudym i żółtym policzku. W ruchach, postawie i spojrzeniach jego malowało się przerażenie, z rozżaleniem połączone. Strwożony, rozżalony, oglupiały, niewiedzący, co począć z rękoma, które spletał, to wzdłuż ciała opuszczał, ust przytém ani na chwilę zupełnie nie zamykając.

Najmłodszym ze wszystkich, bardzo jeszcze młodym bo dwadzieścia dwa lata zaledwie mającym, był Klemens, syn byłego starosty, Piotra Dziurdi. Urodziwy, jasnowłosy ten parobek, z okrągłą, rumianą twarzą i błękitnymi jak niebo oczyma, wydawał się makiem polnym, bujnie wśród pola wyrosłym i tu w tę ciżbę ludzką, w tę atmosferę przenikniętą światłem sztuczném i grozą ważących się przeznaczeń, gwałtownie przesadzonym. Pa-

nującem uczuciem, które malowało się na młodzieńczej i jak zorza świeżej jego twarzy — był wstyd. Kiedy po raz pierwszy zwróciły się ku niemu spójrzienia tłumu, ognisty rumieniec buchnął mu do policzków i czoła. Zarumienił się znowu, wymawiając wyraz przyznając się! i rumienił się potem za każdym razem, gdy w ciągu rozpraw sądowych imię jego wymawiano. Czasem zamyślał się i daleko, daleko kędyś patrzył. Wtedy, do oczu jego nabiegały łzy. Czasem znowu, młoda ciekawość przewyciężała w nim wszelkie inne uczucia. Wtedy, z pod powiek, nieśmiało ale chciwie przypatrywał się wszystkiemu, co go otaczało, a o czém pod strzechą swoją, ani nawet śnił kiedy, Boże mój! tak tu jasno, jak gdyby niebiosy otworzyły się i wszystkie swe blaski na ziemię wylały; tak tu ludno, jak gdyby zbiegło się pół świata, takie tu piękne ubiory, jak gdyby odbyć się miał wielki jakiś i wesoły festyn. A on tu co? zbrodniarz, którego sędzić mają. Jak osądzą? Bóg że to jeden wie. Za temi ścianami wiatry boże wieją, ku jego wiosce rodzinnej lecą, ku tej chacie lecą, gdzie stara matka z załamanemi rękoma została, ku temu polu lecą, które on orał już od lat paru, kiedy słońko świeciło jasno, ziola pachniały, serce biło równo, cicho, wesoło, nie tak jak teraz, gdy kołace w piersi ze wstydu i trwogi, niby na pogrzebie bijący dzwon...

Więc to ci czterej ludzie popełnili tę zbrodnię przerażającą i ponurą, jak sen zimowej, burzliwej nocy? Była to też wtedy zimowa, burzliwa noc... Ależ dla czego? jakim sposobem? pod wpływem jakich pokus i poszeptów?

Z zeznań świadczących, z rozpraw sądowych, ze starannie wywoływanych później, a pilnie słuchanych gawęd ludzkich, ze zwierzeń, które podsądni czynili przed swym obrońcą, od początku do końca swego, odsłoniła się przed tymi, którzy ją poznać zapragnęli, historia następująca.

I

W Suchej Dolinie zapanował ruch umysłów widoczny i stopnia wzburzenia dosięgający. O co tak bardzo szło mieszkańcom tej wioski, długim szeregiem czterdziestu może chat i ogrodów, dość malowniczo rozciągniętej, pośród pól zlekka falujących i zdobiących je osinowych i brzoźowych gajów? Większość chat miała pozór dostatni; były wprawdzie pomiędzy nimi niziuchne, ubożuchne i nadpróchniałe, ale nie brakło i takich, które świeciły białemi kominami, sporemi oknami i porządnymi ganeczkami, opartemi na słupkach i zaopatrzone w wąskie ławeczki do siedzenia. Te pola, falujące i gajami zwieńczone, miały pozór żyzności i niezłej uprawy, za niemi zieleniło się trochę łąk i dobrych pastwisk, w ogrodach, gęste konopie stały gotowe do zdjęcia, okwitłe kartofle wyglądały obiecująco, bujne głowy kapusty dojrzywały, gęsto sadzone wiśniowe drzewa dawać musiały obfite plony owoców. Nędza więc zaglądała tu chyba kiedy niekiedy i tylko do najuboższych chat. Najdostatniejsze wyglądały tak, jak gdyby w nich nietylko chleba, ale nawet mleka i miodu a może i groszy nie brakło. Jakiż więc niepokój wstrząsał w ten piękny wieczór letni mieszkańcami tej wioski? O czém gromada bab, przed jednym z najdostatniej wyglądających domowstw zebrana, gwarzyła tak żywo, że aż dokoła niej, zebrała się gromada dzieci starszych i młodszych. Dziewczynki od lat siedmiu do czternastu, w sinych spódnickach i szarych koszulach, bose, z głowami ukrytymi w czerwonych chusteczkach, z pod których wymykały się kosmyki jasno-płowych włosów, stanęły pod płótnem długim szeregiem i, spleśniony na spodniczkach małe, ciemne jak ziemia ręce, szeroko pootwierały oczy, napelnione wyrazem ciekawości, a w których błękitnych lub piwnych źrenicach, zachodzące słońce rozżażało ruchome iskry. Przypatrywały się i przysłuchiwały babom, a baby gadały, gestykułowały, krzyczały. Chłopcy lat różnych stali za babami, nie tak przecież nieruchomo jak dziewczęta, które umieściły się pod płótnem. Bosi także, jasno-włosi, w szare płótno odziani, wciskali się oni pomiędzy matki i ciotki, podnosili ku twarzom kobiet twarze swe opalone, śmiałe i wesołe, które wykrzywiali w sposób najrozmaitszy, swawolnie przedrzeźniając gadatliwość i zażartość babską. Starsi targali kobiety za fartuchy i natarczywie wtrącali się do rozmowy, jeden z młodszych pięcioletni może, w długiej do stóp koszuli, z wypukłym brzuchem i opuchłemi żółtymi policzkami, trzymał wciąż palce w oślinionych ustach i bezmyślnymi błękitnymi źrenicami patrzył nieruchomo w twarz swojej matki, a płacliwym, przeciągłym głosem od chwili do chwili wołał: Ta... ta!

Na wązkim dziedzińcu chaty, pod którą tłoczyły się baby i dzieci, panował także gwar pewien, ale znacznie mniejszy, bo podnosiła go gromadka mężczyzn mniej i ciszej od niewiast mówiących. Jeden z nich, u wrót stajenki przyklękawszy, siekierą rozszczeptał kłoc drzewa na drobne drewnienka, a tak bardzo pogrążonym był w tej robocie, jak gdyby spełniał jakąś uroczystą i arcyważną czynność. Z pochyloną głową i zgiętymi plecami, chłop ten niemłody już i szczupły, ale jeszcze silny i czerstwy, był to jeden z najzamożniejszych i najroztropniejszych gospodarzy Suchej Doliny, właściciel tej chaty, a zwał się Piotr Dziurdzia. Tuż za nim stali dwaj synowie jego, młodzi, lecz już dorośli parobcy, dalej stryjeczny brat Piotra, ale wcale do niego niepodobny, Stefan, w wymowie chłopów Stepan Dziurdzia, przypatrywał się jego robocie z ponurym wyrazem na przedwcześnie zestarzałej, zmiętej i jakby spalonej twarzy; dalej jeszcze stał także Dziurdzia imieniem Szymon, mizernie i smutnie wyglądający, a za każdym odetchnięciem wydający z siebie mocny zapach wódki. Wódka to zapewne zaprawiła mu białka oczu krwistą barwą, wysuszyła i zażółciła policzki, ona też może była przyczyną, że miał podartą koszulę i stopy bose, gdy inni przyodziani byli w porządne samodziałowe kapoty i grube ale dostatnie aż do kolan sięgające obuwie. Oprócz tych pięciu Dziurdziów, było tam jeszcze kilkunastu chłopów starszych i młodszych, więcej i mniej ożywionych, którzy jednak wszyscy zdawali się być mocno zajętymi tym, co czynił Piotr Dziurdzia, spoglądali na siebie z uśmiechami na ustach, i wyrazem żywej ciekawości w oczach, wzruszali czasem ramionami i rzucali pojedyncze słowa lub wykrzyki. A przed wrotami dziedzińca baby gadały wciąż, krzyczały, gestykulowały; ta i owa z ferworu wielkiego aż przysiadła czasem ku ziemi, albo rękoma uderzała o policzki i plecy sąsiadek, które, odwracając się, śpiesznie ją odpychały i dalej swoje prawić zaczynały, aż do utraty tchu, aż do podniesienia głosów ku najwyższym i najprzerazliwszym dźwiękom ludzkiej krtani. Takim to właśnie głosem jedna z nich, ku dziedzińcowi chaty zwracając się, zawołała:

— Pietruk! hej Pietruk! skończysz ty kiedy czy nie? A to słońce zajdzie i psy nie ludzie po polach chodzić będą!

— Pora *idźci* (iść) dalibóg pora! — chórem powtórzyło kilka piskliwych kobiecych głosów.

Inne dodały.

— Czy wam nie wstyd, Pietruk, tak marudzić? Oj! *muszczyzna* (mężczyzna), niby to silny! A baba prędzej-by tych trzasek naszczepiła jak on... gospodarz wielki!

Piotr Dziurdzia wykrzykników tych ku niemu zwróconych, jakby nie słyszał, ani głowy podniósł, ani ustami poruszył. Rozszczeptał wciąż i odszczepiał polana na cienkie drewnienka z taką powagą i uroczystością, iż zdawać się mogło, że tuż, tuż przeżegna się i robotę swą przeżegna, tak była dlań ona ważną i niemal świętą. Dwaj w pobliżu niego stojący chłopci, jednocześnie stryjecznego brata jego, Stepana Dziurdzie, zapytali:

— Niéma! no i ani troszeczkę niéma?

Zmarszczony, zgryziony Stepan odpowiedział:

— Tak jak nic niéma! Kropelkę z siebie puści i żeby ją zabić więcej już nie da! Dziecku, jak rozkrzyczy się, niéma czego w gębę wlać...

— A-a-a-a-a! — głośno i przeciągle dziwili się pytający.

— A wprzódy jak było? — zapytał ktoś z boku.

— Wprzódy — odpowiedział chłop — bywało i więcej jak garniec dadzą...

— Dwie?

— A dwie.

— To tak jak i u mnie! — Zauważył mizerny Szymon, jedna tylko, a bywało z garniec da... Chłopi tręcili się łokciami i wejrzeniami, ukazali sobie wzajem ponurą twarz Stepana.

Przytém ozwał się żartobliwy głos jakiś:

— Oj! biedaź tobie, Stepanie! Toż to tam teraz u ciebie piekło gorące...

Inny z grubym śmiechem dodał;

— Jaż wczoraj słyszał jak *taja* (ta) wrzeszczała w swojej chacie jak *oczyniona* (opętana)...

— Kto? — zapytał ktoś z boku.

— A Rozalka Stepanowa żonka...

— Oj zła baba, to zła... jak ogień... — dodał jeden z rozmawiających.

Stefan niżej jeszcze pochylił głowę i milczał.

Z-za wrót doleciał jeszcze znowu ten sam co wprzód głoś niewieści, tylko jeszcze piskliwszy i więcej rozgniewany niż wprzód:

— Pietruk! oj Pietruk! skończysz ty kiedy, czy nie?

Kilku z pomiędzy mężczyzn zaśmiało się chórem.

— Ot jak Stepanowa żonka *bołasić*, pilno jój wiedźmę łapać! Hej Pietruk, *chutko* (prędko) *idzi!* bo baba jak po swojemu rozgniewa się, to bieda będzie... już ty jój nie poradzisz... wybije!...

Piotr Dziurdzia siekierę oddał jednemu z synów, aby ją do chaty zaniósł, a sam z kłęczek powstawał, nie dlatego zapewne, aby przeląkł się gniewu Stepanowej żonki, ale dlatego, że już robotę swoją ukończył. Pod ścianą stajenki leżał duży stos cienkich, suchych, do zapalenia wybornych drewniek. Pochylił się, ujął ten stos w ramiona i wyszedł z nim za bramę chaty. Tu powitał go chóralny okrzyk bab i otoczył rój dzieci. Dziewczynki podrywały się od płota i podchodziły do niego zwolna, chłopcy, jak źrebięta skakali dokoła niego, wierzgając i wrzeszcząc.

— Won! poszli — krzyknął Dziurdzia na dzieci, które też rozbiegały się na wsze strony, ale w pobliżu stanąwszy, przypatrywały się wciąż niesionemu przezeń drzewu, jakby to był przedmiot po raz pierwszy w życiu przez nie widziany. Jedna z bab, ta, która właśnie rej pomiędzy wszystkimi innymi wiodła, wysoka, chuda, śniada, z czarnym palącym okiem, Rozalka, Stepanowa żona, wyskakując naprzód i rękoma za biodra swe chwytając, z niezmiernym zapalem do Piotra zawołała:

— A osinowe drzewo!

— Nu, a jakież? — pogardliwie odrzucił poważny chłop.

— Czy pewno osinowe?

I zaczęła dalej prędko i z zawziętością trzepać językiem.

— Bo jeżeli nie osinowe, to nic z tego nie będzie... wiedźma nie przyjdzie na inne drzewo, tylko na osinowe..! *Prysiabnij* Pietruk, że osinowego drzewa rąbał, *prysiabnij*, tutże zaraz palce na krzyż złóż i *prysiabnij*, że osinowe...

Tracąc dech od szybkiego mówienia, targała rękaw i poły samodziiałowej kapoty Piotra, a obu łokciami odtrącała od siebie towarzyszeki, które chwytając ją za ramiona i koszulę, zapalczywość jój powściągać próbowały. Spróbował uczynić to i Stepan. Ciemne oczy jego zaiskrzyły się; ściśniętą pięścią uderzył żonę w plecy tak silnie, że zatoczyła się o kroków kilka i była-by upadła, gdyby nie płot, o który oparła się ręką. Wnet przecież, szybka jak błyskawica, zwinna jak wiewiórka przyskoczyła do męża, wycięła mu głośny policzek i w najmniejszym stopniu nie zajmując się nim dalej, biegła znowu za Piotrem, drogę mu zabiegając i wciąż na różne tony powtarzając.

— A osinowe drzewo? Pewno osinow?... *Prysiabnij* Pietruk, że osinowe...

W gromadzie, postępującej za Piotrem, wybuchnęły grube i piskliwe śmiechy. Stepan szedł ze zwieszoną głową, milcząc jak grób. Do policzka, który od otrzymanego uderzenia nabiegł krwistą czerwonocścią, ani się dotknął, ale ciemna i gruba skóra jego twarzy zfałdowała się w takie już mnóstwo zmarszczek, że niepodobna-by wynaleźć na niej najmniejszego gładkiego miejsca. Roziskrzzone oczy wlepił w ziemię i przez zaciśnięte zęby wyrzucił krótkie, niewyraźne przekleństwo. Wstydył się może i wrzał cały.

— *Wstydy!* — rzekła głośno niemłoda i widocznie schorowana, ale jeszcze urodziwa żona Piotra Dziurdzi, najdosatniej ze wszystkich kobiet ubrana i najmniej krzycząca. — Ja z moim wiek przeżyłam, synów pochodowałam, że wyrosli jak te dęby, a nigdy pomiędzy nami swarów i bitwy nie było, dalibóg nie było.

— *Wstydy!* — powtórzyło kilka głosów, a jeden z chłopów, na Stepana wskazując, z uśmiechem dodał:

— *Takij* z niego *mużyk*? Babie przywozić pozwala! ja by ją...

Nad tym gwarem słów i śmiechów, wzbił się znowu głos Rozalki, ale tak już tym razem ostry i rozpaczliwy, jakby jój nóż do gardła przykładano.

— A osinowe drzewo? pewno osinowe? *prysiabnij* Pietruk, że osinowe...

Stary, niski chudy chłop, korego zwano Jakóblem Szyszka, wystąpił z gromady, zbliżył się do kobiety, którą wątpliwie co do gatunku narąbanego drzewa w rodzaj wściekłości uprawiała i z powagą przemówił:

— Nie *durys*, Rozalka! Jaż tam był i widział, że drzewo jest osinowe... Toż i u mnie nieszczęście... i ja chcę tej wiedźmie przeklętej w oczy zajrzeć... czy ja by zgodził się, żeby drzewo insze było jak osinowe?...

Rozalkę słowa te jakby zimną wodą oblały, umilkła i, cofnąwszy się nieco od Piotra, śpiesznym i nierównym krokiem, zwykłym istotom gwałtownym i niespokojnym, na czele innych niewiast postępowała. Zresztą, w miarę trwania pochodu, gromada malała. Na dziedzińcach chat, które mijano, porykiwały krowy, tylko co z pastwiska przygnane, drżącym, jękliwym głosem odzywały się owce, niewyprężone pługi i brony stały tak, jak je właściciele ich, pośpiechem i ciekawością snadź pobudzani, opuścili. Tu i owdzie, ktoś pozostały w chacie rozniecił ognisko, a wijące się za małemi oknami złote jego blaski, na wieczерzę zapraszając, głód przypominały. Mężczyźni tedy i kobiety, odłączali się od gromady i za opłotkami dziedzińców, albo we wnętrzach domowstw znikali. Przedtém jednak, zbijając się na krótką chwilę w małe gromadki, zamieniali się urywanemi, a całą myśl ich mającemi streścić wyrażeniami.

— *Komedy!* — Wzruszając ramionami mówili jedni.

— Niech *tuju kamedy* lichu porwie! — sierdziście odpowiadały kobiety. — *Heto* bieda jest, *zbryzota*, *utrata* wielka a nie *kamedya*...

— Ciekawość! nu ciekawość, kto *beta* wiedźma!

— Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie?

Ostatnie to pytanie zawisło na ustach wszystkich; głosy różne mężkie, kobiece i dziecięce, stare i młode, powtarzały je w chatach, oborach, stajenkach, na dziedzińcach i u studzien, u których dziewczęta przy skrzypie żórawi, wodę czerpały.

— Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie? — Najstarsi odpowiadali.

— Czemu przyjsć nie ma! Za *dzidów*, *pra dzidów* naszych przychodziła, to i teraz przyjsć musi...

Tymczasem, Piotr Dziurdzia, szedł wciąż naprzód krokiem powolnym i miarowym. Wychodząc z dziedzińca swojej chaty, włożył był na swe gęste, siwiejące, długie włosy, starą czapkę, zniszczoném futrem baraniém oszytą. W długiej kapocie z płótna na czerwony kolor zafarbowanego, w wysokich butach, w tej czapce, której strzępy zwisały mu nad gęstemi brwiami, z grubą więzią drzewa w ramionach, miał pozór kapłana niby, gotującego się do spełnienia uroczystego i publiczne sprawy na celu mającego obrzędu. Wyraz twarzy jego ściągłej, krótkim zarostém otoczonej, nie był wcale ponurym, ani rozgniewanym, tylko głęboko zamyślnym, prawie uroczystym. Milczał jak grób, patrzył wprost przed siebie siwemi oczyma, w których malowała się pokora, jakby prośba wewnętrznie do kogoś zanoszona. Można by przypuścić, że w głębi duszy swęj odmawiał on w tej chwili żarliwie pacierze. Tuż za nim, szli dwaj jego synowie, rośli, jasnowłosi, z otwartemi i wesołemi twarzami parobcy; dalej, nisko chyląc głowę, ciężkim krokiem postępował Stepan, obok którego włócił się w obdartém odzieniu swém i z pijacką twarzą Szymon Dziurdzia i bardzo poważnie stąpał stary, niski, siwy Jakób Szyszko. Z kobiet, pozostały tylko żony trzech Dziurdziów i jakaś hoża dziewczyna, z wesołą miną, wciąż na młodego Klemensa Dziurdię zerkająca i na nię kończył się już ten pochód. Dzieci wszystkie, tak dziewczynki jak chłopcy, chciały bardzo przyłączyć się do orszaku, ale je odpędzono i jeden ów tylko czteroletni chłopczyna w koszuli, z wyдутym brzuchem i nabrzmiałemi policzkami odpędzić się nie dał. W kilka kroków za idącymi, prędko, prędko, swemi małemi, bosemi stopkami dreptał on po czarnych nierównościach i bruzdach wiejskiej ulicy i od czasu do czasu płaczkliwie, przeciągle wołał: — Ta, to! Ludzie jednak składający pochód, na to dziecięce wołanie żadnej nie zwracali uwagi. Tu i owdzie gołębie zrywały się z dachów i ze słodkim gruchaniem ulatywały w powietrze na srebrzystych, albo różowych skrzydłach; pyszne, jaskrawo opierzone koguty, spłoszone tententem licznych kroków, ciężko podlatywały z ziemi i siadały na płotach; przez wrota pootwierane, wybiegały żółte, czarne i pstre kundły, a poznawszy swoich ciekawie tylko lub obojętnie na przechodzących spoglądały. Tam, het, za wioską, polami i gajami, słońce już wnet zająć miało, bo ostatnie jego światła rzucały na ściany chat i twarze ludzkie, nietrwale, różowe luny. Rubinowo zaognione przed chwilą szyby okien bladły i gasły, natomiast coraz gęściej złościł je blask roznieconych ognisk. Dymy nad kominami wprzódy rumiane i srebrne, szarzały; ryk bydła, beczenie owiec, stuki otwieranych i zamykanych wrót, cichły i milkły.

Za wioską, polami i gajami, ciemne gęste chmury półkolem objęły zachodni skraj nieba; słońce przejmowało jeszcze ich głębie fioletem i purpurą, ale było już niewidzialnym. W pobliżu ostatnich lecz jaskrawych blasków jego blade i prawie liliowe, ciemniejsze potem i w środku swym aż prawie szafirowe sklepienie, wznosiło się nad ziemią, bardzo powoli okrywana mrokiem tak przezroczystym, że odbijały się w nim wyraźnie żółte barwy ściernisk i więdnących łąk, szara zieloność gajów i piaszczysta białość dróg przerywających pola. Mniej niż o wiorstę od ostatnich domowstw wioski, cztery drogi rozbiegały się z jednego punktu, w kierunki różne. Jedna z nich prowadziła do wioski, druga, falując, wraz z falującym gruntem przepadała kędyś z niedoścignionej dla oka od dali, trzecia prosta i gładka, końcem długiej swój taśmy znikła w głębiach najbliższego gaju; czwarta, najkrótsza, tu i owdzie wierzbami i dzikimi bzami osadzona, kończyła się u płotu otaczającego chatę, w pewnej odległości od wioski zbudowaną, samotną ocienioną kilku starymi drzewami. W pobliżu tej chaty widać było budowę niewielką, niską, bez okien, w której od razu każdy świadomy spraw wiejskich rozpoznał by kuźnię. Były to więc drogi rozstajne. W miejscu, z którego rozchodziły się one, w różne strony świata, z gęstego szlaku zieloności otaczającego pole, wystrzeliwał stary, wysoki krzyż. Naprzeciw krzyża, rozdzielony z nim wązkim szlakiem drogi, leżał ogromny, siwym mchem obrosły kamień. O parę kroków od kamienia, Piotr Dziurdzia stanął i, ciężar swój z ramion na ziemię zrzucił, poczem wyprostował się, głośno odetchnął, w niebo spojrzął i z kieszeni kapoty hupkę wydobywszy, w milczeniu ogień krzesać zaczął. Głębokie milczenie zapanowało też pomiędzy towarzyszącymi mu ludźmi. Zbili się oni wszyscy w ściśniętą gromadkę, wzrok w ręce jego wlepili i zdawali się oddech w piersi wstrzymywać. Widocznie zapominali o wszystkim, co nie było tą szczególną czynnością, dla której tu przybyli. Stefanowa silnie zacisnęła swe wążkie usta, żona Piotra i jeden z jego synów, przeciwnie, rozwarli je tak szeroko, że małe jakie ptaszę wygodnie wlecieć by w nie mogło; Jakób Szyszko wyprostował się i tak uroczyście przybrał postawę, że wydawał się daleko wyższym niż zazwyczaj; wnuczka jego, hoża ta dziewczyna; która w czasie pochodu wciąż na Klemensa Dziurdzie zerkala, teraz ze zmieszaniem ciekawości i przerażenia na twarzy, ukryła się za plecy ładnego parobka, przygarnęła się cała do niego i brodę swą na ramieniu mu położyła. Ładny parobek najmniej z pomiędzy wszystkich obecnych zajęty odbywającym się aktem, wybornie spostrzegł to zbliżenie się doń dziewczyny, uśmiechnął się nieznacznie, w pół z przyjemnością, w pół z urąganiem. Zdawało się, że i hożej France i temu, co się przed oczyma jego działo i dziać miało, trochę urągał. W tém, Piotr Dziurdzia pochylił się ku ziemi i część przyniesionych przezeń suchych drewnienek, buchnęła ogniem. Cztery kobiety, jednogłośnie i na całe gardło wrzasnęły. — O Jezu!

Dla czego ogień tak bardzo przeląkł je, czy wzruszył? Wszak z blaskiem i gorącym jego oswajały się one od pierwszego dnia istnień swoich i od rana do wieczora każdego dnia! Tym razem przecież, wyglądały tak, jak gdyby były nigdy w życiu swém ognia nie widziały. Wszystkie cztery wrzasnęły zrazu. — O Jezu! A potem Stefanowa zawiodła dalej jeszcze. — O Jezu mój, Jezu najmiłosierniejszy! Piotrowa wzdychała głośno i raz po raz, Szymonowa głowę w obie strony kołysała i także wzdychała, Franka zaś, w obie garście pochwywszy ramię Klemensa, tak mocno je ścisnęła, że parobek łokciem rzucił i wgardliwie ją oburknął — *Otczepiś!* Czego do mnie przykleiła się... jak ten kleszcz! Kleszczem nazwana dziewczka nie odczepiała się jednak i, przyklejając się do pleców parobka jeszcze mocniej, w same ucho półgłosem mu jęczała. — Oj Klemens, Klemens! oj, oj, Klemens! — Mężczyźni milczeli, wkrótce też umilkły i kobiety, znowu usta pozaciskały, lub szeroko pootwierały i, oddechy w piersi powstrzymując, czekały. Czekali wszyscy. Na co? Na skutek ognia, który żółtą strugą obejmując osinowe drzewo, palił się zrazu nisko przy ziemi, potem płomienistemi języki strzelać zaczął coraz wyżej.

Na polach pusto było i cicho. Stojąca na zachodzie chmura zagasła całkiem i tylko jeszcze wypływająca z za niej blada złota luna rozświecała widnokrąg. Kędyś za wzgórzem zaturkotały koła wozu i w dali umilkły; od wioski dochodziły poszczekiwanie psów i głuchy szmer ludzkiego mrowia; na żadnej z dróg w cztery strony rozchodzących się od krzyża, żywego ducha widać nie było, tylko u końca jednej z nich drzwi kuźni, rozpalily się czerwono i ozwało się kilka uderzeń młota, które w najbliższym gaju echo powtórzyło głośno i przeciągle. Ale potem, przez długie kilka minut, nie odezwał się już i młot kowalski; w niskich wierzbach za to, rosnących przy drodze, która do kuźni wiodła, parę

razy płaczkliwie zaskomlił lelak. W gromadce ludzkiej, tłoczącej się u ognia, przy omszałym kamieniu i naprzeciw krzyża roznieconego, mężczy, świeży głos, głośno i wyraźnie wymówił:

— Albo to prawda?

Wszyscy, nawet poważny i skupiony w sobie Piotr Dziurdzia, obejrzeni się na mówiącego. Był nim wysoki, ładny Klemens.

— Co takiego? co takiego? co ty gadasz? — zaterkotała Stefanowa.

— Albo to prawda, że wiedźma na ogień przyjdzie? — z nogi na nogę przestępując, powtórzył parobek.

Tym razem wszystkie kobiety pootwierały szeroko usta, a Franka półgłosem znowu zajęczała — Oj, Klemens, Klemens! — Ale siwy, chudy, niski Jakób Szyszko uroczystym głosem rzekł:

— *Za dzidów pradziów* naszych przychodziła, to czemuż-by i teraz nie miała przyjść?

— Ale! — powtórzył chór głosów.

Klemens znowu z nogi na nogę przestąpił i mniej trochę śmiało niż przedtem zauważył:

— Może jęj ze wszystkiém na świecie niéma?

— Kogo? — wrzasnęła Stefanowa.

— A wiédźmy... — wahającym się już głosem odpowiedział parobek.

O! tym razem, przeciw tak zupełnie już krańcowym wątpliwościom, wybuchnęła buzza. Stefanowa porwała się obu rękoma za biodra i do Klemensa przyskoczyła.

— Wiédźmy niéma? — krzyknęła — a dla czego mleko u krów przepadło? ha? dla czego przepadło? Czy to ja lęę, że przepadło? Jeżeli ja lęę, to spytajcie się rodzonej matki, czy nie przepadło?... I u Szymona spytajcie się i u Jakóba i u wszystkich... Oj! biednaż główeczka moja! Mleka u krów kropeleczeni nie ma... dzieczeni w gębę wlać czego nie ma... a on mówi, że wiédźmy niéma... Oj dolo moja nieszczęśliwa! oj, paskudniku ty, niedowiarku, *haratyku* taki, że niech Pan Bóg broni...

W ten potok słów i krzyków niewiędzich, Klemens wlać zdołał jeszcze słów kilka, więcej, zda się dla drwiny i na przekór babie niż z przekonania wymówionych.

— Wiadomo! susza taka, że niech pan Bóg broni, pasza kiepska, to i mleko przepadło...

Ale tym razem zwrócił się ku synowi, sam celebrujący w tym uroczystym akcie Piotr Dziurdzia i łagodnie, ale z wielką powagą mówić zaczął.

— *Hodzi*, Klemens, kiedy nasze *dzidy*, *pradzidy* w *heto* wierzyli, musić *heto prauda*. Nie *breszy* (szczekaj) darmo i czekaj. Może cud Bozki okaże się okazać się nam niegodnym, a *taja*, co nam *takuju kryudu* zrobiła, przyjdzie na ogień zapalony z tego osinowego drzewa, na którym powiesił się Judasz, psia jego dusza, co w żydowskie ręce wydał Pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Przemówieniu temu odpowiedziało kilka głośnych westchnień, nad którymi wzbił się jękliwy, donośny, zapalczywy głos Stefanowej:

— A osinowe drzewo? pewno osinowe?

Ale Jakób Szyszko uciszył niespokojną kobietę porywczym giestem, i znowu w gromadce i dokoła nięj zapanowała cisza. W niskich wierzbach przy drodze załkał lelak, o kilka kroków za stojącymi nad ogniem ludźmi, dziecięcy, słaby, zmęczony głos, zapłakał: — Ta-to! Nikt na ten biedny, mały głos nie zwrócił uwagi, oprócz ponurego Stefana, który obejrzał się, kilka kroków postąpił i z głuchém, swarliwém sarkaniem podniósł z ziemi malca w koszuli, z wydętym brzuchem, nabrzmałemi policzkami, palcem pograżonym w ustach i błękitnemi oczyma, pełnemi łez. Był to syn jego i Rozalki, jedyny. Ze swarliwém sarkaniem Stefan podniósł go z ziemi, ale wnet ściśle ramionami otoczył, do piersi przycisnął i bosc stopy jego mokre od wieczornej rosy, połą kapoty swojej osłonił. Dziecko blade i obrzękłe, głowę na ramiona ojca pochyliło i wnet oczy przymknęło. O! widocznie potrzebowało ono, niezmiernie potrzebowało tego, dobrego, słodkiego mleka, które krowom jego rodziców odebrała złośliwa wiedźma!

Cicho i cicho! Na polu i drogach wciąż ani ducha żywego. W kuźni znowu odzywa się stuk młota; echo powtarza je w najbliższym gaju; w ciszy powietrza ogień pali się zwolna, lecz coraz wyżęj. Piotr rzucił węź jeszcze sporą więź drzewa (Stefanowa ma okropną ochotę zawołać znowu: czy osinowe drzewo? czy pewno osinowe? lecz lęka się trochę

Piotra i starego Szyszki, więc milczy i tylko niecierpliwie obu rękoma fartuch swój targa), płomień buchnął wysoko, a blaski jego padły na stojący naprzeciw krzyż i mnóstwem złotych węży wiły się po nim coraz wyżej, aż ku rozpiętym jego ramionom... Ujrawszy krzyż nagle w złocie stojący, wszyscy obecni bez wyjątku pochylili głowy i przeżegnali się powoli, nabożnie...

W téj chwili, za paru wzgórzami, na drodze, która, falując po wzgórzach, przepadała w dalekich przestworzach, dało się słyszeć dalekie jeszcze, ale rozgłośnie śpiewanie. Po uciśzonych przestrzeniach, po pustych polach, po drzemiącym świetle, śpiewanie to płynęło melodyjnie i szeroko, na nutę łagodną i tęskną. Śpiewający głos kobiecy był, silnym, czystym, rozległym, wyraźnie rzucającym w przestrzeń miłosne słowa pieśni.

— Czeresz reczeńku, czeresz bystruju,
Podaj ruczeńku, podaj miłuju;
Czeresz bałoto, czeresz źródzeńku,
Chadzi do mienie, moje serdzeńku.

Na twarzach gromadki, stojącej przed ogniem i naprzeciw złoconego krzyża, odmalowały się zmieszane uczucia zadowolenia, przerażenia, nadewszystko zaś ciekawości. Sam nawet niedowiarek, Klemens, szeroko oczy rozszerzył i rękę podnosił aby przeżegnać się po raz wtóry, ale ze wzruszenia zawisła mu ona w powietrzu.

— Idzie! *uże* idzie! — Szepnęły kobiety.

Franka, ze strachu przed wiedźmą, na ziemi przysiadła, z całej siły przytém trzymając się obu rękoma kapoty Klemensa.

Niewidzialna śpiewaczka, zbliżając się coraz, śpiewała dalej:

— Hdzie ty dzieuczyno myślami bładzisz?
Skaży ty praudu, kaho ty lubisz?
Oj, znaju, znaju, kago kachaju,
Tylko nie znaju z kim się zwieńczaju!

Tym razem trzy Dziurdziowe jednomyślnie na siebie spojrzały.

— Kowalicha, (kowalowa) czy co? — szepnęła żona Potra.

— Ale! — odszepnęła żona Szymona, — nikt *hetak* nie *spiewaje*, tylko ona!

Stefanową od głowy do stóp wstrząsnęło namiętne drgnienie; przeciw zwyczajowi swemu nie rzekła nic, tylko prędko, z urągłym wyrazem w oczach, które jak zuzle zapłonęły, obejrzała się na męża. Dziwna rzecz! Stefan tak szyję wyprężył i tak całkiem podał się naprzód, jakby chciał po przez wzgórze przejrzeć i zobaczyć tę, której głos tylko uszu jego dolatywał. Przyczém, od wyprężenia mięśni, wygładziła się całkiem ciemna skóra jego twarzy i tylko czoło zmarszczone, zmięte, rzuciło na nią wyraz cierpienia.

Na szczycie małego wzgórza, ukazała się i szybko zstępować zeń zaczęła, postać kobieca, której rysów jeszcze rozpoznać nie było można. Szybko idąc, dalej pieśń swą śpiewała:

— Oj, pojdu, pojdu w las i lasoczki,
Hdzie rozświetajuc drobne listoczki,
Tam ja chadziła i hawaryła,
Sudzi mnie Boże...

Nagle głos śpiewającej urwał się i zamilkł. Znalazła się ona o kilka kroków od roznieconego ognia i, jak w ziemię wryta, stanęła. Teraz przy ostatnich światłach dnia i mieszających się z niemi blaskach płomienia, postać i twarz jej uwypukliły się z wyrazistością rzeźby. Młodą jeszcze była, wysoką, silną i kształtną. Z pod wysoko podniesionej siniej spódnicy, widać było silne i nagie jej nogi, bosemi stopami tonące w gęstej trawie. Oprócz siniej spódnicy, miała na sobie tylko grubą koszulę, wielki pasiasty fartuch, dwoma rogami mocno do pasa przytwierdzony i napełniony takim mnóstwem kwitnących ziół, że wylewały się zeń one na jej spódnicę i czepiając się wzajem, aż ku ziemi spływały. Były to liliowe czombry i brunelki, koniczyny różowe i białe, gwiazdziste rumianki, błękitne cykorye polne. Oprócz tego, w obu ramionach niosła ona ogromny snop roślin o długich,

twardych łodygach, żółtej dziewanny i śnieżnego tysiącznika, a był to snop tak wielki, że całą pierś i część twarzy jej okrywał, i że nad nim widać było tylko głowę jej, w pół osłoniętą czerwoną chustką, z pod której, ze stron wszystkich, na grubą koszulę, ogorzalą szyję i wązkie gładkie czoło, wymykały się gęste, krótkie pasma włosów ciemnych, splątanych i bez połysku. W pół-osłonięta kwiatami i włosami twarz jej wydawała się grubą i pospolitą; ogorzala, rumiana, z wiśniowemi usty, wypukłemi policzkami i wesoło zadartym nosem, jaśniała ona tylko dwojgiem oczu wielkich i podługich, które szarą, błyszczącą, wymowną źrenicą zdawały się mówić, śmiać się, pieścić i śpiewać... Tak z nagiemi nogami, zaróżowionemi odbłaskiem ognia, z mnóstwem kwiatów, wylewających się z fartucha i osłaniających piersi, z rozrzuconemi włosy i błyszczącym, śmiałem, śmiejącym się spojrzeniem, stanęła ona tuż pod krzyżem, który teraz stał cały w płomiennym blasku. Pierwszy dźwięk, który z ust jej wyszedł, brzmiał gapiowatém trochę zadziwieniem.

— Aaaa! — rzekła — co wy tu takiego robicie, ludzie?

Ale wnet, jakby przypomniawszy sobie rzecz dobrze znaną, tonem zapytania dodała:

— Wiedźmę na ogień łapiecie? czy co?

A potem, skinęła głową, i z zupełną już świadomością dokończyła.

— Aha! mleko u krów przepadło.

I, kołysząc głową w obie strony, przeciągle zadziwiła się znowu.

— Aaaa! umum! dziwy, to dziwy!

W gromadce panowało milczenie grobowe. Zdawać się mogło, że dusze wszystkich tych ludzi zlały się w téj chwili w jedną duszę, która całą siłę swego myślenia, czucia, wzroku i słuchu, niby ostre żądło, w tę kobietę utopiła. Wszyscy powyciągali ku niej szyje i oczy w nią wlepili. W kilku parach tych oczu nic jeszcze innego nie było, tylko zdziwienie i trochę obrzydzenia. Lecz wzrok Stefanowej rozpalony i pełen zjadliwych uśmiechów szybko przenosił się z twarzy kobiety, stojącej pod rozplamionym krzyżem, na twarz męża, która szczególnie przybrała wyraz; mętny uśmiech wewnętrznego niby lubowania się rozlał się po niej całej i stał z nią całkiem zwykłą ponurość, zastępując ją głupowato wyglądającym, lecz na wskroś przenikającym go zachwyceniem. Patrzył tak, jak gdyby na coś czy na kogoś dosyć napatrzeć się nie mógł. Kobieta z ziołami tymczasem zapytała znowu.

— Cóż? czy już przechodziła?

Nikt nie odpowiedział. W błyszczących i śmiejących się jej źrenicach, mignął niepokój.

— Cóż? — powtórzyła — widzieli już wiedźmę? przechodziła?

Tym razem, z gromadki ozwał się łagodnie brzmiący, ale bardzo poważny głos Piotra Dziurdzi.

— *Abo nie wiedajecie, że która pierwsza przejdzie koło ognia, ta jest wiedźmą.*

— Nu, — tonem głębokiego przekonania odparła kobieta, — żeby ja tego nie wiedziała, wiem! To i któraż pierwsza przeszła?

Dwa poważne głosy męzkie z których jeden należał do Piotra Dziurdzi, a drugi do Jakóba Szyszki odpowiedziały.

— Ty.

A w mgnieniu oka potem, niby raca, z trzaskiem wybuchając w powietrze, wybuchnął jeden niewieści głos, wszystkimi tonami namiętności, doprowadzonej do furii i żalu jakiegoś, graniczącego z rozpaczą, powtarzający w nieskończoność ten jeden wyraz. — Ty, ty, ty, ty!

Nic nad ten jeden wyraz Stefanowa wymówić nie mogła, bo trzęsła się od stop do głowy a z palających jej oczu, toczyły się na śniade i chude policzki strumienie łez. Śmiała się, drżała, płakała i, tupiąc nogami, wygrażając pięściami, krzyczała. — Ty! ty! ty! ty!

— Ja? — wymówiła kobieta stojąca pod rozplamionym krzyżem i opuściła ramię tak, że żółte dziewany i białe krwawniki rozsypały się po trawie i okryły jej bosc stopy. — Ja! — powtórzyła i załamała na spodnicy ciemne, spracowane ręce. Wiśniowe jej wargi rozwarły się szeroko, w oczach mignęło uczucie zgrozy. Trwało to jednak króciuchną chwilę i wnet po rumianych, pulchnych jej policzkach, po czole wązkiem i ustach rozwartych, drgać zaczęło mnóstwo figlarnych, wesołych uśmiechów, aż, zwyciężwszy

zdumienie i przerażenie, śmiech dźwięczny i zanoszący się wybuchnął z jęj piersi. Jak przedtęm pięśń, tak teraz śmiech jęj, rozlegał się po drodze i polu szeroko, dźwięcznie, rozgłóśnie. Czuć w nim było duszę żywą i świeżą, coś nakształt naiwności dziecka i niezmaconęj wesołości ptaka. — Ja! ja! — wołała wśród śmiechu, — ja pięrsza na ogień przyszła! Ja mleko krowom odebrała! ja wiedźma! oj, ludzie, ludzie! co wy wymyślili! czy wy *zdureli!* (zglupieli), czy wam pomieszało się w głowach!

I śmiała się wciąż tak, że aż dłońmi boki sobie przycisnęła i przeginała na wszystkie strony swą silną i kształną kibić. A gdy już tak wyśmiała się, że aż obu pięściami oczy z lez ocierać musiała, z drgającą jeszcze resztą śmiechu piersią, głóśno splunęła.

— Pfu! — zawołała — taką brzydka rzeczą na chrześcijańską duszę powiedzieć! Czy wam nie wstyd.

Schylona, zbierała przez chwilę z ziemi upuszczone z rąk zioła i kwiaty. Potęm wyprostowała się i tuż koło gromadki przechodząc, rzekła jeszcze.

— Stóćcież tu i czekajcie wiedźmy, bo jak Bóg jest w niebie, ona nie ukazała się jeszcze. Mnie pilno do mego i do dzieci. Bywajcie zdrowi!

Skinęła głową ku obecnym tak wesoło i uprzejmie, jakby o tęg, co ją od nich spotkało, całkiem już zapomniała, żwawym krokiem poszła drogą, wiodącą ku samotnej chacie i czerwono błyszczącej obok nięj kuźni. Idąc, zaraz w początku drogi, na skoczną, hulaszczą nutę śpiewać zaczęła najweselszą z pięśni wiejskich.

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na reku,
O, jak związuc białe ruczki,
Nie rozwiązuc do wieku!

Ludzie pozostali u ognia, stali z pochylonemi głowami, w milczeniu, które pięrszy przerwał Piotr Dziurdzia.

— Ot i okazał nam Pan Bóg wszechmogący krzywdzicielkę naszą...

Żony Piotra i Szymona głóśno westchnęły, a Stefanowa poskoczyła i przed mężem trzymającym w objęciu dziecko, stanęła. Obu rękoma trzymając się za biodra, naprzód pochylona, z wlepionemi w niego oczyma, przez zaciśnięte zęby wymówiła:

— Wiedźma, kowalicha! wiedźma miła twoja! Wiedźma twoje serdeńko najmilsze!

Zdawało się, że trzy te wykrzykniki, niby trzy policzki w twarz mu rzucała. On głowę swą ku głowie uspięnego dziecka pochylił i wyglądał zgryzionym, ponurym, lecz ani mniej ani więcej niż zwykle. Żony jakby nie widziały i popędliwych gwizdzących słów jęj jakby nie słyssały. Sam do siebie z cicha mruknął.

— To ja już dawno wiedziały, że ona jest wiedźmą!

Hoża Franka opuściła plecy i ramię ładnego parobka i zwrócona w stronę, w którą poszła kowalowa, z palcem do ust przyłożonym, głęboko nad częms rozmyślała. Ogień niepodsycany przygasał i blaski jego spelży już z krzyża, który wznosił się teraz na tle zmroku wysoki, czarny, niemy. Ludzie, którzy niby motyla na świecę, złapali wiedźmę na ogień rozniecony z osinowego drzewa, mogli już i do domów swych odejść, nie odchodzili jednak, dumali i słuchali, jak przy drodze, wiodącej do kuźni, w wierzbach i dzikich bzach, coraz częściej jęczały i łkały lelaki. Para goniących się nietoperzy krętym lotem przemknęła nad drogą i na ściernisko upadła. Na drodze wiodącej do kuźni, rozległy się jeszcze rozgłóśny i czysty głos kobiecy, wyśpiewujący drugą strofę skocznej pięśni.

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na piesok,
Paciera lata młode,
I swój tonki hałasok.

Śpiewowi temu zdawały się wtórować coraz częstsze uderzenia kowalskiego młota, a przez drzwi kuźni ulatywać zaczęły w mroczną przestrzeń coraz gęstsze roje czerwonych iskier. Śpiewająca kobieta przyspieszała kroku, a gdy niewielka przestrzeń dzieliła ją od samotnej chaty, z napełnionego jaskrawém światłem wnętrza kuźni, ozwał się mężczy,

basowy głos, który przy nieustającym stukaniu młota, połączył się z głosem niewieścim i donośnie wesoło zawtórował trzeciej strofie pieśni.

— Hili, hili szare husi,
Szare husi na Dunaj,
Nie chaciela idźci za muž,
Ciepier siedzi i dumaj!

II

Oj, dawno już, dawno, mieszkańcy Suchej Doliny, podejrzewali Pietrusię, wnuczkę ślepej Akseny, że posiadała ona wiadomości i moce takie, jakich posiadać nie można bez niejakiich stosunków z nieczystą siłą. Były to wprawdzie podejrzenia i przez nikogo głośno niewyrażane, ale pochodziło to tylko ztąd, że wśród niezliczonych trudów i trosk powszedniego żywota, nie zajmowano się niemi bardzo i ztąd jeszcze, że nikt nie posiadał jasnych dowodów, aby Pietrusia uczyniła komukolwiek, cokolwiek złego. Niemniej, podejrzenia te, w stanie zawiązkowym wprawdzie i głuchym, istniały. A jakże-by mogły nie istnieć, skoro pewne okoliczności życia Pietrusi, jako też pewne jej postęпки i cechy charakteru, wyjątkowemi były, to jest, niezupełnie takimi, jak wszystkich innych mieszkanek Suchej Doliny. Te wszystkie inne, naprzykład, rodziły się w tej wiosce, przed oczyma ludzi, tak, że ludzie pamiętali ich chrzciny i dziecięce lata; następnie po wyjściu za męża, żyły one w chatach, nie samotnie wśród pola stojących, ale rzędem przy sobie zbudowanych, tak, że w jednej wybornie widać i słycać było wszystkie sprawy i sprawki drugiej, a życie ich upływało różnie, swarliwie lub zgodnie, pracowicie lub leniwo, dostatnio lub ubogo, jak tam już której natura była i Pan Bóg dał, ale tak jak Pietrusia, żonka Michała kowala, nie wychodziła zamąż i nie żyła żadna. Żadna też nie wiedziała tyle dziwnych rzeczy, co ona. Zkąd ona je wiedzieć mogła? Chyba od ślepej babki swojej, Akseny, która przed wielu laty przywędrowała tu zkądś z malutką wnuczką, i wtedy jeszcze ślepa nie będąc, prosiła u ludzi o pracę jak o łaskę, a otrzymawszy ją, czyli pełniąc różne służby, to u najdostatniejszych gospodarzy Suchej Doliny, to w pobliskich dworach, Pietrusię swoją na dorosłą dziewczkę wyhodowała. Zdawało się, że na to tylko czekała, aby oślepnąć, a gdy to się już stało, nie krzyczała, nie lamentowała, tylko, wgramoliwszy się omackiem na piec, kądziel i wrzeczono w ręce wzięła i do wnuczki rzekła:

— Teraz ty duża i chwalić Boga, silna. Możesz pracować i mnie żywić do końca życia mego, tak jak ja ciebie żywiła od maleńkości, kiedy ci ojciec i matka jednego roku zmarli. Na przyodziewek sama sobie zarobię. Prząść i na pamięć potrafię.

Sucha to już wtedy i bardzo stara była babina, z twarzą, która wyglądała tak, jakby ją kto z żółtawej kości wyrzeźbił, i oczyma zaszłemi jakąś białą plewą. Nos miała długi i śpiczasty, wargi tak wyschłe i żółte, że ich prawie widać nie było, czoło w tysiąc drobnych zmarszczek sfałdowane. Przyodziewek jej był tak mały, że można było uwierzyć, że zarobi nań sobie, na pamięć przędąc. Samodziałowa sina spódnica, fartuch, koszula gruba i czepek z czarnej bawełnicy tak ściśle i gładko oblepiający głowę, że trochę tylko białych jak mleko włosów, wydobywając się z pod niego, otaczało jej czoło. Jakby na dowód, że to, co mówiła prawdą było, na piecu siedząc jedną rękę do kądzieli podniosła, a drugą z wrzecionem przed siebie wyciągnęła i prząść zaczęła. Nie widziała nic a nic, ani nawet dnia od nocy rozróżnić nie mogła, jednak z pod palców jej wywijala się nitka długa, a tak równa i cienka, że i z najlepszymi oczyma wyprząść-by tak nie łatwo. Od chwili do chwili palce śliniła i nić długą, równą, cienką snuła; w żółtej i jakby z kości wyrzeźbionej jej ręce wrzeczono kręciło się, furczało; wyschłe jej wargi zarysowały zaledwie widzialny uśmiech, a białkiem powleczone oczy zdawały się patrzeć w twarz wnuczki i mówić:

— A co? widzisz? ja choć ślepa, do niczego jeszcze nie jestem. Tylko strawę mi daj a na przyodziewek sama zarobię.

Pietrusia, siedmnastoletnia podówczas dziewczka, zdrowa i rumiana, choć jeszcze jak młoda topola cienka i wysmukła, siedziała na brzeżku pieca i oczy mając pełne łez, już, już wybuchnąć miała wielkim nad kalectwem babki płaczem i lamentem; jednak, widząc, że babka nie płacze, lecz owszem uśmiecha się trochę i wrzecionem furka a furka, pochyliła się, kolana i stopy jej ucałowała i rzekła tylko:

— *Dobre*, babulo, żywić ja ciebie będę i pilnować jak oka w głowie, tak jak ty mnie żywiła i pilnowała od małości, kiedy mi ojciec i matka jednego roku pomarli. Tak mnie Boże dopomóż, że będę.

Przy ostatnich wyrazach uderzyła się pięścią w piersi i zapłakała trochę, ale niedługo, bo i sama plaksiwą nie była i babka, po głowie ją pogłaskawszy zaraz, rzekła:

— Nu, *ciepierz* (teraz) do roboty *idź*. Niema czasu bzdurzyć. Piotrowa dziś *nieduża* (słaba), krów sama nie podoi i świni nie nakarmi. Idź krowy doić i świnię karmić.

Poszła i niby żwawy duch skrzętności uwijała się po zagrodzie. Była to zagroda Piotra Dziurdzi, którego żonka chorowała wtedy, albo niedomagala przez lat kilka, a że córki w domu nie było i synowie pacholętami zaledwie będący, żenić się jeszcze nie mogli, więc gospodarstwem kobiecym, za strawę i przyodziewek trudniła się Aksena wprzódy, teraz trudnić się zaczęła Pietrusia. Piotr był gospodarzem dostatnym i mogącym pozwolić sobie na ten zbytek, aby chorą żonę jego, sługa zastępowała. Było to zresztą koniecznością, na której wychodził nie najgorzej. Jak wprzódy Aksena, tak teraz Pietrusia robiły wszystko, co należało, z gorliwością kobiet, które nic a nic na całej ziemi Bożej nie posiadając, ludziom, którzy coś posiadają, z całych sił zasługiwać się muszą, zasługiwały się też one, jak tylko mogły. Chata Piotra pełną była nietylko pracy niewieściej, oszczędzającej i przysparzającej dobra wszelkiego, ale i czegoś innego jeszcze, co, nie będąc do życia niezbędnym, przyjemnia je przecież i rozwesela. Dwie te kobiety, z których jedna bardzo starą i ślepa, druga młodszą żwawą i wysmukłą była, napelniały mu chatę bajkami i pieśniami. Aksena umiała mnóstwo bajek, a Pietrusia mnóstwo pieśni. Były tam bajki i pieśni tutejszej okolicy właściwe i te, które Aksena przyniosła z sobą z tych stron dość dalekich, z których przed kilkunastu laty tu przywędrowała. Wędrowała, wędrowała przytułku i pracy szukając, aż tu przywędrowała, przytułiła się wraz z dzieckiem i wszystko co miała mieszkańcom Suchej Doliny oddała. Bajki z różnych stron pozbierane w wieczory zimowe opowiadała, a pieśni choć już sama nie śpiewała nigdy, to nauczyła ich wnuczkę swoją, której żywiołami rodzinnymi zdawały się być ruch, śmiech i śpiewanie. Zkąd u tej sieroty i tułaczki ubogiej wzięła się żywość i wesolość taka, że porównać-by ją można do ustawicznie tryskającej przejrzystej wody źródlanej? Trudno powiedzieć. Zapewne w sposób taki utworzyła ją sama natura, a wiele także znaczyło i to, że choć biedy i głodu zaznała czasem, złego obejścia się nie zaznała nigdy. Osłaniała ją przed niemi babka, ludziom zasługując się na to, aby jej nie krzywdzili, a sama za dzieckiem przepadając jak podróżujący w noc ciemną przepadał-by za jedyne gwiazdą, która-by przyświecała jego samotnej i kamienistej drodze. Wszystkich swoich na kamienistej swjej drodze, Aksena potraciła: córkę, która, urodziwszy Pietrusię, wkrótce potem umarła; zięcia, którego z tej ziemi zdmuchnęło tchnienie zarazy; męża, który z ręką zdruzgotaną w kole młocarni umarł w szpitalu; syna który poszedł do wojska, kędyś na skraj świata i nigdy już nie powrócił: rozłajdaczyl się może i w turmie zgnił, albo go na wojnie zabili... Oprócz tych wszystkich swoich ludzi, straciła ona jeszcze jedną rzecz swoją: mianowicie, wioskę rodzinną, która, piaszczyste grunta mając, a łąk i pastwisk nie mając, tak ubogą była, że kawałka chleba, gdy go zapotrzebowała, dać jej nie mogła. Nie z własnej woli, ale z konieczności poszła w świat cudzy. I któż o tym wszystkiem wiedząc, zaprzeczyć-by mógł, albo chociaż dziwić się temu, że wnuczka była dla niej tą jedyne gwiazdą, która przyświeca ciemnej i kamienistej drodze podróżnika. To też nie biła jej ona i nie łajała nigdy. Wprawdzie, pocałunkami i pieszczotami obdarzała ją bardzo rzadko; poprostu, nie miała na nie czasu i zawsze zmęczona fizycznie, z twardymi mięskami i silnymi nerwami swemi, potrzeby ich nie czuła. Ale nie zjadła nigdy łyżki stawy, zanim wprzód wnuczki nie nakarmiła, nie kupiła sobie przyodziewku żadnego, zanim ją czysto i cało nie przyodziała; na noc brała ją z sobą na piec i sukienną derką starannie okrywała, w niedzielę i święta śpiewać ją uczyła i opowiadała jej różne dzieje o dawnych czasach i ludziach, o dalekiej stronie rodzinnej, o czartach i upiorach, zbójcach i — aniołach, które sieroty strzegą i nad niemi srebrzyste skrzydła swe rozciągają. Pietrusia czuła się otoczona skrzydłem anielskiem i czasem do rówieśnic swych mówić zaczynała: — „Ona, jak ten anioł nade mną...” Lecz nigdy rozpoczętej mowy nie kończyła. Wyrazów jej brakło, czy też wstyd ją ogarniał, że tak śmiało tajemne myśli swe wypowiadać zamierza. Milkła, powieki z długimi rzęsami na szare źrenice spuszczała i róg fartucha w palcach kręciła. Ale zmieszanie to, jak wszelkie uczucie smutne albo przykre, przemijało w niej bardzo prędko. Ani w smutku,

ani w milczeniu, ani w nieruchomości długo wytrzymać nie mogła. Idąc podskakiwała zwykle, jakby ją do tańca brała ochota, pracując przyśpiewywała sobie; jedząc nawet, gadała i gadanie śmiechem przeplatała. Taką już była jej natura. Po zupełnym oślepieniu babki, na dni kilka spowolniała trochę i umilkła, ale i to jej prędko przeszło. Aksena nie skarżyła się wcale, owszem po całych dniach i wieczorach, na piecu siedząc, spokojnie sobie przędła i gdy potrzeba jej wypadła, z ludźmi rozmawiała, doradzała im i rozpowiadała rzeczy różne, jak gdyby nie wydarzyło się jej nic osobliwego. Pietrusia, nosiła jej na piec strawę, dmuchając na nią, gdy była gorącą, kartofle w krupniku łyżką drobiać, skwarki z zacierki lub kaszy wylawiając. W ręce ślepej, które wyciągały się po żywność i w powietrzu błędziły, łyżkę i chleb wkładała, tonem namowy mówiąc: — *Jesz* (jedz), babulo, *jesz* sobie, ja miskę potrzynam. Każdej niedzieli, z rana, gdy wszystko zrobiła, co tylko w chacie do zrobienia było, z kubłem wody i grzebieniem w rękę na piec wlażyła i przez całe półgodziny, trudniła się myciem i czesaniem babki. Szmatą umoczoną w wodzie, myła i szorowała twarz jej tak gorliwie, że przez parę dni potem błyszcząca ona zupełnie tak, jakby wyrzeźbioną była z żółtawej i wypolerowanej kości. Potem na białe jej włosy wkładała czepiec z bawełnicy czerwonej lub czarnej, a jeśli kiedy, w sobotę więcej niż zwykle czasu mając, suto go bawełnianą taśmą wygarniowała lub wąziutkim i błyszczącym galonikiem oszyła, to już bardzo zadowolona, z lubością przed ustrojoną tak babulą kołysała głową, językiem o podniebienie uderzając i powtarzając: — Ot jak ślicznie! oj! jak ślicznie! — Czerwonem garniowaniem, albo błyszczącym galonikiem otoczona, kościana twarz stariej, ślepemi, oczyma swęmi, zdawała się surowo wpatrywać w okrągłą, rumianą, roześmianą twarz wnuczki. Żółtym palcem dotykając czepca swego, stara pytała:

— A zkąd wzięłaś galonik?

— Piotr jeździł do miasta, to go prosiłam żeby kupił.

— A zkąd *brosze* miałaś?

— Z lata jeszcze schowałam, kiedy to żać chodziłam do dworu.

Stara milkła. W głosie wnuczki słyszała szczerłość. Ale po chwili zapytywała znowu.

— A nie udaje się kto do ciebie?

Oczy spuszczaając, dziewczyna odpowiadała.

— A udają się. To już ja tobie, babulo, przeszłej niedzieli mówiła.

— Stepan Dziurdzia? — Tonem zapytania szeptała stara.

— Ale!

— A więcej kto?

— Toż ja mówiła! Michałko Kowalczuk.

— Aha! to nic... Na to ty dziewczka, żeby do ciebie *kawaliry* udawali się. Ale galonu od nich nie brałaś, ani paciórek, ani hroszy, ani nic? Nie brałaś

— Nie brałam.

— Pewno?

— Dalibóg.

— Pamiętaj. Sierotą jesteś i tylko na Bozkiej opiece, nie daj się skrzywdzić, bo zginiiesz, tak jak ta kropla wody w wielkiej rzece... Ja już teraz na ciebie nie patrzę, ale Pan Bóg patrzy i ludzie także patrzają. Pamiętaj, żeby na tobie grzechu przed Bogiem, a wstydu przed ludźmi nie było. Kiedy który lubi, niech żeni się, a kiedy żenić się nie chce, to ty jego przy zbliżeniu się wszelakiem, raz, dwa, trzy, w pysk! *taj hodzi!* Dziewczyna powinna być jak ta szklanka, kiedy ją w wodzie krynicznej wymyją, ot co!

I długo jeszcze staruszka w sposób taki do wnuczki przemawiała, a powtarzało się to każdej niedzieli. Jednej zaś niedzieli tak do niej rzekła: — Jeżeli kogo polubisz i zechcesz koniecznie, żeby on z tobą ożenił się, to powiedz mnie. Ja na to sposób znajdę... Na to już ja twoją babką i jedyną na tym świecie opiekunką jestem, żeby ciebie w każdej godzinie ratować...

Bardzo zawstydzona, ale zarazem i zaciekawiona Pietrusia szepnęła:

— A jakież to sposoby, babulo?

Stara po cichutku prawić poczęła.

— Wszelakie są na to sposoby. Można nietoperza w mrowisku zakopać i, jak go mrówki ze wszystkim zjedzą, z kosteczek jego jedną taką wybrać; można i ziela takie-

go poszukać, co nazywa się *zabarduszką*, a korzonki ma takie, jak niby to dwie rączki połączone... Można i innego ziela...

Wszystko to stara prawda z powagą wielką i tajemniczością niejaką, a prawda-by była daleko dłużej, gdyby ją była Pietrusia mocno za fartuch nie pociągnęła. I przytém wstydliwie lecz razem radośnie zachichotała.

— *Hodzi*, babulo, — szepnęła, — *hodzi!* Niczego mi tego nie trzeba. Ani nietoperza, ani *zabarduski*, ani innego ziela nie trzeba. On i tak ożeni się ze mną.

Stara widocznie z natężeniem wielkiém uszy nastawiła:

— Który? — zapytała.

— A Michałko.

— Kowalczyk?

— Ale.

Babka przyzwalająco pokiwała głową.

— Dobrze, — rzekła, — dobrze, czemu nie? chatynkę swoją i kawałek swojej ziemi po ojcach ma. Przytém rzemieślnik... Ajaj! Jakby było dobrze! *Kab tolko żenił!*

— Oj, oj! — tryumfująco zadzwoniła Pietrusia, — dalibóg ożeni się! mówił mnie nie raz, ale sto razy...

Tak mówiąc, rozpromieniła się cała. Z młodzieńskich wesołych oczu jęj trysnął snop promieni, zęby jak perły błysnęły z za czerwonych warg. I wielka, niezmacona radość tak ją całą napelniała, że nie mogąc na miejscu wysiedzieć, zeskoczyła z pieca i zaczęła, po izbie kręcąc się, na całe gardło wyśpiewywać.

— Jeść u mnie mój mileńki

Wsia moja rodzina,

Jak przyjedzie on do mnie

Szczaśliwa hadzina!

Izba była pustą, bo w niedzielny ranek Piotr z Piotrową pojechali do kościoła, a chłopcy na ulicy wiejskiej z rówieśnikami hulali. Piosenka, przez Piotrusię rozpoczęta, miała drugą, trzecią i czwartą strofę, i dziewczyna prześpiewała je wszystkie, jak fryga zwijając się po izbie, stół mokrą szmatą wycierając, do pieca na gotującą się strawę zaglądając, kury nakoniec, które na środek izby powylażyły, do ciemnych spędzając podpiecków. Kiedy nakoniec, śpiewanie dziewczyny i gdakanie kur i chrząkanie wypędzonego do sieni wieprzka umilkły, ze szczytu pieca ozwała się Aksena.

— Pietrusia!

— A co?

— *Chadzi tu.*

Wskoczyła na tapczan u pieca stojący i zapytała:

— Co, babulo?

— Ot co. Michałku, teraz dwudziesty piérwszy roczek idzie.

— Ale, — potwierdziła dziewczyna.

— To to i bieda. Jakże on z tobą ożeni się, kiedy jemu trzeba do wojska iść?

Dziewczynę uwaga ta babki przestraszyła zrazu bardzo.

— Nie może być! — krzyknęła.

Stara głową pokiwała.

— Oj dziecko z ciebie gorzkie! albo ty o tém nie wiedziała?

Co ona tam miała o jakimś wojsku wiedzieć? Ani pomyślała nigdy, że jakie wojska są na świecie. I *miły* nie mówił jęj ani razu, że w *soldaty* pójdzie, choć o tém dobrze wiedzieć musiał, ale zwyczajnie młody, kiedy lubił dziewczynę, szeptał z nią u opłotka albo i kibić jęj obejmował, wtedy o tém, co będzie kiedyś, nie myślał. Stara Aksena, wiele wiadomości o świecie i doświadczenia posiadała. Czy raz już, czy raz w swém życiu widziała chłopców w *soldaty* branych, którzy wracali nieprędko, nieprędko, a czasem tak jak i jęj syn rodzony, nie wracali nigdy! Jeżeli która dziewczyna czekała na nich, rutkę przez życie całe siać była zmuszoną, bo choć powrócił który, to z inném sercem, z innemi myślami. A jeżeli ślub z nim wzięła, zanim w świat poszedł, jeszcze gorzej było, bo życie soldatki, to już takie życie, że niech od niego Bóg święty obroni! Wszystkie te i wiele innych rzeczy, długo

Aksena do ucha dziewczynie szeptała, aż Pietrusia, splótszy na twarzy ręce, rozplakała się rzewnymi łzami.

— Nu, — tonem perswazyi zaczęła babka, — to idź za Stepana Dziurdzię. I on do ciebie chętny, a gospodarz z niego dostatni. Słodkie ci życie z nim będzie.

Dziewczyna zatupała po tapczanie bosemi stopy.

— *Za niszto!* (za nic) — krzyknęła — żeby tam nie wiem co, Stepanową żonką nie będę.

— Czemu? gospodarz taki i młody i wyrośnięty jak ten dąb i *bratów* ma bogatych.

Pietrusia oczu nie odslaniała i z ruchami gwałtownej niechęci i niecierpliwości, wciąż tylko powtarzała:

— *Za niszto!* nie pójdę za niego! nie pójdę! nie pójdę!

I dopiero na gwałtowne dopytywanie się babki, niechęci swęj przyczynę wyznała. Było tam raczej przyczyn dwie.

— *Hadkij* (wstrętny) mnie on i *wielmi zapalczywyj. Bić budzie!*

Ani słowa przeciw temu Aksena powiedzieć nie mogła. Znała Stepana Dziurdzię od dawna i wiedziała, że istotnie był on gniewliwy, porywczy, łatwy do swarów i bójek. Oczy jego miewały od młodu błyski silnych i srogich namiętności, giesty były prędkie i zapalczywe, głos szorstki i gruby. Pracowitym był, roztropnym w radzie i rozmowie, upijał się bardzo rzadko, gospodarstwo miał dostatnie, a długu grosza jednego nie miał; jednak we wsi miru i powagi nie posiadał, bo opryskliwością swą, grubém łajaniem i skorą do bójki pięścią, naraził się wszystkim, a dziewczęta, to już wprost uciekały od niego, tak się go bały. Kilka razy już do chat różnych swaty posyłał i nigdzie go nie przyjęto. Dziewczęta, zanosząc się od płaczu, krzyczały w niebogłosy: — *bić budzie!* jeszcze kiedy zabije! — rzucały się do nóg rodzicom, błagając, aby nie wydawali za tego *Heroda*. Stepan wykrzykiwać począł, że nie dba o te *durne* i pośle swatów do drugiej wioski, ale w tém, w chacie stryjecznego brata jego, Piotra, Pietrusia dorosła i odtąd Stepan, na żadną inną dziewczkę ani spojrział. W nią oczy wlepił i do chaty braterskiej chodził a chodził. Przyjdzie bywało, i bez potrzeby żadnej zasiedzi się na ławie godzinę i dwie. Czasem orać trzeba, albo kosić, albo młócić a on siedzi i za dziewczyną oczyma wodzi, na krzątanie się jęj i skoki patrzy, śpiewania jęj słucha i gniewliwa twarz jego łagodnieje tak, że można-by ją, zda się, niby masło na chleb posmarować. Piotrowi już raz powiedział.

— Biedna ona, czy nie biedna, ja do nięj swatów przysłę...

— Przybłęda, — zauważył Piotr.

— Przybłęda, czy nie przybłęda, swatów przysłę, żeby tylko u nięj przychylność jaką zobaczył.

Ale przychylności dla niego w Pietrusi nie było ani śladu. Jak Stepan w nią, tak ona w Michałka Kowalczuka oczy wlepiła i tak samo jak inne dziewczęta z płaczem teraz babce mówiła.

— *Nie chaczu!* *Za niszto nie chaczu!* bić będzie! jeszcze kiedy zabije!

Po tém, co powiedziała jęj babka o przyszłym a niezawodnym losie Michałka, wypłakała się i znowu krzątać się po chacie i śpiewać zaczęła:

— Ni tam szczęście, ni tam dola,

Hdzie bogaty ludzie,

Kto z miłości sia załuczyć

Tomu miłość budzie!

Przerywając sobie śpiewanie, rzekła:

— Ot, może nie pójdzie... co tam! Może Michałek w żołdacy i nie pójdzie...

Potém dodała:

— Żeby tylko dziś przyszedł...

Aksena, której może żal było, że wnuczkę do płaczu gadaniem swém doprowadziła, ozwała się z pieca:

— Rzuć wiennik do ognia.

— A na co? — zadziwiła się Pietrusia.

— Rzuć wiennik do ognia, — powtórzyła stara, — jak spalisz *wiennik*, goście będą.

Pietrusia wrzuciła w ogień starą miotłę, a gdy dnia tego Kowalczuk przyszedł istotnie do chaty Piotra, uwierzyła święcie w cudowną skuteczność tego środka i doradzała go potem wszystkim rówieśnikom swoim. I czy jedną również dziwną i jeszcze dziwniejszą rzecz Pietrusia ludziom mówiła i doradzała? O tych wszystkich rzeczach dowiedziała się od babki, a ponieważ ustawicznie trzepała językiem, niczego w tajemnicy nie zachowała i nie pomyślała nawet nigdy o tajeniu się z czémkolwiek, jednak pomimo wczesnej mądrości swój, nie odgadła raz wróżby, która tyczyła się własnej jój doli. Dnia pewnego chleb z pieca łopatą dostawała. Zazwyczaj pieczenie chleba udawało się wybornie. Doświadczone nawet gospodynie, dziwowały się zawsze doskonałości jój pieczywa, szepcząc pomiędzy sobą, że chyba jój jakaś *siła* dopomaga, kiedy tak nigdy w niczym nie chybi. Siłą tą była istotnie pilność i zręczność dziewczyny, która gdy cokolwiek robiła, to już całą duszą i dziwną zgrabnością. To też i teraz, bochny chleba jeden po drugim ukazywały się na łopacie i z łopaty zsuwały się na stół, rumiane, pulchne, w miarę wypieczone, pachnące tak, że aż izba cała zapachniała. Dobry kęs chleba — wesele chłopca. Piotr, siedząc na ławie, z łokciami o stół opartymi, uśmiechał się w zwykły sobie sposób łagodny i poważny; wciąż jeszcze niedomagająca Piotrowa, piorąc jednak u pieca grube szmaty, z uśmiechem też o czémś prawiała; dwaj dorastający chłopcy, hałasując, palcami pulchności chleba probowali i jedna tylko doskonała piekarka nie śmiała się i nie uśmiechała nawet. Tak ważną czynność jak wydobywanie z pieca chleba, spełniała ona zawsze z polickami rozognionymi od gorąca, z rękawami koszuli zawiniętymi po łokieć, z wyдутymi wargami i trochę nawet zmarszczonym czołem. Nagle krzyknęła:

— Aj! aj!

I ostatni bochen chleba, na stół zsunąwszy, łopatę na ziemię upuściła i ręce załamała — Oj Boże, mój Boże, — z płaczem prawie zawiodła. Piotr i Piotrowa jednocześnie szyje powyciągali, na chleb spojrzeli i jednogłośnie rzekli. — Pęknięty czy co?

Nie mylili się. Ostatni bochen chleba wyszedł z pieca na wskroś prawie pęknięty, jakby nożem na dwoje rozkrojony.

— Pęknięty, — powtórzyła Pietrusia.

Kilka sekund trwało milczenie, aż z pieca ozwał się stary głos Akseny.

— Ktoś się odłączy!

Piotrowa rękę do czoła i piersi poniosła.

— W imię Ojca i Syna... Niech Pan Bóg miłosierny... nas od wszelkiego nieszczęścia broni!

— Ktoś się odłączy! — powtórzyła stara.

— Z chaty czy ze wsi? — zapytał Piotr.

Aksena po chwili namysłu odpowiedziała:

— Może z chaty, a może i ze wsi, ale ktoś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodzi.

Istotnie, odłączył się od Suchej Doliny ktoś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodził: Michał Kowalczuk los wyciągnął i ze wsi wywędrował — do wojska. Przedtém jednak, widziano o zmroku dwoje ludzi, długo siedzących na wielkim, omszałym kamieniu, za wsią, tam gdzie drogi rozchodziły się w cztery strony świata i wznosił się stary, wysoki krzyż. Dwaj parobcy przechodzili tamtędy ze dworu, w którym najmowali się do młocarni, i odpowiedzieli w wiosce, że Pietrusia na kamieniu pod krzyżem, żegna się ze swoim Kowalczukiem. Mówili o tém, śmiejąc się na całe gardło. Zaśmiały się kobiety. — Niechaj żegna się, — mówiły, bo to już będzie na wieki wieków, amen!

Wszyscy we wsi jednogłośnie utrzymywali, że Pietrusia pożegnała się ze swoim miłym, na wieki wieków, amen. Powrócić, to powróci on tutaj pewno, bo swoją ziemię i chatę w Suchoj Dolinie ma, ale aż za sześć lat, a sześć lat, to dla dziewczyny wiek. Albo za kogo innego tymczasem pójdzie, albo i zestarzeje, a Kowalczuk ją nie zechce. Gdzieby on tam za sześć lat jeszcze zechciał! Z innym sercem i z innymi myślami z dalekiego świata powróci. Nawet stara Aksena toż samo mówiła wnuczce, która jednak przecząco głową wstrząsnęła i wciąż powtarzała: — Powiedział, że jak powróci, ożeni się ze mną. Powiedział: czekaj ty na mnie, Pietrusia...

— I ty *durna* będziesz czekać?

— Będę.

Stara zaniepokoiła się bardzo; zeschnęły wargi jej i kościane policzki często odtąd poruszały się w sposób taki, jakby coś z trudnością wielką w bezzębnych dziąsłach swych przeżuwała. Kilka razy jeszcze do wnuczki rzekła:

— Idź za Stepana, może nie będzie bić, a jeżeli kiedy i wybije, to co? Lepiej zawsze w mężowskią chacie siedzieć, jak przez całe życie na cudzemu chorować.

Ale na te wszystkie perswazyje i namowy Pietrusia jedną tylko miała odpowiedź:

— Nie *chaczu*, nie *pajdu*.

Piotrowa także namawiała ją, żeby za Stepana szła. — Bogaty, — mówiła — i pracowity, gospodarny, niepijący. Będziesz u niego w kupnych perkalach chodzić i sadło łyżką jeść.

Dziewczyna odpowiadała:

— Niechaj Stepanowe sadło świnię jedzą.

Te namowy, które spotykała ze stron wszystkich obudziły w niej gniew, pierwszy zapewne w życiu. Zaciskała potem usta i nie odpowiadała nic. Żeby tam nie wiadomo co mówili przed nią o Michałku i o Stepanie — milczała. Baby swoje, a ona swoje. One gadają, namawiają, użalają się nad jej głupotą, łają nawet — ona milczy; krowy bywało doi, czy szmaty pierze, czy świnię karmi, czy chleb mięsi i milczy. Uparła się. Mniemała też zapewne, że ludzie pogadają, pogadają i w pokoju ją zostawią, pozwalając, aby sobie żyła wedle woli. I było-by to najpewniej nastąpiło, gdyby tylko Stepan odczepił się od niej. Ale on o tym ani myślał. Kilka razy chciał już objąć ją i pocałować, to na dziedzińcu, to w ogrodzie, to w oborze; zawsze jednak zdołała ona uciec od niego tak, że ani do uścisków ani do klótni nie przyszło. Raz przecież przyszedł w niedzielę, kiedy w chacie, prócz niej i stariej Akseny nie było nikogo. Ujrawszy go we drzwiach, Pietrusia skoczyła do komory, gdzie zaczęła niby to groch z worka na wieczernię do garnka sypać, ale Stepan wnet znalazł się przy niej i, obejmując ją jedną ręką, drugą próbował zasunąć z we wewnątrz drzwi komory. Przyczem wyglądał tak strasznie i tak przeraźliwie kłął dziewczynę, którą już teraz na pewno, jak mówił, w pułapkę pochwycił, że zrazu krzyknęła ona w niebogłose i ciemno zrobiło jej się przed oczyma. W mgnieniu oka przecież odzyskała przytomność i może na pamięć przysły jej słowa i rady babki, bo z twarzą czerwoną jak piwonia, z iskrzącymi się oczyma, zaciśniętymi ustami, wyrwała się z objęć chłopca, i obie ręce w górę podniosła. Raz, dwa, trzy w pysk! *taj hodzi!* Stepan jak oparzony z komory wyskoczył, a potem i z chaty. Uczynił to głównie dla tego, że usłyszał w sieniach kroki Piotra, a świadka wstydu swego mieć nie chciał. Pietrusia w ogniu i łzach cała, upadła do kolan babki, która nakrzyk jej zsunęła się z pieca i na kiju wsparta, stała przed drzwiami komory, kościanymi szczękami gwałtownie poruszając i bielmem zaciągniętymi oczyma zdając się z nateżeniem wpatrywać w przestrzeń. I teraz jednak nie wybuchnęła ona ani gniewem, ani lamentem, tylko żółte jej ręce po chwilowym błędzeniu w powietrzu znalazły głowę wnuczki i ogarnęły ją tak jak gdyby drogi jakiś przedmiot utracony, na nowo chwyciły. Po chwili rzekła:

— Nu, Pietrusia, już nam tu niema czego popasywać... Już tobie tutaj dobrej do li nie będzie. Pokłońmy się Piotrowi, i Piotrowej żonie za chleb i za sól i gdzieindziej *mandrujemy*.

Chleb i sól Pietrusia z łatwością znalazła, bo słygnęła już w okolicy całej za pracownicę wyborną. W małym, sąsiednim dworku szlacheckim, wzięto ją za folwarczną dziewczkę i pozwolono babkę trzymać przy sobie, z warunkiem, aby za strawę stara przędła dla dworu i len i wełnę. W dwa dni po owej ostatecznej rekurzie, którą w postaci trzech rozgłosnych policzków Stepan Dziurdzia od ubogiej sieroty otrzymał, o samym świcie otworzyły się drzwi Piotrowej chaty i wyszła z nich Pietrusia, w krótkiej siermiędze i siniej spódnicy, w płtykach trzewikach i czerwonej chustce na głowie. Cały przyodziewek swój i babki w płóciennym worku na plecach niosła, a u piersi trzymała, owiniętą w płótno przęślicę. Za nią szła ślepa Aksena, w siermiędze także, płtykach trzewikach i czarnym czepcu. Jedną ręką kijem wciąż dotykała ziemi, drugą trzymała mocno rękaw siermięgi wnuczki. Były obie jednostajnie prawie wysokie i szczupłe; wyszły z chaty Piotra i szły przez wieś wyprostowane i milczące. Nad niemi, pod wiosennym niebem, tułały się jeszcze białe mgły nocne, z obu stron stały domowstwa pozamykane i nieruchome drzewa ogrodów. Krowy nie ryczały, kury nie gdakały i psy nawet nie czekały jeszcze. Tu i owdzie tylko, około wrót otwartych, albo za niskim płotem ukazywała się wcześniej od innych zbudzona

jakaś postać ludzka i, ujrawszy te dwie kobiety w świtaniu przez wieś idące, obojętnie albo z litością w głosie je pozdrowiała.

— Z Bogiem idźcie!

One jednogłośnie odpowiadały.

— Z Bogiem zostawajcie.

I szły dalej. Rumiana dziewczyna z wesołemi oczyma prostowała się i przyśpieszała kroku a do rękawa siermięgi jęj przyczepiona, stara babka dreptała za nią pośpiesznie, lecz spokojnie, w świat, którego nie widziała, wlepiając swe ślepe źrenice i dotknięcie jego czując w powiewie rannego wiatru, który do koła jęj czarnego czepca i żółtej kościanej twarzy, podnosił i strzępił białe jak mleko włosy

Co tam działo się z Pietrusią w folwarku szlacheckim, o trzy wiorsty od Suchej Doliny, mieszkańcy wsi niewiele o tém wiedzieli. Służyła i koniec. Za mąż nie szła. W rok po wyjściu jęj ze wsi Stepan Dziurdzia, formalnie i według zwyczajów wszelkich swaty do nięj posyłał. Odprawiała swatów z niczém, a Stepan potém przez cały tydzień wódkę pił w karczmie i bił się z kim popadło. Ludzie na dobre mówić już zaczęli, że dziewczka cośiś mu zrobiła, kiedy tak zapomnieć jęj nie może i desperuje po nięj. Napić mu się czegoś dała, aby nigdy już od nięj nie odstał. I na co jęj to, kiedy go nie lubi i nie chce? Będąca wówczas przy życiu matka Stepana, za syna na Pietrusię rozgniewana srodze, raz rzekła. — Wiadomo. Babkę ma wiedźmę, co tylko to i wymyśla, żeby ludziom biedę jaką zrobić. Niebawem przecież Stepan ożenił się z dziewczką z sąsiedniej wioski i gadaniny ludzkie o Pietrusi ustały. Widywano ją rzadko; czasem tylko dziewczki z Suchej Doliny, idąc od żniwa lub grabienia, spotykały się z nią, gdy także szła do domu z sierpem lub grabiami i mijając dziewczynę, której lata za dwudziestówkę już przeszły, niby tak sobie, ale w rzeczy samej do nięj śpiewać zaczynały.

— Hyli, hyli szare husi,

Szare husi na Dunaj,

Nie chaciela idźci za muź

Ciepier siedzi i dumaj.

Czasem też ktoś dawno znajomy, spostrzegłszy ją, z politowaniem głową pokiwał, albo i zażartował. — A cóż, twój Kowalczuk prędko powróci?

Nie prędko, ale powrócił i było to dla niego rzeczą konieczną, bo miał podewsią, po ojcach odziedziczoną ziemię i chatę, w której tymczasem cudzy jakiś człowiek, dzierżawca podobno, gospodarował. Dnia pewnego, w niedzielę, gruchnęła po wsi wieść o tém, że Kowalczuk powrócił już z wojska i w swojej chacie porządek z dzierżawcą robi a wieczorem, kiedy mnóstwo ludzi rozmawiało, piło i tańczyło w karczmie, on sam ukazał się tam ale w postaci tak zmienionej, że zaledwie poznać go zdołano. Gdy wieś opuszczał suchy był jakiś, chuderlawy, na dorastające pacholę więcej niż na urodziwego mężczyzną wyglądający i tak jak wszyscy chłopci w Suchej Dolinie, ubierający się w sukienną siermięgę, albo kapotę z sinego czy czerwonego płótna. Teraz gdzie! Lata wojskowych ćwiczeń i marszów rozszerzyły mu ramiona i piersi, a twarz wprzódy bladą, oblały zdrową, głęboką śniadością, zmężniał i wyprostował się; czarny wąs urósł mu nad wargami, oczy patrzyły śmiało i roztropnie a miał na sobie nie siermięgę i nie kapotę, ale surdut z ciemnego sukna, porządne buty na nogach a na szyi jaskrawą chustkę. W tém ubraniu z papierosem w ręku, zjawił się w karczmie a ze stron wszystkich witany i podziwiany, wszystkich nawzajem poznawać i witać zaczął. Od razu poznać można było po nim, że dużo świata widział, porozumniał, wygrzeczniał, ale do wioski swojej z radością powracał. Dawnym znajomym garniec wódki zafundował i sam parę kruczków wypił, ale więcej to już za nic nie chciał. Papierosy palił, rozprawiał, o szerokim świecie rozpowiadał i, pomiędzy tańczących wmieszawszy się, z dziewczętami *miecielice* i *kruciela* tak zawzięcie i zgrabnie wywijał, jak gdyby był nigdy ze wsi nie wyjeżdżał. Na środku karczmennej izby wznosiły się takie chmury pyłu, że mętnie tylko rozróżnić w nich można było ciężkie postacie tańczących parobków i pstrą odzież dziewcząt. Ale Kowalczuka każdy mógłby zaraz wyróżnić w tej gromadzie, wirującej śród gęstej kurzawy, nietylko po ciemnym surducie i jaskrawej chustce na szyi, ale najbardziej po zręczności i gipkości ruchów. On

to z największą fantazyą wykrzykiwał w tańcu: hu, ha! i po kilkudziesięciu obrotach *mielicy* z najbardziej zamaszystą gracyą, zdyszana swą tancerkę dokoła izby oprowadzał. Ze wszystkimi dziewczętami żartobliwe kłótnie porozpoczynał, ze wszystkimi choć raz przetańczył, w oczy każdej zająrzył, jedną nawet wstydliwie od niego uciekającą, pomiędzy piecem a drzwiami schwycił i wycalował — a o Pietrusi ani wspomniał, ani się o nią u kogokolwiek zapytał. Przypomniały mu ją starsze kobiety, które, go wprost z pomiędzy tańczących porwawszy ścisłym kołem obstały i języki porozpuszczały. Tak i tak, z Pietrusią było, mówiły, tak i tak. To i to działo się pomiędzy nią a Stepanem, to i to doradzali jej ludzie, tam i tam poszła, tak i tak dogryzają jej czasem i śmieszne pieśni do niej śpiewają. Kowalczuk słuchał babskiego gadania i śmiał się tak, że aż mu z pod czarnego wąsa białe zęby błyskały, że aż gruby śmiech jego przygłuszał babskie gadanie, ale nie mówił nic. Ani o Pietrusi, ani o swoich zamiarach nie powiedział jednego słowa i, poczęstowawszy baby wódką i sérem, znowu tańczyć i hulać zaczął jeszcze sierzścić niż wprzódy. Wtedy, jasno zrobiło się wszystkim, że on już o Pietrusi ani myśli. — Z innym sercem i z innymi myślami powrócił, powiadano. Inni dodawali. — Gdzie jemu teraz o niej myśleć. Przybędą ona i tyle tylko, że koszulinę jaką na grzbiecie ma, a już i stara z niej dziewczka, ot chyba już jej dwudziesty czwarty roczek idzie. On by mógł teraz ożenić się i z panienką jaką...

Może ci, którzy tak utrzymywali nie mylili się wcale, może istotnie Kowalczuk nie myślał już o Pietrusi i upłynione lata, zaznane wrażenia, zatarły w nim pamięć o dziewczynie i przyrzeczeniach, które po sobie jej pozostawił. Przez dwa tygodnie ani widział jej, ani starał się zobaczyć. Powiadano, że ze swoim dzierżawcą wciąż porządek robił, co właściwie znaczyło, że wyprawiał go z chaty, nie bez głośnych kłótni i pretensyi o zrujnowanie gospodarstwa, z którymi nawet do sądów poszedł. Widać było od razu, że zamierzał porządnie rękawy zawinąć do pracy, nietylko rolnę ale i kowalskię, oświadczył bowiem gromadzie, że tak jak dziad i ojciec jego kowalstwem się tu trudnili, tak i on trudnić się niem będzie, czyja więc łaska niechaj do kuźni jego przybywa. W parę tygodni dopiero po swym powrocie, w gorący dzień letni, poszedł sobie drogą, het, daleko, pomiędzy szerokie pola. W białym, płóciennym surducie i wojskowej czapce na głowie, szedł widać bez celu, zwolna, papierosa palił i z fantazyą przeginał się trochę w obie strony, zwyczajnie jak kawaler dostatni, rozumu swego świadom i którego o nic głowa nie boli... Tak zaszedł aż za brzożowy lasek, jedno z okolicznych wzgórz obrastające, a za którym leżała szmata pola, dojrzałym zbożem okryta. Dziś właśnie, zboże to żąć zaczęto; kilkanaście żniwiarek pochylało się nad złocistą falą, która w miarę poruszania się ich rąk, zdawała się do stop im się skłaniać, Kowalczuk stanął u skraju lasku i patrzył na jedną ze żniwiarek, która, wyprostowawszy się podjęła w ramionach wielki snop żyta i kilka kroków uszedłszy, rzuciła go tam, gdzie wiele już innych snopów leżało. Potem, sierpem w powietrzu błysnąwszy, pochylała się znowu i żąć zaczęła; żnąc zbliżała się coraz ku temu miejscu, na którym stał Kowalczuk, ale głowy nie podnosiła wcale i tylko ręce jej poruszały się prędko, coraz prędziej, krzesząc sierpem tuż nad ziemią stalowe błyskawice, Kowalczuk usta trochę otworzył i w tę żniwiarkę wpatrywał się jak w tęczę, papieros niedopalony za siebie rzucił i ręce na piersi skrzyżował. U skraju lasku, pomiędzy brzożami, stał jak słup i pod czarnym wąsem uśmiechać się zaczął. Dostrzegł wyraźnie, że zbliżająca się ku niemu żniwiarka, jakkolwiek schylona, doskonale wiedziała, że on tam stoi; zerkała czasem na niego z pod powiek, ale nie odezwała się ani słówkiem i głowy nie podnosiła, owszem, coraz prędziej i zapalczywiej żęła. Kiedy nakoniec o kilka kroków tylko znalazła się od niego, Kowalczuk odezwał się sam:

— Dobry wieczór, Pietrusia!

Wtedy i ona wyprostowała się, ręce z sierpem na spodnicę opuszcła i odpowiedziała:

— Dobry wieczór.

Ale nie patrzyła na niego; powieki z długimi rzęsami okrywały jej źrenice, profilem ku niemu zwrócona, zdawała się oczekiwać czegoś, albo po prostu, wśród pracy przez chwilę odpoczywać. Kowalczuk z gracyą oparł się łokciem o wystający sęk drzewa i, mrużąc oczy, przemówił znowu.

— Czy to pięknie, taką obojętność dawnemu znajomemu okazywać?

Żniwiarka wzruszyła ramionami i, nie podnosząc powiek, gniewnym jakby tonem odburknęła.

- Jaka tam obojętność!
- A jakże! czy-to tak Pietrusia przywitać się ze mną powinna?
- Kiedy kto ze mną nie wita się, to i mnie witać się potrzeby niema.

Kowalczyk opuścił drzewo, o które wspierał się i parę kroków ku niej postąpił. Oczy jej były ciągle spuszczone, a ręce z sierpem na spodnicę opadały. Od kilku już godzin żęła, dzień był skwarny i gęste bujne krople znoju świeciły na ogorzałém jej czole i policzkach tak prawie czerwonych, jak polny mak, który z ciemnych włosów opadał jej za ucho. Kowalczyk patrzył w nią jak w tęczę. Zdawało się, że przypatrywał się tak tym kroplom potu, któremi twarz jej gęsto skropioną była.

- Cóż ty? — zaczął znowu — pracujesz a horujesz...
- Horuję — odpowiedziała.
- Jak ten wół w jarzmie?
- Jak ten wół...
- U cudzych ludzi?
- U cudzych.
- I starą babulę przy sobie żywisz.
- Żywię.
- Znowu krok bliżej ku niej postąpił.
- A czemu za Stepana Dziurdzię nie poszła? — zapytał.
- Bo nie chciałam — odpowiedziała.
- A namawiali ludzie?
- Namawiali.
- I babula kazała?
- Kazała.

— To i czemuż nie szła? Było iść, we własnejbyś chacie pracowała, w kupne perkałe ubierała się i codziennie jajecznicę ze słoniną jadła...

Tym razem, dziewczyna żywo z nogi na nogę przestąpiła i odburknęła.

— Niechaj Stepanową jajecznicę *świnie* jedzą...

— A teraz dziewczęta śmieszne pieśni do ciebie śpiewają, że niby już stara dziewczka z ciebie.

Wzruszyła ramionami.

— Niechaj sobie śpiewają.

Kowalikowe oczy roziskrzyły się i ręce zatrzęśły trochę.

— Co ty tak do mnie, niby gadasz, niby nie gadasz... jak do psa jakiego... Rzuci słóweczko i znów milczy i w oczy nawet nie spojrzy... co ja tobie złego zrobił?

Tym razem Pietrusia z rąk sierp upuściła i dłonie do głowy podnosząc, zajęczała.

— Oj, zrobił ty mnie, zrobił niedolę dla życia całego i pośmiewisko dla ludzi... Dwie niedziele już temu powrócił, a o mnie ani wspomniał, ani nawet przyszedł dobre słowo powiedzieć, ani w tę stronę gdzie ja była spojrzął...

Wstrzymała łzy, które niemal wytryskały jej z oczu, schyliła się po sierp i, czyniąc ruch taki, jakby odejść miała, wpół z płaczem, wpół z gniewem zawołała:

— Nie chcesz ty mnie, nie chcę ciebie i ja... *Idzi z Łabudową córką żenisia...* najbogatsza w *całom siele* i oczy ma takie, że jedno na prawo patrzy a drugie na lewo... *Idzi do Łabudowej córki z Bohom od menie.*

Otóż te oczy, te oczy, które u Łabudowej córki zezowate były i przebrzydłe, stanowiły u Pietrusi czar taki, że silniejszego nadeń żadna wiedźma wymyślić-by nie mogła. Zresztą, nic tak bardzo osobliwego w niej nie było. Równie zgrabnych i świeżych jak ona znaleźć-by można na świecie mnóstwo. Ale oczy jej przez to były osobliwemi, że wprost mówiły i wymową swą przyciągały, jak złotym sznurkiem. Opowiadały one całą jej duszę, o której usta wiele mówić ani umiały, ani śmiały. I teraz także w szarych jej źrenicach, któremi ogarniała twarz Kowalczyka, było także mnóstwo wyrazów namiętniej skargi i żałośliwej prośby, wrodzonej wesołości i długiej tęsknicy, że Kowalczyk schwycił ją za rękę i trochę ku sobie pociągnął.

— Na mnie czekając, za Stepana nie szła? — Przyspieszonym szeptem zapytał.

— A na kogóż — odszepnęła.

— A ciężko było żyć?

Palcem, na którym od sierpa czy noża pozostała czerwona kresa, łzę z policzka ocierając, odpowiedziała:

— Ciężko.

— Na mnie czekając w takim horowaniu i ludzkim pośmiewisku żyła — pytał jeszcze.

— A na kogóż?

— Pobóz się!

Palce na krzyż złożyła i oczy ku roziskrzonym błękitom nieba podniosła.

— Tak mnie Boże i Najświętsza Panno dopomóż, że za tobą własnej duszy nie czułam i tak na ciebie czekałam, jak na tego ptaka, co kiedy przyleci, to już słońce zaświeci i miła wiosna będzie...

Schwycił ją teraz w pól i do gaju pomiędzy brzozy pociągnął.

— Toż i doczekałaś się, bo jak Bóg jest na niebie, tak cię za żonę wezmę i na gospodynię do swojej chaty wprowadzę. Zapomniał ja troszkę o tobie, to jest prawda, ale jak tylko twoje horowanie i ten twój ciężki pot zobaczył, to zaraz serce cośś ścisnęło mi jak w kleszczach, a jak twoje oczy popatrzały na mnie, to cośś we mnie rozplęnęło się jak ten miód...

Pośród brzoź, pośród zielonych, w powiewach wietrzyku i świergocie ptactwa, przyciskał ją mocno do piersi, ręką jakby stworzoną do kowadła i młota, z twarzy jęj ścierał pot i łzy, i usta, z których wydobywały się śmiech i łkania, pocałunkami zamykał.

Długo potem w Suchej Dolinie ludzie gadali, że Pietrusia i temu także *cośś zrobić* musiała. Bo któż kiedy słyszał aby chłopiec, szczególnie jeśli w szeroki świat pójdzie, sześć lat o dziewczynie pamiętał, a jeszcze taki, któremu-by najbogatsze dziewczęta wieszały się na szyję; aby ożenił się z dziewczką nie tak to już młodą, ze wszystkiem ubogą, przybędą... Stepanowi zrobiła i temu zrobiła, tylko tamtemu odrobiła potem, a tego już sobie zabrała. Jakieś takie ziele zna, czy co? a może i coś gorszego jeszcze...

III

Znała Pietrusia istotnie mnóstwo sposobów zaradzania różnym przypadłościom życia, w których skuteczność ani na chwilę nie zwątpiła sama i które przysługiwała się innym. Doświadczyli tego na sobie jednocześnie, ale w sposób różny, Piotr Dziurdzia i Jakób Szyszko. Pierwszy był jednym z najbogatszych gospodarzy w Suchej Dolinie. Czy grunt jakiś lepszy od innych przypadł im w udziale, czy trzeźwiejsi i pracowitsi byli niż inni, dość, że dziad jego, ojciec i on sam uchodzili we wsi za bogaczy. Wkrótce po nastaniu wolności Piotr zbudował chatę, mającą pozór porządnego domku. Miała ona komin, dwa spore okna, mały ganek i ściany z zewnątrz pobielone. Wewnątrz, nic tam osobliwego na pierwszy rzut oka spostrzedz się nie dawało. Sień, duża izba i obszerna komora; w dużej izbie ogromny piec do gotowania stawy i pieczenia chleba, ławy, stoły, krośna tkackie, gospodarskie statki drewniane, nic więcej; wszystko tak jak u innych. Ale zajrzeć tylko do komory, obory, stajni, spichlerza! Tam już działo się zawsze niepospolicie. W największy choćby nieurodzaj, zboża nie brakło, bo z roku na rok zostawał zawsze jaki taki zapas, i zbytek lat jednych latał braki drugich. Cztery krowy, dwa konie, z których jedna klaczka, co roku przyprowadzająca źrebę, sześć owiec, wieprze, kury, gołębie, gnieźdzące się na dachu, w ogrodzie gęsty gaik drzew wiśniowych, zmieszanych z dzikimi gruszami, których owoc dostarczał na zimę wybornych *gnilek*, wszystkiego tam było pełno. W komorze, na pułkach i na ziemi piętrzyły się worki i garnki z wszelkiem dobrem, jedna ściana czerniała cała od pozawieszanych na niej motków nici, stojące pod ścianą skrzynie napelniały po brzegi przyodziewki męzkie i niewieście, jako też, niepokrojone jeszcze *ściany* szarych płócien i sztywnych *samodziałów*, w sine i czerwone pasy, na domowych krośnach wytkanych. Ale nie tylko niezwykły dostatek napelniał chatę Piotra; pełną była ona także i niezwykłego spokoju. Piotr był człowiekiem charakteru flegmatycznego, ruchów ocieźiałych, mowy rozważnej; żona jego, kobieta wysoka, urodziwa i łagodna. W młodości swęj jeszcze zaniemogła na reumatyzmy i inne jakieś choroby, które uczyniły ją także powolniejszą i mniej od innych niewiastą do kłótni skorą. Stękała często, szeroko i długo użalała się na cierpienia swoje, u kogo tylko mogła rady na nie zasięgała, gdy bóle srodze dokuczały jęj zaczynały, popłakiwała sobie w kącie albo i na całą chatę

głośne lamenty zawodziła, ale do kłótni z mężem nigdy nie stawała. Gdzieby ję tam, z osłabłymi nogami i powykrzywianymi palcami rąk, ję niezdarze, która jak jaka pani wyręczycielek potrzebowała, do kłótni jeszcze stawać! Szczęściem już dla niej wielkiem było i to, że mąż z chaty ję nie wyganiał, za niedołęztwo nie lajał, a nawet często ulitował się, żałośliwie nad nią głową pokiwał i po ludzku z nią pogadał. Dość była roztropną, aby szczęście to ocenić i każdą wolę męża tak szanować, jakby to była wola bozka. Rozumowanie ję pod tym względem było proste. W chwilach wylania do sąsiadek mówiła. — Dlaczego ożenił się, on ze mną? Nie dla posagu ożenił się, bo nijakiego nie miałam, ale dlatego żeby w chacie dobrą gospodynią mieć. O jakaż ze mnie gospodyni? Do pracy rwę się jak ten koń do studni, co *zdążam*, zrobię, ale mało *zdążam*. Jak *chwaroba* schwyti, to i ręce od wszystkiego odpadną. A on mnie za to nigdy nic, żeby choć jedno złe słowo powiedział! Cierpi i milczy. Jeszcze czasem i zapyta się: może tobie Agatka, trzeba czego? Może ciebie znów do znachora zawieźć? Dobry człowiek. Toż ja jemu nie sprzeciwiam się w niczém. Niech jemu i Pan Bóg przenajświętszy nie sprzeciwia się...

Zresztą, sprzeciwiać się Piotrowi nie było-by rzeczą łatwą. Miewał i on przystępy gniewu, rzadkie, ale straszne. Można-by rzec, że w naturze tój cichój i poważnej, burze wybuchały tém gwałtowniej im powolniej i dłużej wzbierały. Kiedyś, za młodu, był on dla rodziców swych synem uległym i o stare lata ich dbającym, jednak, gdy matka ze starości zdziwaczała już nieco, dokuczyła mu ciągłemi kłótniami z synową i raz komorę przed nią zamknęła tak, że wróciwszy z pola strawy zgotowanej nie znalazł i głodnym być musiał, uderzył ją tak silnie, że stara zaniemogła, przeleżała na piecu czas jakiś i umarła. Może ona i nie od uderzenia synowskiego umarła, bo wprzódy już nic prawie sił w niej nie było, ale Piotr zgryzł się tém tak bardzo, że długo jak nieprzytomny po świecie chodził. Żonie i kumowi, którego bardzo lubił, powiedział wtedy, że sam siebie tak bać się zaczął, jakby już dyabłu duszę był zaprzedał. Odtąd też stał się bardzo nabożnym. Do kościoła jeździł i spowiadał się częściej od innych, za pługiem idąc, pacierze czasem odmawiał, w każde uroczyste święto, wielkie bochny chleba i grube zwoje płótna, u kościelnego ołtarza na ofiarę składał. Można-by rzec, że myśl, iż krzywda zrzędzona matce, duszę jego w posiadanie dyabelskie oddała, napelniała go trwogą i żądzą oczyszczenia się przed Bogiem. Z czasem wzniciło to w nim niejaką skłonność mistyczną, której ustawiczna a ciężka praca fizyczna wybujać nie pozwalała, lecz która malowała się w marzycielskim trochę wyrazie, z jakim niekiedy siwe jego oczy patrzyły na świat z pod gęstych brwi, jako też w szczególném zaciekawieniu do cudów, czarów i wszelkich nawet opowiadań o nadprzyrodzoności. Skłonność ta zwiększyła się jeszcze wypadkiem, który wydarzył się w dzieciństwie młodszemu z synów jego, Jasiukowi. Chłopak przyszedł na świat wtedy właśnie, gdy Piotrowa chorzeć zaczynała i, około pięciu lat życia swego mając, wysechł i wyżółkł tak, że podobniejszym stał się do figurki z wosku, niż do dziecka. Nogi miał na wewnątrz powykrzywiane, gębę wiecznie otwartą, gdy biedz chciał, padał. Klemens hodował się zdrowo i jak wzdłuż, tak wszecz rósł niby na drożdżach; nad Jasiukiem płakała matka, sąsiadki żałośliwie kiwały głowami, a ojciec, według zwyczaju swego, z cicha i powoli coś pomrukując, ponuro czasem głowę zwieszał. Doszło do tego, że Agata, której obrzydły i kwękania chłopca, i ciągłe pilnowanie go, jakby przez tyle lat niemowlęciem być nie przestał, w gniewie i żalu rzekła raz do sąsiadek:

— Ot niechaj-by go już lepij Pan Bóg sobie zabrał...

Wtedy Piotr rozgniewał się znowu. Od śmierci matki przez długie lat kilka nie gniewał się nigdy; teraz znowu w gniew wpadł i był-by wybił żonę, gdyby mu ona z płaczem do ręki nie przypadła, prosząc o zlitowanie nad ję chorobą i niedolą. Krzyczał więc tylko okrutnie, sąsiadki, które macierzyńską żalność Agaty gadaniną swą drażniły, z wielkim dla nich wstydem z chaty wypędził a wkrótce potem z chorém dzieckiem na wóz wsiadł i do cudownego miejsca na odpust pojechał. Jeżeli tam innym Pan Bóg cuda swe okazywał, czemużby i jemu okazać nie miał. Powiedział mu ktoś, że dla uproszenia tój laski, trzeba kupić jedną z woskowych figurek, jakie w niektórych kruchtach kościelnych sprzedają, i złożyć ją na ołtarzu. Piotr kupił taką figurkę i jeszcze mszę na intencją dziecka zakupił, a przesłuchał ją, klęcząc i głośno, żarliwie, z ciężkimi westchnieniami i uderzeniem się pięścią w pierś odmawiając pacierze. Gdy u stóp ołtarza chłopcy dzwonili na podniesienie, on, w obu ramionach, okrytych rękawami baraniego kozucha, podniósł chłopca swego w górę, tak jakby go zmiłowaniu Bożemu ukazywał, a sam, twarz brunatną i gę-

sto zarosła wysoko także podnosząc, marzycielskim spojrzeniem swém ściagał błękitne dymy, które nad głowami ludzkimi blaskiem świec i rzeźbami ołtarza, wzbijały się pod mroczne sklepienie świątyni. Dziecko wróciło z odpustu do chaty tak, jak odjeżdżało: wyschłe, żółte, słabe, z wykrzywionymi nogami i otwartą gębą, lecz wkrótce, może w parę miesięcy potem, widocznie poprawiać się zaczęło: bieleła, tyło, prostowało się, wprost odżywało. Wprawdzie, była to wiosna ciepła i słoneczna, w której odżywało wszystko, co na świecie było: drzewa, trawy, kwiaty, a także i dzieci. Wprawdzie Aksena, która podówczas świeżo w Piotrowej chacie była osiadła, doradziła Piotrowej, aby codziennie wyprawiać Jasiuka na ten suchy piasek, który białą ławicą siał się u końca wioski. Niechaj biedulek grzebie się sobie w tym piasku — mówiła — to jak go słońeczko mocno rozgrzeje, dziecko zdrowe będzie. Taka już święta siła jest w gorącym piasku, że on dzieci uzdrawia, kończyła Aksena i Pietrusi, która wtedy jeszcze niedorosłą była dziewczynką, rozkazywała, aby Jasiuka na piasek prowadziła i tam pilnowała go i zabawiała. Jasiuk nigdy wprawdzie nie stał się silnym ani tak pięknym i roztropnym, jakim był niewiele odeń starszy Klemens. Wyzdrowiał przecież, nie kwękał już tak jak piérwój, nie padał co krok, więcej mówić zaczął, wybielał. W chacie Piotra mówiono często o tém wyzdrowieniu i przyczyny jego rozważano. Jedne z bab, nabożnie składając ręce na brzuchach, mówiły — Taki to Piotrowa ofiara na odpuscie.

— Piasek ten, co go Aksena doradziła — twierdziły inne.

Piotr zaś przemawiał:

— I ofiara na odpuscie i piasek, a wszystko Pan Bóg przenaświęty zrzędził; bo, — z powagą mówił dalej, — jeżeli piasek ma taką świętą siłę, to mu ją Pan Bóg dał. Ot co.

— Jest na świecie i *czartouskaja* siła — zauważyła jedna z bab.

— A jest — z przekonaniem potwierdził Piotr i po namyśle dodał: — ale w piasku, jest siła Bozka, bo ot, dobrze zrobił; a żeby w nim była siła czartowska, toby źle zrobił...

Zastanowił się jeszcze trochę, wskazujący palec na górę wznosił i dokończył.

— *Czortouska* siła zawsze źle człowiekowi robi, a Bozka dobrze. Ot co.

Bozką tedy moc zjednywał sobie Piotr Dziurdzia coniedzielném jeźdzeniem do kościoła, odmawianiem pacierzy, ofiarami składanemi kościołowi w postaci chlebów, serów i płócien, dyabelskiej zaś lękał się okrutnie, choć nigdy jej na sobie, w widoczny przynajmniej sposób nie doświadczył, i miał ją w obrzydzeniu i nienawiści wielkiej. Jeżeli ktokolwiek opowiadał przed nim o ludziach, którzy, jak na przykład wiedźmy i czarownicy różni, przez nią złe figle innym ludziom płatali, splotał z obrzydzeniem i ze złością przez zęby wymawiał. — *Kab* im ręce połamało! *Kab* im skonanie ciężkiem było! *Kab* oni królestwa niebieskiego nie oglądali!

O królestwie niebieskiem Piotr wspominał często; zdaje się, że było ono tym przedmiotem, który kędyś, wysoko, w zarysach mętnych i nieokreślonych unosił się nad nim wtedy, gdy oczy jego, pod gęstemi, wypukłemi brwiami, przybierały wyraz zamyślony i trochę marzycielski.

Jednakże, rojąc sobie dziwne może obrazy królestwa niebieskiego, dbałym był i o ziemskie. Gospodarstwo swe pracowicie i zabiegliwie prowadził, a wielce ucieszył się, gdy go mieszkańcy Suchej Doliny na urząd *starosty* swego wynieśli. Wtedy okazało się widocznie, że od ambicyi wszelkiej wolnym nie był i że *zaszczyt*, który go spotkał, przyjemnie pogłaskał jego dumę. Wprzód trzymał się był trochę pochyło; *zostawszy starostą*, grzbiet wyprostował, uśmiechnął się tak szeroko i swobodnie jak nigdy przedtém, lecz za to z większą jeszcze niż przedtém powagą stąpać zaczął i z widoczną lubością, niemal uroczyście, na zewnętrznej ścianie swojej chaty przybijał siną tablicę, na której wielkimi białemi literami wypisane było: *Piotr Dziurdzia, starosta*. Sprawami publicznemi, które sąsiedzi w ręce jego złożyli, zajął się gorliwie i cierpliwie. Gdy obległy go różne, z urzędem jego związane trudy i przeciwności, ze skrucłą w głosie mawiał: — Pan Jezus więcej cierpiał!

Albo.

— Pan Jezus mnie to w królestwie niebieskiem wynagrodzi.

I swoje robił, ani na dokuczanie ludzkie, ani na fatygi różne nie zważając. Często także unosiła go ludzka duma. Podnosił palec do góry, uśmiechał się szeroko i w zwykły sobie, powolny sposób mówił:

— *Ciepiér*, jak *toj kazau*, ja *tut piérwszy jezdem* i ze wszystkich *najwyższejszy*...

Starszemu synowi także czasem perory prawil.

— Patrzaj, Klemens, bądź taki jak ja, a Pan Bóg przernajświętszy da tobie panowanie ziemskie i królestwo niebieskie. Nie pij, cudzego nie żądaj, co do ciebie należy rób, a w moc czartowską nie oddawaj się. W moc Bożką oddaj się, a w moc czartowską nie oddawaj się, bo jak *toj kazau*, gospodarstwo zginie i duszę zgubisz. Ot co.

Ważny wypadek zostania *starostą* wiejskim, zaszedł w życiu Piotra w parę lat po weselu Michałka Kowalczuka z Pietrusią, a wkrótce potem, roztrząsaniu mieszkańców wsi nastreczyła się sprawa wielkiej dla nich wagi. *Magazyn* wiejski, w którym mieściły się zapasy zboża, przeznaczone dla wspomagania lat nieurodzajnych, tak już był starym, że całkowitym upadkiem groził, *Stanowy* (policyjny urzędnik) kilka razy zapowiadał konieczność zbudowania innego, i mieszkańcy Suchej Doliny konieczność tę czuli sami, ale z przystąpieniem do roboty z roku na rok zwlekali. Wiadomo, kosztów lękali się, a i nowego kłopotu niebardzo żądali. Teraz jednak przyszedł już kres ostateczny zwlekania. *Magazyn* trzeba było budować, chcąc nie chcąc, bo tak stanowczo i nieodwołalnie przykazano z góry. W chacie starosty, aż ciemno zrobiło się od ludzi, którzy zesli się tam dla narady o tej kosztownej i dość skomplikowanej sprawie. Piotr Dziurdzia przewodniczył naradzie ze zwykłą sobie powagą i roztropnością, doradzając jak i kiedy pieniądze na ową budowę zebraniem być mają, gdzie i jakie drzewo kupić na nią należy, kogo i za jaką cenę wezwać do wymierzenia ziemi, którą budynek na inne miejsce przenoszony zająć musiał. We wszystkich tych rozważeniach i wyliczeniach, skutecznie pomagał mu stryjeczny jego brat Stepan, mający jedną z najlepszych głów we wsi, ilekroć nie był pijanym, albo nie wpadał w pasyą. Miał on nawet tę nad drugimi wyższość, że biegle liczyć umiał. Nikt go tego nigdy nie uczył, ale z natury już tę zdolność posiadał i nauczył się sam. Że zaś tym razem trzeźwym był i nie gniewał się na nikogo, a przytém, kroil sobie koniecznie na najbliższych wyborach sędzią wiejskim zostać, siedząc tedy obok Piotra, szeroko i roztropnie prawil, biegle różne cyfry dodawał i mnożył, słowem, zapominając o tém, co gryzło go i dręczyło w życiu prywatném, sprawom publicznym oddał się całkiem. Przy tej czynności, rozjaśniła mu się nieco i wypogodziła twarz, przedwcześnie pomarszczona i najczęściej ponura a gniewna. Pomimo jednak roztropności i powagi dwóch Dziurdziów, w izbie wybuchała często wrzawa, taka, że ludzie jedni drugich zrozumieć nie mogli. Wszyscy tam jednocześnie mówić zaczęli, łokciami, ramionami odpychali się wzajem od stołu, za którym siedział starosta, o każdy grosz zawodzili kłótnie, na każdą propozycją odpowiadali zaprzeczeniami. Piotr cierpliwie to znosił, kilku uważniejszym słuchaczom swoje prawil, a czasem, kiedy sąsiedzi łając go już i przeklinać zaczęli, pomrukiwał.

— Pan Jezus więcej cierpiał!

— Bydło! *praklatoje* bydło! *Kab na was chalera* — wykrzykiwał popędliwy Stepan i, najnatarczywszych pięścią od stołu odpychając, zaczął już w paroxyzm złości wpaść, gdy nagle, kłótnią wrzawę męzkich głosów, niby ostrzem noża przerznął piskliwy a rozpaczliwy krzyk niewieści. Była to Piotrowa, która, z komory wypadłszy, ręce łamała i z boku na bok przechylając się, w niebogłosy krzyczała i zawodziła.

— *Jazu mój Jazu!* O *Jazuż* mój, *Jazu* najmiłosierniejszy!

Tu i dziewczka, która w zastępstwie Pietrusi, w gospodarstwie jój dopomagała, tuż za nią także z komory wypadła, włosy sobie z głowy wrywając, a po chacie też biegając; jeszcze donośniej i piskliwiej wtórzyla.

— O Matko Bozka przernajświętsza! zmiłuj *sia*, zmiłuj *sia*, zmiłuj *sia* ty nad nami nieszczęśliwemi!

Mężczyźni rozprawiać i kłócić się przestali, i z gębami pootwieranemi, jak słupy stojąc, błędnemi wzrokami wodzili za niewiastami, które jakby w konwulsjach rzucały się po izbie. Sporo czasu upłynęło zanim gospodarz chaty, zrazu perswazyą, a potem groźbą spuszczenia im pięści swych na plecy, dopytać się u niewiast zdołał, co się stało. Stała się istotnie rzecz zasmucająca: z komory zginęły dwa sadła, dwanaście par kiełbas, i dziesięć *ścian* świeżo utkanego płótna. Wszystko to ukradzione zostało nie wiedzieć kiedy, przez kogoś, kto odpowiedniem narzędziem wewnętrzną okienicę przepiłował, zamykając ją zasuwę usunął, przez okno do komory wlał i tyle dobra z niej wyciągnął. Okno komory wychodziło na ogród, w tej późnej jesiennj porze pusty i tylko błotem pokryty, nocie jesiennie długie są i ciemne... Piotrowa rozpaczała; Piotr, stratę poniesioną mniej żywo

do serca biorąc, zmartwił się jednak i nadewszystko oburzył się przeciw nieznanemu zło-
czyńcy. Ludzie, którzy tu obradowali i obrady swęj nietylko nie skończyli, ale po razy
kilka jeszcze kończyć nie mieli, rozeszli się zwolna; w izbie pozostał Piotr, w zamyśleniu
na ławie siedzący i łokciami na stole rozparty i trzy kobiety, które przed ogniem, żywo
płonącym w piecu, głośno o zaszłym wypadku rozprawiły. Były to trzy Dziurdziowe,
żony Piotra, Stepana i Szymona Dziurdziów. Były to także trzy zupełnie różne z sobą
typy chłopek i trzy wyraźnie różne dole kobiece. Niemłoda już i schorowana, ale spo-
kojna i jeszcze dość urodziwa Piotrowa, żona męża dobrego, gospodyni chaty dostatniej
i matka dwóch dorastających synów, skrzyżowała na piersi ramiona i smutnie już tylko
nad stratą swoją głową kiwała, z cicha powtarzając:

— *Jakije* złe ludzie! aj, *jakije* niegodziwe!

Zwinna jak żmijka, czarnooka, śniada i ognista Stepanowa, sławna na całą okolicę
złośnica i plotkarka, o której zresztą wszyscy wiedzieli, że mąż jej cierpieć nie mógł i że
wiecznie biła go lub przez niego bitą była, na pierwszą wieść o tém, co się w chacie Piotra
przytrafiło, porzuciła niedawno urodzone, a przez cztery lata małżeńskiego pożycia jedy-
ne dziecko i, przyleciawszy tu, krzyczała, złodziejów przeklinała i miotała się tak srodze
i hałaśliwie, jakby ją samę i stokroć od téj większa strata spotkała. Szymonowa przeciw-
nie, przywlokła się zwolna i z dzieckiem na ręku, które już było szóstém czy siódmém.
Niestarą była jeszcze i niebrzydka, ale strasznie wymizerowaną, z czołem zmarszczoném
i wiecznie skrzywionemi usty. Piotrowa, choć starsza i schorowana, daleko lepiej od niej
wyglądała. Wiadomo, żona pijaka, siedzącego po uszy w długach, u żyda arendarza zacią-
gniętych, mająca chatę kurną jeszcze i drobnych dzieci pełną, a komorę prawie pustą, tyć
i wesoło sobie *bajdurzyć* nie mogła. Na Agacie wyraźnie odbijały się spokój i dobrobyt,
na Rozalii Stepanowej charakter zapalczywy, a złem pożyciem małżeńskim do stopnia
prawie wściekłości rozjątrzony; na Parasce, żonce pijaka Szymona — skłopotanie i nędza.
Tuląc i kołysząc dziecko, które w piersi matczynéj mało znajdowało pokarmu i rozkrzy-
czało się w niebogłosy, z podziwem, pełném świętobliwego jakby poszanowania, wciąż
powtarzała. — Dwa sadła i dziesięć *ścian* płót! o j, Bożeż mój Boże! dwa sadła, dziesięć
ścian płót! i dwanaście par kielbas... o j, Bożesz, mój Boże!...

Bogactwu takiemu, które aż tyle rzeczy bez ostatecznego ogłodzenia poszkodowanych
z komory ukraść pozwalało, dosyć nadziwić się i nalubować nie mogła! Nie zazdrościła,
owszem, żalowała krewniaków, że im się taka szkoda stała, ale oczy jej zachodziły łzami.
Dawało to jej miarę i żywne uczucie biedy własnej. Zaś czarne oczy Rozalki rozpały się
coraz bardziej, błyskały i latały jak u oszalałej, a język, szybciej jeszcze latał niż źrenice.
Przekleństwa najstraszliwsze na nieznanego złodzieja miotała, lecz wiadomém to już by-
ło, że zawsze coś lub kogoś przeklinać musiała; podobno sprawiało to ulgę nieustannéj
zgryzocie, która u innych roztopiła-by się w łzy, a ją napelniała warem i płomieniem.

Zasmucony, lecz już ułagodzony głos Piotrowej, przebił się przez wrzaskliwe zawo-
dzenia Rozalki.

— Żeby tam nie wiem co, — rzekła, — ja taki będę wiedzieć, kto to ten złodziej.

Zwróciła się do Piotra.

— Pietruk, — rzekła głosem, który objawiał zgodny i przyjacielski stosunek jej z mę-
żem; — *idzi* do Akseny.. *popytaj* *sia*, może ona zna co takiego, żeby tego złodzieja od-
kryć...

Nad wszelkie spodziewanie niewiast, Piotr ani jedném słowem nie sprzeciwił się temu
żądaniu, wstał, na głowę czapkę baranią włożył i z chaty wyszedł.

Wieczór to był jesienny, ciemny; wiatr szumiał w ogrodach i miotał krzewami; pod
niebem szmaty chmur, lecąc jak ciężkie ptaki, przysłaniały to znowu odsłaniały gwiazdy.
Błotnistą ścieżkę wijącą się pomiędzy ścianami obór i gumien, a opłotkami ogrodów,
wysoki, barczysty, chłop, w kożuchu i baraniéj czapce, z grzbietem nieco przygarbionym,
szedł szerokim i ciężkim krokiem w kierunku zagrody kowala. Zdala już widać było
kuźnię, buchającą czerwonym światłem i słysząc turkot odjeżdżających wozów. Przed tą
kuźnią, zawsze jak na odpuscie albo jarmarku. Z całej okolicy ludzie do Michała Kowal-
czuka przyjeżdżają, bo takiego jak on kowala nigdzie niéma. Ale teraz już wieczór i ci co
tu dziś konie podkuwali, obręcze na koła i siekiery robić, a pługi i wozy naprawiać kazali,
jadą do domów, drogą pomiędzy wierzbami i bzami, w których puszczyki i lelaki gnieźdzą
się i skomlą. Przed otwartymi drzwiami kuźni niéma już nikogo, tylko leży szeroko bło-

to straszne, kołami wozów i kopytami końskimi rozbite i pogłębione. Piotr Dziurdzia w błocie tém stanął i przez chwilę, we wnętrze kuźni wpatrywał się z przyjemnością niejaką. Czerwoném światłem napelnione, jaskrawo odbijało ono od ciemności, panujących na zewnątrz. W tém świetle, pięknie przedstawiała się postać młodego kowala, który pracować jeszcze nie przestał. W majtkach i koszuli z wysoko odwiniętymi rękawami, silny i zgrabny chłop, żwawo podnosił żylaste ramię, co siły bił młotem po rozpaloném żelaztwie, skry z pod młota sypały się w dół deszczem, a słupem tryskały w górę, śniada twarz z czarnym wąsem i czarna jego czupryna, stały w czerwonym blasku. Żwawo pracował i wesoło. Nadewszystko wesoło. Co chwila zagadywał coś do pomagającego mu chłopaka, czasem i przyśpiewywał sobie, albo, gdy uderzenie silniejszym czy zręczniejszym być musiało, podnosząc i opuszczając ramię, niby do tańca wykrzykiwał sobie — Hu, ha! — Piotr z zadowoleniem niejakiém na tę rażną i wesołą pracę popatrzawszy, uszedł jeszcze ze dwadzieścia kroków i wszedł do chaty kowala.

Izba tam była takąż prawie jak u Piotra, obszerna, z drewnianą podłogą i wolna od dymu, który przez komin uchodził, tylko spostrzegać się w niej dawały pewne wymysły, jakich u *dzidów* i *pradzidów* nie bywało. Oprócz stołów i ław stały tam trzy drewniane krzesła, u sporych okien zieleniało w wazonach kilka niskich roślin, na małej szafce z dwiema szybkami połyskiwał blaszany samowar. Wymysły te, przywiózł z sobą Kowalczyk z szerokiego świata, a może téż zapoznała się z niemi i Pietrusia, w tym szlacheckim dworku, w którym za dziewczkę folwarczną służyła. Wymysłność ta jednak nie doszła do tego stopnia, aby gdzieindziej umieścić ogromny piec z okopconém wnętrzem, w którym, jak o téj porze w każdej z chat chłopskich, palił się ogień wielki. Nie dosięgła téż ta wymysłność ani świec, ani lampy; pomiędzy cegły pieca wetknięte łuczywo, paląc się czerwona i dymnym płomieniem oświetlało postać stariej Akseny w ten sposób, że, komuś wchodzącemu do izby, musiała ona naprzód rzucać się w oczy. Według starego swego zwyczaju, kościana babka siedziała na piecu i w dostatniej siermiężce, w czarnym czepcu, wyprostowana, jedną ręką wyciągała z kądzieli nic Inianą, w drugiej kręciła wrzeciono. Pietrusia nosiła po izbie roczne dziecko, kołysaniem i półgłóśnym śpiewaniem uspić je usiłując. W drzwiach izby, poważnym i uprzejmym głosem wymówione, zabrzmiało pozdrowienie Piotra.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków... — z uradowaniem widoczném odpowiedziała Pietrusia i, z dzieckiem na ręku, z rozbłyskami od zadowolenia oczyma, ku gościowi podbiegłszy, w rękę go pocałowała. Aksena, która, od czasu oślepienia swego słuch miała ostry, poznała téż Piotra po głosie i na chwilę prząść przestając, w znak powitania głową tak kiwać zaczęła, aż się jej do koła czarnego czepca białe, siwe włosy rozwiały. Przytém chrapowatym i z powodu braku zębów sepleniącym głosem, dziękowała mu za to, że sobie o nich przypomniał i chatę ich nawiedził. Pietrusia tymczasem, uspięne już dziecko położyła w kołyskę, jedno z trzech krzeseł fartuchem otarła i w radośnym uśmiechu pokazując białe zęby, zapraszała byłego gospodarza swego, aby na niém usiadł. Piotr popatrzał na krzesło, tak jakby przekonać się chciał, że nie złamie się ono pod jego ciężarem i z ostrożnością niejaką na niém usiadł.

— Nu, — zaczął oglądając się po izbie, — po pańsku tu u was, pięknie... *Kreśla* sobie wymyślili i samowar... oho!

— Po pańsku, nie po pańsku, — podchwyciła Aksena, której zaledwie widzialne wargi z wielkiego ukontentowania rozciągnęły się od ucha do ucha, ale chwała Bogu niczego nie braknie... wszystko jest... i chleb jest i zgoda święta jest... jak Pan Bóg przykazał...

— I syn jest... — dodał Piotr, z żartobliwą dobrotliwością na Pietrusię patrząc. Ona zawstydzona się trochę i spuściła oczy, ale wesoło wciąż uśmiechając się, odpowiedziała.

— A jest, dziadźku...

— I drugi zaraz będzie... — zażartował dalej starosta.

Tym razem młoda mężatka zaczerwieniła się jak burak, odwróciła trochę twarz i z cicha zachichotała. Aksena ze swój strony śmiała się na piecu swoim starym śmiechem, który suchy klekot drewnianej grzechotki przypominał.

— Czy jeden jeszcze... oj, oj, czy jeden jeszcze będzie — mówiła.

— Daj Boże szczęśliwie — z życzliwością zakończył Piotr, a tu i kowal wszedł do izby. Przed opuszczeniem kuźni włożył był na siebie szary spencer sukieny, zieloną taśmą

oszyty, i wyglądał w nim bardzo zgrabnie. Twarz miał zaognioną i spoconą od pracy; na widok Piotra ucieszył się bardzo i w obadwa ramiona go ucałował. Ani on, ani Pietrusia nie zapominali o tém nigdy, że stara Aksena i jój wnuczka przez lat wiele w Piotrowej chacie chleb jadły. Nie darmo wprowadzie go jadły, ale był on dobrym i omastą życzliwości obojga gospodarstwa przyprawionym. Że tam potem stało się inaczej i na tułaczkę znowu iść musiały, w tém już winy Piotra nie było.

— Pietrusia! — zawołał do żony kowal — zróbno dla *dziadźka* herbaty...

Piotr poprawił się na krześle. Lubił bardzo herbatę, choć pijał ją tyle tylko, co czasem w miasteczku, kiedy na odpust albo na targ przyjechał, we własnej chacie samowaru mieć nie chciał, bo go *dzidy pradzidy* nie miewali.

— Oho! — zauważył — wy jak pany... herbatę sobie pijecie...

— Codzień nie pijem, ale czasem pijem — odpowiedział kowal — a co robić? wódki do gęby nie bierzem, to czasem trzeba czém inném *żywo* rozegrzać... I stariej babuli ziele to życie przedłuża i jak gość *trapi się*, potraktować dobrze...

— Dobrze, czemu nie dobrze? — potwierdził Piotr i zaczął kowala wypytywać się o różne różności, których on mnóstwo wiedział, bo i kawał szerokiego świata zchodził i teraz ciągle z mnóstwem ludzi, zwyczajnie jako rzemieślnik do czynienia miał, Michałka nie trzeba było długo do rozmowy zachęcać, bo z natury był on wielomównym i wesołym. Więc też szeroko i długo opowiadać zaczął gościowi o jakimś wielkiem mieście, w którym jako żołnierz lat parę przebywał, a tymczasem Pietrusia z pośpiechem zagotowała wodę w samowarze i po kilku minutach z glinianego *czajnika* naląła herbatę do trzech szklanek z grubego zielonawego szkła i, do każdój z nich włożywszy cynową łyżeczkę, na białym spodku kilka kawałków cukru położyła. Naczynia i cukier z szafki wyjmowała, związała się po izbie bosemi nogami żywo i zgrabnie, szklanki i łyżeczki, jak wesołe dzwonki w ręku jój dzwoniły. Dwie szklanki z herbatą postawiła na stole przed gościem i mężem, trzecią, na ławę wskoczywszy, na piecu umieściła i gdy dwaj mężczyźni bezprzestannie gawędzili z sobą, ona gorącą herbatę na spodek wylewała i, wydymając policzki z całej siły i, głośno na nią dmuchała. Potem końcem palca dotykała płynu a przekonawszy się, że już był ostudzony, brzeg spodka do ust babki przykładała, mówiąc:

— *Piej, babulo, piej!*

Siedziała na brzegu pieca i ślepą babkę herbatą poila. Chustki na głowie w domu nie nosiła. Ciemne włosy rozrzuciły się trochę dokoła jój twarzy a czoło miała takie gładkie i pogodne a oczy tak od wesołości błyszczące, że choć tam w kołysce usypiał roczny już chłopak, na dziewczynę wyglądała. Michałek z Piotrem rozmawiając, spojrział na żonę raz, drugi, a potem, opowiadanie jakieś przerwał i zapytał.

— Pietrusia! a ty *znou harbaty* nie pijesz?

Wydęła trochę wargi i bosemi stopami po ścianie pieca bębniąc, odpowiedziała.

— *Nie chaczu! nie lublu! paskudnoje ziele.* Mnie lepsza zacierka z sadłem.

To wspomnienie o sadle przypominało Piotrowi cel dzisiejszych jego odwiedzin. Wsparł tedy łokieć na stole, twarz na rękę i wypadek, który chatę jego nawiedził, opowiadać zaczął. Obecni dziwili się i bardzo ubolewali. Zajęło ich nadewszystko pytanie: kto to taki — ten złodziej? Kowal przypomniał sobie, że wczorajszej nocy wracał właśnie z sąsiedniej wsi, do której za interesem był chodził, i widział jakiegoś człowieka, który z workiem na plecach prędko szedł pod płotami — A jakże on wyglądał, ten człowiek? — ciekawie zapytał Piotr. Kowal odpowiedział, że był to człowiek chudy, małego wzrostu i zdaje się, że siwy zarost miał dokoła twarzy. Tego ostatniego na pewno nie utrzymywał, bo noc była, ale że widział go dość zbliżka i gwiazdy świeciły, więc zdaje mu się, iż miał siwy zarost dokoła twarzy. Piotr zadumał się a potem rzekł.

— To zupełnie tak jakby Jakób Szyszko...

W podejrzeniu wyrażoném względem Jakóba Szyszki nic nieprawdopodobnego nie było. Nie raz już on w życiu swoim na złodziejstwie był złapanym, a ot, dwa lata temu, za wdarcie się przez dach do stodoły dworskiej pół roku w turmie przesiedział. Jednak było to tylko podejrzenie. Piotr wlepił oczy w ślepą twarz Akseny.

— Ja do wasz prośbą, ciotko — rzekł. — Może wy znacie jaki sposób, żeby tego złodzieja odkryć...

Baba milczała chwilę, potem chropowatym swym i bezzębnym głosem, ale powoli i z namysłem, mówić zaczęła:

— Czemu mam nie znać? znam. Weźcie sito, wbijcie w nie nożyce i niech dwoje ludzi podłoży palce pod ucha nożyc, a *drugie ludzie* niech mówią różne nazwiska, różne jakie sobie tylko *wspomną*... Na czyje nazwisko sito zakręci się, ten złodziej... I to jest taka pewna prawda, że ja nie raz ale sto razy na własne oczy widziałam...

Umilkła, wyciągnęła ramię i parę razy w żółtych palcach wrzeczono pokręciła. Kowal zaśmiał się głośno.

— Głupstwo! — rzekł.

— Michałek! — z przerażeniem prawie zawołała Pietrusia; — ty zawsze taki! tobie wszystko głupstwo! ej, niedowiarek paskudny!

Aż zaczerwieniła się cała, tak ją niedowiarstwo męża oburzyło. On pobłażliwie wymówkę jej przyjął i tylko z cicha jeszcze zamruczał.

— Oj, baby, baby *durnyje!*

Ale Piotr z nadzwyczajną uwagą i powagą słuchał słów Akseny, która, rękę z wrzeczionem opuściwszy, dodała jeszcze.

— Można na sito złodzieja wywróżyć, można i na *Ewanielę*. To już jak gdzie... w jednych stronach na sito wróży się, a w drugich na *Ewanielę* wróży się... To już wszystko jedno... jak kto woli...

Piotr rękę do włosów podniósł.

— To już ja na *Ewanielę* wolę — rzekł a po chwili dodał. — Zawsze to Bozka rzecz jest i Bozka siła...

— No, to tak samo w *Ewanielę* nożyce wbić... — nauczała baba.

— Głupstwo! — zaśmiał się znowu kowal, a Petrusia skoczyła i ręką mu usta zamknęła. On ją wpół pochwyił, dwa razy się z nią w kółko okręcił, a potem tak załaskotał, że, zachodząc się głośnym śmiechem, na ławę upadła. Piotr na tę swawolę młodych żadnej uwagi nie zwracał. Jemu ważniejsza sprawa na sercu leżała i przytém wszelkie rozmowy o wróżbach, cudach i czarach przejmowały go na wskroś tajemnicą i trwożliwą uroczystością. Wstał z krzesła i z niejakiem zakłopotaniem zaczął.

— *Dziakuję*, wam Aksena, za waszę radę... Tylko, jak to zrobić... trzeba, żeby to kto *znający* robił...

— Ja wam to, dziadźku, zrobię... Zrywając się z ławy, zawołała Pietrusia; — czemu nie! Tyle lat chleb wasz jadłam a teraz-bym tej przysługi wam nie zrobiła?.. Ot już idę...

I już na nogi trzewiki wkładała. Nigdy do wioski bez trzewików nie chodziła. Mąż, który miał w tém przyjemność i ambycją swoją, wszelakie stroje dla niej kupował, a i jej podobało się to bardzo, że szczęściem swém popisać się mogła przed ludźmi, pośród których kiedyś najuboższą i najpośledniejszą była. W trzewikach tedy, w kupnej perkalowej spódnicy, w zgrabnej, nowiutkiej siermięzce i kwiecistej chustce na głowie, w kilka minut potem, weszła do chaty starosty, i przed dawną gospodynią swą pokłoniwszy się nisko, w rękę ją pocałowała. Dwom innym kobietom za to, ledwie głową kiwnęła. Wiedziała dobrze, że dla obydwoh jest tém samém, co sól w oku. Jedna jej swą małżeńską niedolę przypisywała, druga zazdrościła dostatku. Teraz przecie na chwilę o urazach swych zapomniały, ciekawość przemogła nad nienawiścią. Skupiły się dokoła przybyłej i zarzuciły ją pytaniami, ale ona, z dwoma niedorosłymi jeszcze chłopcami gospodarstwa zaraz gwarzyć i chichotać zaczęła. Znała ich niemal od niemowlęctwa; Klemensa w czerwony policzek uszczypnęła a Jasiukowi palec włożyła w usta, które najczęściej gapiowato otwierał. Oni ją zato za nogi tak pochwyčili, że jak długa na środku izby upadła. Baby i dzieci aż za boki brały się od śmiechu i wiadomém to już było, że gdzie Pietrusia wpadła, tam pełno być musiało gadania, śpiewania i śmiechu. Jedna tylko Rozalka ani myślała śmiać się. Na klocek drzewa przed piecem usiadła, ręką brodę podparła i zadumała się ponuro. W tém jakby makiem posiał, zrobiło się w izbie cicho. Piotr wyszedł z komory, niosąc w ręku niewielką książeczkę w podartej oprawie i ze żółklemi kartami. Była to Ewangelia, którą z poszanowaniem chował on na dnie skrzyni od lat wielu, odkąd mu ją po sobie w sukcesyi zostawił dziad bardzo stary, który z nią od dworu do dworu i od wsi do wsi chodził, aż nakoniec w Suchej Dolinie, w Piotrowej chacie umarł. Piotr dziadowi trumnę własnymi rękoma z czterech desek zbił, uczciwie go pogrzebał a książkę starego żebraka, jako rzecz świętą uważając, w chacie swój pozostawił. Nie otwierał jej nigdy, bo czytać nie umiał, ale obecność jej na dnie skrzyni za niejaki ubezpieczenie chaty od nieczystej siły uważał, a ot teraz, z poszanowaniem, z komory ją wyniósłszy, w milczeniu Pietrusi

podał. Ona, z kieszeni siermiężki wyjęła nożyce, które z sobą przyniosła i w tém mgnieniu oka tak spoważniała, że ani by w niej poznać wesołą młodą, która tylko co po izbie z niedorosłymi chłopcami uganiała się i koziołki wywracała. Spoważniała, czoło trochę zmarszczyła, a wzniesione w górę jej oczy, wyraz modlitewny przybrały. Westchnęła głośno, westchnęły za nią i inne kobiety, nawet Rozalka. Piotr przeżegnał się naśladowali go synowie obaj, rosty i czerstwy Klemens z rozbłyskami od ciekawości oczyma i błądy, chuderlawy Jasiuk z gębą szerszą niż kiedykolwiek otwartą. Nagle jednym zamachem, Pietrusia rozwarte nożyce w grzbiet książki wbiła i pod jedno ucho nożyc palec wskazujący podkładając, drugie Piotrowej wskazała.

— Trzymajciż, ciotko!

Piotrowa uczyniła, co jej rozkazano. Książka na ostrzu nożyc wisząca, szeroko ku dołowi rozwierała swe stare poźółkle karty.

— Gadajcież teraz — zadysponowała Pietrusia — różne a różne nazwiska, gadajcie. Na czyje nazwisko Ewanelia pokręci się, ten złodziej... Rozalka pierwsza wyskoczyła z pytaniem

— Anton Budrak? — pytającym tonem wymówiła a pragnęła, aby książka uczyniła owe zapowiedziane poruszenie, bo wczoraj właśnie, nad stawem, przy płókaniu bielizny pobiła się z Budrakową. Ale książka ani drgnęła.

— Lewon Kuziauka? — cienkim dyszkantem zapytała Szymonowa, był to albowiem jeden z najdokuczliwszych wierzycieli jej męża. Ale książka pozostała nieruchomą. Nazwiska za nazwiskami wypadały z ust kobiet i chłopców, uszczęśliwionych tém, że w tak ważnym akcie niejaką rolę grać mogą. Książka jednak wciąż nie odpowiadała nic. Nakoniec, Piotr który dotąd żadnego jeszcze nazwiska nie wymienił, basowym i przytłumionym swym głosem rzekł.

— Jakób Szyszko. — Nie darmo przed półgodziną u kowala wyrażono podejrzenie na człowieka, który się tak nazywał. Palec Pietrusi drgnął tak lekko, że drgnięcia tego nietylko nikt nie spostrzegł, ale ona sama nie uczuła, a książka powolnym i zaledwie też dostrzegalnym poruszeniem, dokonała mały półobrot.

— Aha! — zawołało chórem głosów siedm. Pietrusia ostrożnie i z uszanowaniem z grzbietu książki ostrza nożyc wyciągnęła i, pochyliwszy się, nabożnie starą okładkę ucałowała. Za przykładem jej poszli inni. Całowały książkę wszystkie z kolei kobiety, całowali tak, że aż prawie smoktać ją zdawali się dwaj chłopcy; długim i skruszonym pocałunkiem usta swe do niej przyłożył Piotr i natychmiast luczywem sobie świecąc, do komory ją znowu poniósł. Potem, kobiety i chłopcy wymówili znowu chóralne: — Aha! w którym mieściły się uczucia różne: oburzenia, uradowania i wdzięczności dlatego czegoś, co im złodzieja odkryć pozwoliło. Czém było to coś, nie zapytywali o to i ani dorozumieć się mogli. Czuli tylko i myśleli, że była to jakaś siła, która usługę im oddała za pośrednictwem Pietrusi. Tego wieczora jeszcze ognista Rozalka latała po wsi a zgnębiona Paraska ze skwierczącym dzieckiem swém na ręku od chaty do chaty łąziła, a obie na wyścigi, jedna prędko i zapalczywie, druga powoli i mazgajowato, rozpowiadały o wszystkim, co działo się i stało w chacie starosty.

Potem głuche już tylko chodziły wieści o tém, co pomiędzy Piotrem i Jakóbem zaszło. Podobno pierwszy, w rzadko u niego zdarzającym się ale gwałtownym przystępie gniewu, zbił Jakóba we własnej jego chacie i pociągnięciem go przed sąd zagroził, jeżeli nie przyzna się do winy i skradzionych rzeczy nie odda. Jakób wiedział już z doświadczenia, że od sądu niezawsze bezpiecznie wykręcić się można, a na stare lata nie chciało mu się po raz trzeci turmę nawiedzać. Przytém, gdy synowie i córki z małemi dziećmi na rękach rzuciły się do nóg starości, prosząc, aby gospodarstwa ich nie rujnował, winowajca rozplakał się, wszystko przed Piotrem wyznał i zwrócił mu dwa sadła i pięć ścian płótna. O reszcie płótna utrzymywał, że gdzieś się zgubił, a o kielbasach, że je jakimś przypadkiem psy zjadły. Płakał, bił się pięścią w piersi i na zbawienie wieczne zaklinał się, że tak było. Synowie i córki, wiedząc dobrze, że tak nie było, skupiły się w kącie izby i milczały. A nuż Piotr uwierzy, a pięć ścian płótna i kielbasy w chacie pozostaną! Piotr nie uwierzył, ale gniew odszedł mu nieco i widział zresztą, jak ubogą była ta Jakóbowa chata i jaka ją napełniała gromada. Było tam dusz ze trzynaście, starych, młodych i małych. Tyle ludzi za winę jednego gubić i samemu nie małych kłopotów nabrać się. Ręką tedy machnął, to, co oddano mu, zabrał, a o tém, czego nie oddano, przez zęby mruknął...

— Pan Bóg Przenajświętszy tę moją krzywdę w królestwie niebieskim wynagrodzi...

I sprawy zaniechał, ale inni mieszkańcy wsi długo zapomnieć o niej nie mogli. Nie zapomniał o niej przedewszystkiem Jakób, który odtąd ilekroć Pietrusię spotykał, spluwał na stronę i z gniewem mruczał.

— Zgin, przepadnij, *nieczystaja siła!*

Nic w świecie nie zdołało-by zachwiać w nim przekonania, że tej kobiecie moc jakaś tajemnicza i jej samą tylko znana, postępek jego wyjawiała. Nienawidził jej i zarazem lękać się zaczął. Lękać się jej też zaczęły niektóre z niewiast, a przecież były i takie, co przepadały za nią. Młodej Łabudowej naprzykład, gdy sroga febra nią trzęsła, doradziła ona na pierwszą wiosnę wylęgnięte kurczę, albo kaczę spojrzeć i w tejże chwili, co przedź, węzeł na fartuchu lub chuście zawiązać. Jak ręką odejmie upewniała. Istotnie ujęło jak ręką. Łabudowa, która już schnąć, szpetnieć i siły tracić zaczęła, febrę utraciła, że zaś miała męża młodego, świekrę gderliwą i roboty wymagającą, wdzięczność jej dla Pietrusi była wielką. Inną znowu kobietę, w ciężkim położeniu będącą, napoiła płynem, z dziesięciu gatunków ziół przyrządzonym, a zwanym *dziesięcioranką*, który także okazał się wielce skutecznym. Miała zawsze w chacie pełno suszonych ziół, z których każde służyło na chorobę inną. Od gardła dawała brunelkę, od kaszlu ślaz i dziewannę, od bólów krzyża krwawnik, od ściskania w *żywocie* czomber i miętę. Przeciw chorobom jednym doradzała koniczynę białą i wiśniową korę w dół z drzewa zeskrobywaną, przeciw chorobom innym koniczynę różową i takąż korę tylko w górę z drzewa zeskrobywaną. Dzieci, które dostawały konwulsyi, kładła na desce pośród koła, zarysowanego kredą, a te, które koklusz męczył, poila sokiem rzepowym, nie z czego innego dawanym, tylko z samą rzepą, w formę kielicha wydrążonej. Słowem, nieprzebraną była w środkach, zaradzających cierpieniom, najpospoliciej dolegającym mieszkańcom wsi. I nietylko znała je, ale ich udzielała zawsze z uprzejmością i chęcią wielką. Inna brała-by zato jaja, len, płótno, kury, miarki zboża i Bóg wie co jeszcze. Ona nie. Nigdy niczego w zamian rad swoich nie żądała, a gdy która z niewiast i przyniosła jej kiedy cokolwiek w fartuchu lub pod chustką, nie przyjmowała. Rękę wyciągającą się z datkiem odpychała, mówiąc:

— Nie chcę, nie trzeba, na co mnie to? ja z życzliwości...

I była ludziom życzliwą istotnie. Bywało, gdy przez wieś idzie, a jaką biedną kobiecinę, albo zgnędniałe dziecko zobaczy, staje i zapytuje się. — A co to? A gdzie boli? a może to ze zgryzoty jakiej? a jaka to zgryzota? Wypytawszy się, czasem jakie ziółko, albo inny sposób na ludzką biedę doradzi, a jeżeli żadnej rady nie wymyśli, to z dorosłym o biedzie jego pogada i głową pokiwa, dziecko w ramionach pokolysze, w chude ciało pocałuje i potem już w swoją drogę idzie. Stara Aksena, słysząc ciągle, że ludzie do niej po radę przychodzą, z rok czy ze dwa milczała, ale potem zaniepokoiła się czegoś i na wnuczkę gderać zaczęła. Z wysokości pieca swego mówiła do niej:

— A czego ty, jak ta suka, ciągle przed ludźmi język wywieszasz? To i to pij, tak i tak zrób! Będiesz ty zato podziękowanie miała, jeszcze cię wiedźmą zrobią...

Pietrusia na miotle łokieć wsparła i zamyśliła się. Po chwili z namysłem zaczęła.

— Ot widzicie, babulo, mnie zdaje się, że kiedy mnie Pan Bóg szczęście dał, to ja ten świat bardzo już polubiłam... i wprzódy ja jego lubiłam, ale kiedy Michałek ze mną ożenił się, polubiłam jeszcze więcej... A teraz co? Michałek coraz lepszy... i dostatku wszelkiego przybywa i dzieci przybywa i ciągle mnie na świecie lepij i lepij a ja ten świat lubię więcej i więcej i wszystko co jest na świecie lubię... i słoneczko to Boże ciepłe i gwiazdy te boże jaśnieńkie, i drzewa te szumiące i kwiaty pachnące i ludzi wszelakich i każde żywe stworzenie... Wszystko lubię... i kusego lubię... kusy! kusy! na masz!

Brzydkiemu kundlowi w czarne i białe plamy kromkę czerstwego chleba rzuciła, po twardej sierści go pogłaskała i dalej, izbę zamiatając na całą chatę, zaśpiewała:

«Tam na dole, na przyhore,
Posiejali proso,
Oj tam chodził Jasiuleńko,
Do dzieuczyny boso!

Aksena chciała jeszcze gderać.

— Oj maładaja, durnaja! — szeptała, lecz promień słońca, przez okno padający, łagodnie ogrzewał starą jej głowę, a izbę napełniał zapach skwarzącej się w piecu słoniny i wesoły rozgłośny śpiew wnuczki. Co tam było szczęśliwej tej roztrzepanicy napomnienia jakie prawić, albo złe wróżby gadać? Sama więc w uszczęśliwionym uśmiechu rozciągnęła wążkie swe wargi od ucha do ucha i, na bok nieco przechyliwszy głowę, pilnie nasłuchiwała, czy nie zbudzi się czasem i w kołysce swój nie zaskwierczy malutka Krysieńka. A to już ręce od przedzenia zabolaly i błogo było-by na kolanach potrzytać prawnuczkę!...

IV

Po Stasiuku i Krysieńce urodziła się Helenka, a po Helence przyszedł na świat Jadamek, i czworo już dzieci, z których najstarsze miało lat sześć, zdrowo i wesoło hodowało się w chacie kowala, w porze owój, gdy mieszkańcy Suchej Doliny, rozniecili wśród dróg rozstajnych ogień z osinowego drzewa. Na ogień ten, niby motyl nocny, ku zgubie swój blaskiem płomienia zwabiony, pierwsza nadeszła Pietrusia. Ona więc była tą duszą złośliwą i nieczystą, która w charach kikunastu mleko krowom odebrała. Gdyby zamiast niej przyszła tam była kobieta inna, opinia publiczna wioski była-by także żywo zaniepokojoną i silnemi przeciw niej podejrzeniami nurtowaną; jednak podejrzeniom tym, towarzyszyć-by mogły wątpliwości niejakie. Dla ustanowienia zupełnej pewności faktu tego, trzeba było szeregu faktów poprzedzających. Tu nikt zaprzeczyc nie mógł, że przeszłość potężnie wspierała chwilę obecną. To dziecko nieznane przywędrowało tu kiedyś ze starą babą, którą niewiedzieć jaka siła, dobra czy zła, po świecie gnała. Baba widocznie kawał świata obeszła i *znała* tyle, ile wszystkie mieszkanki wsi, razem wzięte, nie *znały*. Zkąd jej przysły te wiadomości wszystkie? A potem oślepla. Czy to nie było czasem karą Bożą za jakie brzydkie postęпки, których dopuszczała się kiedyś za oczyma ludzkiemi, albo za jakie stosunki z nieczystym? A toż srogie lubienie, jakie uboga dziewczyna, przybłęda, rozbudziła w jednym z najbogatszych gospodarzy, w Stepanie Dziurdzi? A też wyjście za mąż, za chłopca, który sześć lat jej nie widział, a nie zapomniał? A to odgadnięcie złodzieja? a wszystkież jej leki i inne porady? Za jej to przykładem, teraz wszystkie dziewczki paliły wienniki, gdy chciały gości do domu sprowadzić; w skutek jej ostrzeżenia nikt nigdy nie podjął z ziemi tasiemki, związanej w szereg węzłków, bo zarazby dostał brodawek. Wprawdzie, spory zapas podobnej mądrości życiowej istniał w Suchej Dolinie i w ogóle, w całej okolicy, niezależnie od Pietrusi i przed przybyciem jej w te miejsca. Wprawdzie, od *dzidów pradziów* żadna z tutejszych niewiast, w dniach rozdzielających Narodzenie Pańskie ze świętem Trzech Króli, za nic w świecie nie pokręciła-by ni razu wrzecionem, bo by przez to na wiosnę wszelkie ptactwo domowe z zawrotu głów pozdychało; żadna w dzień Podwyszenia Krzyża Świętego nie chodziła do lasu po grzyby i jagody, bo by przez to wszelkie robactwo i gady las zamieszkujące na chatę swą nawiodła; żadna przy żęciu zboża nie upuszczała z pilnej uwagi tego, aby przypadkiem nie ściąć sierpem kłosów w pewien sposób związanych, lub załamanych, bo wiązuje je zwykle lub załamuje tak ręka nieżyczliwa, na nieszczęście tej, która je zeźnie. I wiele, wiele podobnych wskazówek i wiadomości, od *dzidów pradziów* posiadała ludność Suchej Doliny, ale Aksena i jej wnuczka, posiadały ich bez porównania więcej. A to terazniejsze bogactwo kowala i jego żony? Chata ledwie nie jak domek w jakim takim szlacheckim dworze, wóz jakoby bryczka okuty, kłaczka do zaprzęgu tęga, krowy, owce, wszystkiego pełno. A w chacie samowar i łyżki błyszczące i jeden drugi biały talerz. Małaż to rzecz bogactwa takie? Zkąd oni je mają? Oddawna już Rozalka Stepanowa, a za nią i wiele innych kobiet na cały głos dziwi się i wykrzykuje, że kowalicha jak pani jaka, *harbatę* w domu pije, suknie z kupnych perkalów nosi, do kościoła czasem półjedwabną chustkę na głowę zawiązuje, a on sam w spencerach chodzi, surdutach, butach pięknych, czapeczkach zgrabnych, a siermięgi i chłopskiej baranięj czapki, to już na nim ani zobaczyć. Rozalka aż wścieka się, a rozlazła Paraska aż płacze, gdy zapytują się samych siebie i sąsiadek: zkąd u kowala i kowalichy tyle bogactwa być może? Sąsiadki, szczególnie młodą Łabudowa, która Pietrusię bardzo lubi, wspominają coś o tém, że Michałek podobno trochę pieniędzy z sobą przywiózł, a zarobił je swoim rzemiosłem, że i teraz pracowity jest bardzo, i ludzie z robotami jak na odpust do niego przyjeżdżają; że kawał ziemi ma urodzajny, że Pietrusia dobrą jest gospodynią i t. d. Ale Rozalka i Paraska, a z niemi i inne kobiety, wzdardliwie głowami

kiwiają, a proszącymi oczyma spoglądają na Jakóba Szyszkę, który najczęściej rozmowom tym obecny bywa i uroczyście prostując się, mówi: — *Czort*, wiedźmie przez komin *brosze* nosi. Ot, z kądem u nich to bogactwo?

Teraz, stary Szyszko tryumfował.

— A co — mówił, — kto przyszedł na ogień? Kto krowom mleko odebrał?

Wież była duża i nie cała zajmowała się tą sprawą. Ale w kilkunastu chatach wrzalo wieczoru tego jak w garnku. Mężczyźni dziwowali się i oburzali zarazem, ramionami wrzuszali i pięści ściskali, ale jak zwykle bywa, gdy im wódka ust nie rozwiązuje, mówili mało. Babskie języki za to latały jak młyńskie skrzydła. Rozalka ze swemi żywymi ruchami wiewiórki, a syczącymi ustami żmijki, uwijała się między ludźmi po różnych izbach i dziedzińcach wtedy jeszcze, gdy już na godzinę przed północą koguty zapiały. Stepan z dzieckiem na ręku, do pustej chaty wszedł, ogień rozniecił, luczywo zapalił i w szczelinę ściany wetknął, a potem, zmarszczoną i srogą twarz swą pochylił nad dzieckiem, które w objęciu jego spało. Czy na prawdę do żyjącego dziecka należała ta niekształtna głowa, lnianymi włosami zrzadka okryta, z twarzą nabrzmiałą i zamkniętymi powiekami, których żółte rzęsy leżały na woskowej żółtości policzkach. Przy świetle luczywa, Stepan przypatrywał się tej twarzy. Dla czego syn jego był mizeractwem takim, kiedy on sam należał do najsilniejszych i najroślejszych chłopów we wsi i całej okolicy? Wiecznie zgryzotą jakąś ściągnięte usta Stepana, nad samą twarzą dziecka zaszemrały:

— Oj biedulku ty, biedulku! kiedy ty był w żywocie matki, *baćko* twój bił żonkę, bo *nawidzić* jęj nie mógł... a kiedy ty ledwie od ziemi odrastał, paskudna matka łopatą cię po głowie uderzyła...

Srogość jego twarzy topniała w okrywającym ją wyrazie bólu. Pocałował w czoło uspione dziecko, ono zbudziło się i rączynami u szyi mu zawisło:

— Tatku, jeść!

Jednym ramieniem przytrzymując je u piersi, drugim sięgnął w przepaścistą głębinę pieca i wyciągnął z niej garnek z jakąś ledwie ciepłą resztą krupniku. Wziął drewnianą łyżkę i wlewał nią krupnik w usta dziecka. Część krupniku wylewała się z łyżki i ust dziecka na brzeg pieca, dziecko ksztusilo się i śmiało zarazem; Stepan także wśród niezliczonych zmarszczek swjej twarzy uśmiechać się zaczął. Wkrótce jednak, srogo znowu brwi zsunął i z ust wyrzucił ciche przekleństwo. Dla czego w dostatniej chacie jego panuje niedostatek taki, że ot dziecko swe karmić musi zimną resztką krupniku, a sam, głodnym będąc, jeść czego niema? Komora przecież pełna. Tak, ale chata pusta. Dziecko w niej to jedno tylko, a żonka po świecie lata, z językiem wywieszonym jak u suki. — Suka! — zamruczał i znowu zaklął. Potem jeszcze do dziecka rzekł. — Oj, żeby *tamta* twoją matką była, nie tak by ty wyglądał...

Po chwili, ojcowskimi rękoma na sienniku ułożone, mizerne dziecko, znowu zasnęło, a Stepan, przyniesioną z komory kromkę chleba z kawałkiem słoniny zjadłszy, siedział przy ścianie na ławie i drzemał. Orał dziś przez dzień cały, tak więc znużonym był, że aż całą swą postacią kołysał się od senności to w tył, to naprzód. Jednak do snu się nie układał. Na żonę czekał. Był-że to objaw czułości małżeńskiej? Doświadczyć tego miała Rozalka, gdy na godzinę przed północą, do chaty wracała. Wracała zaś w humorze wybornym. Uszczęśliwiała ją to, że Pietrusię złapano dziś na gorącym uczynku szkodzenia ludziom, i że odtąd nie tylko cała wieś, ale i Stepan w obrzydzenie ją weźmie najpewniej. Ta ostatnia nadzieja rozplywała się po jęj wnętrzu namiętą rozkoszą. Ona przecież nie z przymusu i nie z chciwości, ale z lubienia za Stepana poszła. Ostrzegali ją ludzie, że on wielki złośnik. „Już ja jemu dam rady,” mawiała. „Na złość jest złość i niewiadomo jeszcze, kto kogo przewycięży. Niechaj bije, byle lubił.“ Aż tu przekonała się, że on jęj nie lubił, a pojął ją tylko dla tego, że kiedy matka umarła „gospodyni w chacie konieczną już się stała”. Tamtę — to lubił i jak jeszcze lubił. O, gdyby nie bała się kryminału i sądu, była-by już tę tamtę sto razy zabiła! Ale teraz zabita już ona i tak. Wiedźma ludzi krzywdząca i z nieczystym będąca w znowie. Teraz, to i Stepan plunie na nią tylko, gdy ją zobaczy. Nadzieja ta uczyniła ją szczęśliwą i bardzo dla męża czułą. Wsunęła się do chaty z cicha i, ujrawszy Stepana siedzącego jeszcze na ławie, jak wiewiórka przyskoczyła, usiadła przy nim i za szyję go ramieniem objęła. Oczy jęj wyglądały jak dwa czarne płomyki, wąskie usta ukazywały w uśmiechu rząd śnieżnych zębów. Na szyję męża ramię zarzuciwszy, chciała przycisnąć się do jego boku, gdy nagle, on pięść podniósł i uderzył ją w plecy tak silnie, że aż z ławy na

ziemię kolanami upadła. Zarazem krzyzcć zaczął, zapytując ją, gdzie tak długo siedziała, czemu wieczerzy nie zgotowała, czemu do dziecka nie przyszła? Wtedy ona znowu złością wybuchnęła i, zerwawszy się z klęczek, a ręce na biodrach oparłszy, zaczęła skakać mu w oczy, zjadliwie śmiejąc się i wołając: — Wiedźma twoja Pietrusia! Wiedźma twoja miła! wiedźma twoja lubka najmiłsza! wiedźma! wiedźma!

Stepan zerwał się z ławy i, za włosy ją porwawszy, znowu na ziemię rzucił. W téjże chwili krzyk i łoskot obudził małego chłopczykę, który, ujrawszy rodziców bijących się na środku izby, szybko wysunął się z pod *nadna* i cicho, z przestraszonymi ruchami wlaź pod tapczan. Z doświadczenia wiedział o tém, że po każdej bitwie z mężem, matka porywała go za włosy lub koszulę i jak szczenię na środek izby z pościeli wyrzucała. Ojciec go wtedy najczęściej na ręce brał i po izbie w ramionach nosił, tuląc i całując, ale czasem, kiedy już był bardzo rozzłoszczony, także go nogą kopnął...

Pietrusia tymczasem, zaszedłszy do kuźni i chwilkę z mężem pogadawszy, do domu wróciła. Przez ten dzień napracowała się w ogrodzie około pielenia buraków i kapusty, a na godzinę przed zachodem słońca wybiegła w pole, aby trochę ulubionych ziół swoich narwać. Wiedziała, że w porę jeszcze przyjdzie, aby wieczerę zgotować.

Dokoła Akseny tymczasem, która, przez wnuczkę do ogrodu wyprowadzona, cały dzień na trawie przesiedziała, a teraz już zwykle swe miejsce na piecu zajęła, skupiło się troje starszych dzieci. Najmłodsze spało w kołysce. W zmroku letnim, który napełniał izbę, gwiazdami do niej przez szyby okien zagładając, grupa złożona z czterech istot ludzkich różnej wielkości, ciemniała i poruszała się w zarysach mętnych, pod samym prawie sufitem izby, nakształt grupy cieniów. W ciszy, którą przerywały tylko oddalone stukania kowalskiego młota, chrząkał i seplenił głos ślepej baby i jak srebrne dzwonki rozlegały się cienkie głosiki dziecięce. Ona im coś, to z powagą wielką, to ze swym suchym, klekotliwym śmiechem opowiadała; one jęj mnóstwem wykrzyków i zapytań mowę przerywały. Najczęściej i najśmieliej odzywał się sześćioletni Stasiuk, najmilszy pierworodny ojca, po trochu już pomocnik matki w pielęgnowaniu najmłodszego dziecka, po trochu téż już i opiekun ślepej babki, którą czasem na piecu karmił, a po dziedzińcu i ogrodzie za rękę wodził. Teraz, był on czegoś niezmiernie rozciekawionym i, głosem rozpieszczonego dziecka, nieustającami zapytaniami prababkę napastował.

— Gdzie on był, babulko? gdzie Jadamek był nim do naszej chaty przyszedł? Gdzie on piérwój był?

Szło mu właściwie o to, zkąd przyszedł najmłodszy braciszek, który przed miesiącem zjawił się w chacie i co on robił przedtem, zanim tu przyszedł? Stara śmiała się długo a potem rzekła:

— W lesie Adamek był, w lesie był twój braciszek *milenki*, nim tu przyszedł.

— A co on tam robił? — zabrzmiało znowu pytanie.

— Zajączki w lesie pasł — odpowiedziała mu babka.

— A ja, gdzie był piérwój, nim tu przyszedł?

Stara bez namysłu już odpowiedziała.

— Ty na wysokim, wysokim drzewie siedział i wronki w powietrzu pasł...

— A ja? a ja? babulko, a ja?

— Ty, Kryśka, na dnie sinieńskiej wody siedziała i rybki pasła...

— Helenka? Babulko, a Helenka?

— A ja? babulko, a ja, gdzie była?

Widać prababka trzyletnią Helenkę pocałowała, bo po izbie rozległo się głośnie cmoknięcie. Potem ze śmiechem, w którego starym klekocie czuć było rozkosz, odrzekła:

— Helenka w gęstej trawie siedziała i robaczki pasła...

W tém drzwi stuknęły i po izbie rozszedł się mocny zapach ziół polnych.

— Czy to ty Pietrusia? — zapytał w zmroku głos chrapliwy i sepleniący.

— Mama! — zadzwonił dziecięcy chór.

— Wszyscy wy tutaj? — zapytała wchodząca.

— A wszyscy.

— Adamek śpi?

— A śpi.

— To i chwała Bogu. Ot zaraz ogień rozniecę i kartofli zgotuję, com ich dziś w ogrodzie nakopała.

— Oj, dobre kartofle... młode... — z wyraźną rozkoszą zasepleniła babka.

— Dobre... oj, dobre... powtórzył dziecinny chór.

Szeroki ogień zapłonął w piecu i oświetlił izbę, w której przez upłynione lat kilka zaszły niejaki zmiany. Ale były to zmiany na dobre. Więcej dostatku i więcej wymysłów. Pomiedzy oknami stała komódka, a na niej dwa mosiężne lichtarze i lampka ze szklanym kominkiem. U okien firanki z kwiecistego perkalu i pachnące geranium całe w czerwonym kwiecie; za szybami szafki, białe talerze, a na jednej ścianie kilka obrazków w błyszczących ramkach. Wszystko to Michałek poprzynosił do domu. Gdy tylko gdziekolwiek za interesem jakim pojedzie, zawsze coś ładnego przywiezie do domu, a potem sam, z tych przybytków, cieszy się jak dziecko i żoncy cieszyć się każe. Gdyby i nie kazał zresztą, ona cieszyła-by się sama. Oczy jej kochają się w jaskrawych barwach perkalowych firanek i złotawych połyskach mosiężnych lichtarzy, a jeżeli ztąd doświadcza jakiego zmartwienia to tego chyba, że ślepa babka tych wszystkich piękności i wygod, w jakie ona teraz opływa, widzieć nie może. Opowiada jej o nich zato długo i szeroko, i każdą rzecz nową do pomagania jej daje. Zresztą, wszystkie stare rzeczy pozostały w tej izbie, tak jak i były. Ławy, stoły, statki gospodarskie, trzy krzesła z drewnianymi poręczami, krośna tkackie Pietrusi, w kącie jednym wielki stos różnego żelaztwa i nad nim na ścianie kilka nowych, tylko co w kuźni zrobionych siekier, pił, kruków i szczypiec. Na krośnach tkackich Pietrusia *radno* rozesała i na nie wysypała z fartucha rozsypane ziola. Potem zakrzętnęła się około wieczerzy; dzieci, niby ptaki z pieca zleciawszy, biegały koło niej bosem stopy i szczebiotały te dziwy, które im babula o zmroku opowiadała.

— Mamo! ja na dnie sinieńskiej wody siedziałam i rybki pasłam...

— A ja w gęstej trawie siedziałam i robaczki pasłam...

— A ja na wysokim, wysokim drzewie siedziałam i wronki w powietrzu pasłam...

— A Jadamek w lesie siedział i zajączki pasłam...

Sypiąc kartofle do garnka, Pietrusia żartobliwie przekomarzała się z dziećmi, na piecu stara aż zachodziła się od śmiechu, że te *durenki* tak zupełnie we wszystko, co mówiła, uwierzyły.

W pół godziny potem wrócił do domu kowal. Dzieci ku niemu się rzuciły.

— Tatku, ja w sinieńskiej wodzie..

— A ja, tatku, na wysokim drzewie...

— A ja w gęstej trawie...

— A Jadamek w lesie...

Michałek jedno po drugim na ręce je brał, jak piórka wysoko nad głowę swą podnosił i, pocałowawszy, na ziemi znowu stawiał. Szeroko przytęm i z przyjemnością widoczną rozpytywał się dzieci, co tam w tej wodzie, w tej trawie i na tym drzewie robiły i kiedy to było. Teraz, stał się on mężczyzną zupełnie już dojrzałym, z ramiony od kowalskiej pracy szeroko rozrosłymi, z twarzą od opalenia prawie brązową i wielkim, czarnym wąsem, nad łagodnymi ustami. Znać w nim było siłę pracownika i powagę człowieka, który tylko od własnej swej pracy zależał. Z czarnych oczu jego, gdy dzieci całował i po pełnej dostatków izbie się rozejrzał, patrzyło szczęście. Siadając na ławie, zawołał.

— Zuzulu! zmachałem się przy robocie, mało ręce nie podpadają! Jeść chcę.

Nigdy prawie inaczej żony nie nazwał jak *zuzulą*, imieniem tego miłego ptaka, który wesołym kukaniem oznajmia rozkwitłą wiosnę.

— W mig będzie wieczerza! — wesoło odparła kobieta i postawiła na stole lampkę z długim kominkiem. Od lat paru Michałek chciał już zawsze wieczerzać przy świetle lampy, łuczywo palili tylko w zimowe wieczory, ażeby w chacie jaśniej i weseliej było. W mgnieniu oka dwie małe dziewczynki znalazły się na kolanach ojca, Stasiuk na stole siedział i wszystko troje razem gadało, lecz nikt ich nie słuchał. Pietrusia na stole postawiła misę dymiących się kartofli bochen chleba i nóż mężowi podała, a potem z sieni przyniosła jeszcze hladysz z kwaśnym mlekiem.

Wkrótce po wieczerzy dzieci zasnęły: Stasiuk pod kraciastym kilimkiem na tapczanie, Kryśka i Helenka na piecu obok babki. Ślepa baba, przez prawnuka nakarmiona mlekiem i kartoflami, nacałowawszy się prawnuczek i naśmiawszy się z ich szczebiotem i swawoli, zabiera się także do rozciągnięcia na piecu starych swych kości, kiedy Pietrusia, myjąc miski i łyżki, odezwała się nagle.

— Aha! jaż wam nie opowiedziała jeszcze, co mnie się dziś przytrafiło...

Przez cały wieczór, zajęta mężem, dziećmi i wieczerzą zapomniła o wszystkim, co nie było najbliższym i najmiłszym jej otoczeniem. Zresztą, do dzisiejszego swego wypadku małą przywiązywała wagę i opowiadała o nim babce i mężowi ze śmiechem, zwyczajnie jak młoda kobieta, która ma głowę nabitą swoim kochaniem i swymi pomysłościami tak, że nic z tego, co jej zdarza, na złe sobie tłómaczyć nie umie. Kował grubym swym i serdecznym śmiechem śmiał się także i z chłopów, którzy ogień na przyciąganie wiedźm rozniecają, i ze zdarzenia, które na ten ogień żonę jego przywiodło. Ale stara Aksena widocznie zmarkotniała. Wprzód już kłoniła się była ku swemu posłaniu; teraz siedziała wyprostowana, nieruchoma a kościste jej szczęki poruszać się zaczęły tak, jak gdyby coś z trudem przeżuwała. Był to u niej znak niemylny zgryzoty lub troski. Kiedy Pietrusia opowiadać przestała, a wymyte miski i łyżki umieszczała na przybitej do ściany desce, stara głosem, objawiającym głębokie zamyślenie, ozwała się z pieca.

— To niedobrze, oj, to niedobrze; że ty, Pietrusia, pierwsza na ten ogień przyszła!...

— Głupstwo! — zaśmiał się kował i ręką machnął, ale Pietrusia żywo ku babce twarz zwróciła.

— Czemu? — zapytała.

Po chwilowym jeszcze namyśle, baba mówić zaczęła.

— Bo najpierw wiadomo, że na taki ogień *zausiudy* (zawsze) wiedźma przychodzi. To już wiadomo, to już tak musi być, tak już Pan Bóg Najwyższy siłą nieczystą ludzkim oczom objawia. To czemuż ty, Pietrusia, *dzisiaka* (dziś) na ten ogień przyszła? Ręce młodej kobiety opadły nagle i splotły się na spodnicy. Oczywiście, które otworzyły się szeroko, na babkę patrzała.

— Czy ja wiem czemu? — wymówiła z cicha i usta jej zdumienie czy przerażenie rozwarło.

— Ot! — lekceważąco ozwał się kował — szła to i przyszła. Szkoda gęby na to marnować!

Ale Aksena nie zważała na sceptyczne odezwanie się Michałka a Pietrusia nawet ich nie słyszała. Z otwartymi wciąż usty, rozszerzonymi oczyma patrzała na babkę, która dalej mówiła.

— A druga rzecz jest, że teraz już złe ludzie spokojności tobie nie dadzą. Teraz to już pewno za wiedźmę cię ogłoszą i...

Szczękami gwałtownie poruszać zaczęła i po chwili dopiero dokończyła.

— I niech ciebie już Pan Bóg od wszelkiego nieszczęścia broni.

Tu, ręką jakby z żółtej kości wyrzeźbioną, uczyniła w powietrzu kilka znaków krzyża; ślepe jej oczy może od wyprężonego wzniesienia powiek, rażącą białością odbijały wśród żółtej twarzy. Pietrusia, tam gdzie stała, osunęła się i na ziemi usiadła, z rękoma wciąż splecionymi i otwartymi usty. Michałek mniej niż wprzód lekceważącym głosem burknął.

— Już to i ja od wszelakiego nieszczęścia bronić jej będę... ale jakie tam z tego może być nieszczęście? Nie daj Boże nieszczęścia!

Widać było, że jakkolwiek do rzeczy podobnych daleko mniejszą niż inni wagę przywiązywał, jednak gadanie ślepej baby sprawiło i na nim wrażenie niejaki. Ona zaś po chwilowym milczeniu, znowu mówić zaczęła.

— Dawno już ja, oj, dawno na tym świecie żyję, wiele świata schodziłam, wiele ludzi słyszałam i takich słyszałam, co żywymi oczyma patrzali jeszcze na stare czasy, takie stare czasy, że o nich już teraz i pamięć pomiędzy ludźmi przepadła. Ot, kiedy ja z maleńką Pietruską na ręku w cudzy świat poszła, to zaszła raz do jednej wioski, w której żył jeden taki stareńki człowiek, że mu już na twarzy zielony mech wyrósł a ludzie mówili, że jemu może więcej jak sto lat było. Za młodu on żołdatem podobno był, i we dworach służył i dużo świata schodził, to jak zacznie bywało gadać a rozpowiadać, wszyscy gębę otwierają i słuchają; wszyscy... *btaby nie był*. . . *pamy* nawet i bardzo uczone ludzie przychodzą bywało i proszą jego, aby im różne rzeczy gadał... I ja bywało proszę i słucham... Oj, stary Zachar, stary Zachar! już teraz i kosteczki jego rozsypały się w mogiłę i dusza przed Panem Bogiem stanęła, a to, co on gadał i rozpowiadał, *taki* po świecie chodzi, jak żywe... Ot, ja ślepa a jak żywe stoi przed oczyma memi, to co on o tej wiedźmie rozpovedział, a słyszał

to on sam od swego ojca, który ją już na swoje żywe oczy widział. A mnie teraz to wszystko jakby żywe przed ślepymi oczyma stanęło...

Znowu na chwilę mówić przestała. Wspomnienia, które przed ślepymi jej oczyma stały i poruszały się jakby żywe, wyrwały ją z nieruchomości uprzedniej. Kołysała cienką kościaną swą postać to w tył, to naprzód i nim znowu mówić zaczęła, parę razy westchnęła głośno. Białe jej oczy nie świeciły już wśród żółtej twarzy tak jak przed chwilą, bo przestał padać na nią blask ognia, który, powoli przygasając w piecu, rzucał na izbę smugi bladawe kołyszącej się w zmroku światłości. W jednej ze smug takich siedziała na ziemi Pietrusia z zamkniętymi już usty, ale splecionymi do koła kolan rękoma i niepokojem zmaconą twarzą. Pod drugą ścianą, potężna postać kowala rozpierała się na ławie i stole. Przez oszczędność, zapewne, zgasił on lampkę, głowę na dłoni oparł i z uwagą słuchał gadania stariej. Słuchał on zawsze bajek jej i opowieści z uwagą i przyjemnością pewną, płacąc jej wzajemnymi opowiadaniem o wędrówkach swych po świecie i różnych widzianych i słyszanych rzeczach. Tak im przechodziły dość często niedzielne popołudnie i spore kawały zimowych wieczorów. Teraz, choć spać mu się trochę chciało, słuchał jednak, a ślepa baba, w zmroku zalegającym wierzchołek pieca, chropowatym swym i szepleniącym lecz silnym jeszcze głosem, tak prawić zaczęła:

— Była, żyła w siole ludnym i bogatym dziewczyna, do czerwonej maliny podobna, słuszną jak ta topolka i taka piękna, że dziwowali się jej wszyscy ludzie. Parobki młode to wprost już szaleli za nią a i panicze do niej przychodzili i mówią bywało: „Choć spójrz ty na mnie, Marcysia! choć razik *ruczku* mnie *swoju* podaj!” Ale Marcysia nikogo nie chciała, ani chłopą, ani pana. Pójdzie bywało do studni, jak królowna jaka, w spódnicy, *stużkami* (wstążkami) naszywanej, w koralach i bursztynach na szyi, kwiatów sobie pełno we włosy nakładnie i śmieje się tylko ze wszystkich, białe zęby pokazując. I już zaczęli ludzie gniewać się na nią i różnie ją przezywać i bardzo jej przypatrywać się, co ona takiego robi, że wszyscy do niej lgną jak te muchy do miodu, a ona sama to nikogo nie chce. Aż tu patrzę, patrzę i widzę, że Marcysia nie zawsze śmieje się i z parobkami albo paniczami baraszkuje, ale czasem też bardzo pochmurna chodzi, na ludzi zyzem patrzy, do lasu idzie i siedzi w lesie dzień, dwa, trzy dni a jak wróci, potajemnie zioła jakieś warzy, szepcząc nad niemi, i dziwne znaki robiąc, a potem już ludziom różnym, te zioła do picia daje, od bólów i od kolek i od nudności i od zgryzoty i od wszelakiego ucisku, jaki tylko jest. Byli tacy ludzie, co od niej napoje te kupowali i potem dziękowali jej i chwalili ją przed wszystkimi, mówiąc, że ona bardzo ciekawa, i dlatego wiele rzeczy poznała, a za ciekawością swoją to już i lubienia żadnego znać nie chce. Milsze jej było ziółko w lesie, niż chłop na dobrej roli, albo nawet i panicz we dworze. I była-by sobie Marcysia spokojnie żyła i swoje robiła, bo nie miała nikogo, coby ją do czegośkolwiek przymuszał, a w siole wszyscy już i przyzwyczaili się do tego, że inną sobie była jak wszystkie dziewczki! Bywało, mówią o niej: „z innym sercem i innymi myślami urodziła się.” I dawali jej święty spokój. Ale ot, na nieszczęście Marcysi, polubił ją jeden dworski człowiek, *guberner*, czy *pisar*, czy co takiego. A ona z niego żartowała sobie tak jak i ze wszystkich. Stanie bywało przed kościołem, tam gdzie i on stoi, jak królowna jaka, w spódnicy *stużkami* naszywanej w cienkiej koszuli, w koralach i bursztynach na szyi i śmieje się z *gubnera*, białe zęby mu pokazując. On długo cierpiał i *wszystko* ją prosił, żeby go polubiła, aż kiedy zobaczył, że nic z tego nie będzie, w straszną złość wpadł, do miasta pojechał, przed *księdzami* i wielkimi urzędnikami skarżył się, że ot, tak a tak, Marcysia jest wiedźmą. Wtenczas w siole zrobiło się jak w piekle. Pojeżdżali się *księdzy* i urzędniki wielkie i zaczęli nad Marcysią robić śledztwo. Zebrali z sioła ludzi i pytali się: a co ona robi? a czego ona do lasu chodzi? a co ona szepce, kiedy zioła warzy? a jakie to zioła? a czy do niej czart w gościnę chodzi? A zład u niej tyle *stużek* i koralów i bursztynów i wszelakich ubiorów jest? Wypytałszy się o wszystko, Marcysi ręce i nogi związali, na wozie ją położyli i do miasta powieźli. A w mieście na rynku pokazali ją wszystkim ludziom i powiedzieli, że to jest wiedźma. Tak i tak, mówili, tak i tak. Nieczystemu duszę swoją chrześcijańską zaprzedała, mówili, z nieczystym w lesie rozmawiała, mówili; nieczysty jej przez komin *stużki*, bursztyny i wszelakie bogactwa nosił, mówili. A potem na środku rynku nałożyli dużo drzewa, a potem kat w czerwonej sukni Marcysię za włosy schwył i w ogień wrzucił. Ogień buchnął taki wielki, że prawie nieba dostawał a Marcysia paliła się w nim jak ta trzaska, tak okropnie jęcząc, że jęczenie jej na cały świat rozchodziło się i prawie nieba

dostawało, a od jęj ciała, co paliło się w wielkim ogniu, smród rozchodził się po całym mieście, a *księdzy* na chwałę Panu Bogu święte pieśni głośno wyśpiewywali i sam król, na tronie siedzący cieszył się i wszystkim ludziom cieszyć się przekazywał, że tak ot, ukaraną jest wiedźma, co duszę swą chrześcijańską nieczystemu zaprzedała...

Umilkła Aksena i głębokie milczenie w izbie zapanowało. Kowalowi przy słuchaniu opowieści o wiedźmie, wszelka ochota do spania przeszła. Czy wierzył on, albo nie wierzył w istnienie dyabłów i wiedźm? Sam dobrze nie wiedział. Po prostu, wesoły temperament i przewaga praktycznych instynktów, skłaniała go do lekceważenia podobnymi zagadnieniami i nawet do wesołych nad nimi żartów. Jednak, opowiadanie takie jak to, które w tej chwili usłyszał, czyniły na nim wrażenie, chwiała silnie jego niewiarę, budziły w nim żywą ciekawość: tak było z Michałkiem. Co do Pietrusi, ta, z wytrzeszczonymi oczyma i zbladłą od przerażenia twarzą, słuchała opowiadania babki, gdy była w niēm mowa o ogniu, który aż prawie nieba dostawał, wydała z piersi stłumiony okrzyk zgrozy, a gdy usłyszała o smrodzie, który z piekącego się ciała Marcysi rozchodził się po całym mieście, dreszcze wstrząsnęły silnie jęj ciałem od stóp do głowy. W parę minut dopięro po umilknięciu babki, ozwała się głosem tak ciekim i jękliwym, jakim nie mówiła nigdy.

— Babulo! czy ona naprawdę wiedźmą była? czy tylko tak... złe ludzie na nią wymyślili?...

— To już niewiadomo, — z namysłem i powoli odparła Aksena; — tego już i stareńki Zachar nie wiedział. Może była, może nie była. Jeżeli była, to u nięj na plecach czerwony znak od czortowskiego kopyta musiał być. Tego znaku ja nigdy nie widziała i Zachar nie widział, ale mówił, że *dzid* ojcu jego rozpowiadał, że widział i że tak musi być!..

Po chwilowém milczeniu zakolysała się znowu na mrocznym wierzchołku pieca kościana postać ślepęj baby i chropowaty głos zamruczał.

— Oj, stary Zachar, stary Zachar! kosteczki twoje rozsypały się już w mogiłce i dusza twoja przed Panem Bogiem stoi a to, co ty gadał i rozpowiadał, *taki* po świecie chodzi jak żywe...

Kowal wstał z ławy.

— At! — zawołał — głupstwo! Ja też dużo świata schodził i niemało widział i słyszał a nigdy nie widział i nie słyszał, żeby gdzie wiedźmę palili. Teraz już tego robić nie wolno. Teraz już tego nie ma. Chodź spać, Zuzulu!

Wstała powoli, ciężko jakoś a w wymownych jęj oczach, malował się niepokój. Policzki jęj zbladły nieco i wydawały się mniej okrągłemi; napięcenie myśli twarz jęj wydłużyło. Po kilku minutach zupełna cisza napęlniła izbę. Przerwało ją wkrótce głośne chrapanie kowala, a prawie jednocześnie ozwał się szelest kroków i ktoś wyraźnie wdrapał się na piec. W ciemności, na wierzchołku pieca, zaszemrał szept.

— Babulo! czy ty śpisz, babulo?

Spała, ale stary sen jęj był bardzo lekkim i do przerwania łatwym. Przywykła zresztą do tego, że wśród nocy, budziły ją sypiające przy nięj prawnuczki. Tym razem jednak, obudziła ją nie mała prawnuczka, ale kobieta, która, położywszy się przy nięj gorącym ramieniem suche jęj ciało objęła.

— To ty, Pietrusia?

— Ja, cichoż tylko, babulo, żeby Michałka i dzieci nie zbudzić...

— A czego ty tu przyszła? Czy cię kolki tak jak przeszłego roku sparły? Czy Adamek spać ci nie daje?

Przez długą minutę odpowiedzi nie było; potem jeszcze cichsze niż szept uprzedni zaszemrało pytanie.

— Babulo, czy kiedy ja urodziłam się, ojciec i matka nosili mię do kościoła do chrztu świętego?

Nu, a jakże? — odpowiedział sepleniący szept staręj — jakże by ty bez chrztu świętego żyła? Wiadomo, że nosili.

— Babulo, a kiedy ja mała byłam, żegnała ty mnie na noc krzyżem świętym?

— Nu, a jakże? żegnała, każdego wieczora żegnała...

— Dlatego, żeby nieczysty dostępu do mnie nie miał?

— Dlatego, żeby nieczysty dostępu do ciebie nie miał i żeby Pan Bog najświętszy opiekował się tobą, biedną sierotą...

— Babulo! mnie zdaje się, że ja przed Panem Bogiem niczém ważném nie zgrzeszyła...

Po chwilowém milczeniu stary szept odpowiedział:

— Mnie zdaje się, że ty przed Panem Bogiem taka czysta jak ta biała *leleja*, co w kościele przed ołtarzem stoi...

Po tój odpowiedzi dało się słyszeć przeciągłe westchnienie ulgi. Potém młode usta zaczęły znowu cichutką rozmowę.

— Babulo! to i czemuż ja dziś na ten ogień przyszła?

Odpowiedzi długo nie było. Zapytanie mieściło w sobie zagadkę, niezmiernie do rozwiązania trudną. Po długiej chwili dopiero Aksena szepnęła.

— Bo może to i nie więdźma to mleko krowom odebrała?

— A któż kiedy nie więdźma?

— Może ropucha...

— Aha!

Ostatni wykrzyk brzmiał tryumfem.

— Pewno ropucha. Ropuchy kiedy rozgniewają się na ludzi, tak samo mleko krowom odbierają.

— A-le!

— Un, to pewno ropucha.

— A ropucha, bo żeby nie ropucha, toby więdźma na ogień przyszła... nie ty!...

— A-le. Śpij-że z Bogiem, babulo.

— Śpij spokojnie, zuzulo ty moja, śpij...

Nazajutrz była niedziela, a wiadomo, że w niedzielę chłopu i chłopce wszystko na świecie jaśniej i piękniej wygląda, bo choć i dnia tego jaką taką robotę dokonać muszą, lecz po jój dokonaniu nie schylają już twarży nad zagonem lub tokiem stodoły, nad balią, albo niemi rozpiętymi na krośnach. Przez połowę dnia najmniej patrzeć sobie mogą na słońce, niebiosa i wszystko, co z ziemi wysoko wyrasta, chodzić, siedzieć, śmiać się, gadać i śpiewać — co kto chce. Tój niedzieli pogoda była piękna. Pietrusia wody ze studni przyniosła i ogień w piecu roznieciła w tój jeszcze chwili poranku, gdy nad brązowym gajem jutrzeńka rozwinęła różową szarfę, a pierwsze promienie słońca, z dołu w górę strzelając, złote podszewki dawały liściom ogrodu. Potém nad staw pobiegła i, przyniósłszy ztamtąd pęk pachnącego ajeru, rozrzuciła go po podłodze izby, wprzódy już czysto wymiecionej i białym paskiem posypanej. Kiedy kowal obudził się, stara babka na pościeli swój usiadła i dzieci gwarzyć zaczęły, w chacie od ajeru pachniało jak na łące, przez dwa otwarte okna lały się strugi słonecznych światel, a Pietrusia w białej koszuli, spiętėj u szyi błyszczącym guzikiem, w kwiecistej perkalowej spódnicy i czerwonej chustce na włosach, przed ogniem stojąc, kartofle oskrobywała z lupin, które starannie do cebrzyka zrzuciła, aby nie szpeciły niedzielnej podłogi. Kowal oczy ze snu otworzywszy, spojrzeniem powiódł do koła na żonę, popatrzał i, wyciągając nad *radnem* potężne swe ramiona, a szeroko jeszcze poziewając, zawołał: — Oj, Zuzula ty moja, Zuzula! Ona za całą odpowiedź zaśmiała się głośno i garść lupin kartoflanych tak zręcznie nań rzuciła, że zasypały mu one twarz i piersi. Do samego prawie południa krzątała się po chacie. Pożywieniem obdzieliła całą rodzinę, babkę i starsze dzieci myła, cesała i w czystą odzież ubierała, malutkiego Adamka piersią swą karmiła i w ramionach kołysała, męża do miasteczka na dzień cały wyprawiając, zaopatrywała go w zapas żywności i o tém, co miał tam nabywać i sprzedawać, rozważnie, i po przyjacielsku z nim rozmawiała. Po południu dopiero, Stasiuk w czystej i kolorowym paskiem przewiązanej koszuli, prababkę do ogrodu poprowadził. Malutką swą ręką trzymając jój żółtą, kościstą rękę, spełniał on czynność przewodnika z powagą i uwagą wielką, z wydętymi wargami, w milczeniu. Stara szła za nim, kijem wciąż ziemi przed sobą dotykając, w samodziałowej, siniej kapocie, w płytkiem obuwiu i świątecznym czepcu, którego błyszczący galonik świecił na słońcu dokoła białych jój włosów. Pod dziką jabłonią, na trawie usiadła, w zwykłej postawie swój wyprostowanej i tak sztywniej, że czyniła ją ona podobną do figury, wyrzeźbionej z drzewa czy kości. Nie widziała nic, ale czuła ciepłe wietrzyki, muskające jój twarz i głowę, słyszała szczebiot ptactwa i głosy prawników, czuła pod ręką świeżą miękkość trawy. Szeroki więc uśmiech rozciągnął jój wążkie i bezbarwne wargi, a białe oczy zdawały się z natężeniem i rozkoszą wpatrywać w ten piękny świat. Pietrusia wyniosła przed chatę radno, na które wczoraj

uzbierane ziola zsypała i, usiadłszy na niskim kamieniu, tuż przy progu chaty, poczęła dobierać je i gatunkować. W kupki osobne układała czomber, brunelkę, dziewannę, krwawnik, macierzankę i inne jakieś różne trawki i listki. Tą robotą zajęta, od czasu do czasu przyspiewywała sobie półgłosem, czasem na ziola patrzeć przestawała i wzrok puszczała po pustym polu, na którym już zboża nie było, a dziś i ludzi nie było. Ciche i drzemiące leżało dziś ono pod złotą płachtą słońca, jakoby na wzór ludzi w niedzielę odpoczywając. Od wsi za to przylatywały gwary, złożone z głosów zwierzęcych i ludzkich; przed karczmą, którą zdala od innych domowstw rozróżnić było można, rój ludzi poruszał się i huczał. Pietrusia, w stronę wsi patrząc, zmarkotniała trochę. Wązka, kręta ścieżka, która pomiędzy stodołami a opłotkami ogrodów, od wsi do chaty kowala wiodła, pustą dziś była. Tylko usychające w ogrodach konopie wychylały z za opłotków swe rozczochrane głowy, albo wyrzwał przez nie żółty kwiatek piżma, albo kura głośno zagdakała i kogut załopotał skrzydłami i zapiał. Ale ludzkiej duszy nie było dziś na ścieżce ani jednej. Przecież, każdej prawie niedzieli, kobiety z Suchej Doliny, licznie Pietrusię odwiedzały; jedne po radę przychodziły, inne tak sobie, na pogadankę i z lubienia. Przychodziła tu zwykle w niedzielę młoda Łabudowa i chłopców swych z sobą do Stasiuka przywodziła; przychodziła córka Maksyma Bodruka, którą Pietrusia kiedyś *dziewięcioranką* swą w ciężkiej słabości ratowała i inne, i inne. Dziś żadna nie przysłała i żonie kowala markotno zrobiło się koło serca.

Niedługi już dzień sierpniowy miał się już ku końcowi, słońce blizkiem było zachodu. Teraz, ścieżką wijącą się pod opłotkami powinny przechodzić dziewczęta. Dziewczęta w dniu świąteczne przychodziły do Pietrusi na śpiewanie. Nikt w całej wiosce nie śpiewał takim silnym i czystym głosem jak ona; nikt tylu pieśni nie umiał. Bywała zwykle przewodniczką chórów, tych chórów, które każdej prawie letniej niedzieli, o zmroku, przed chatą kowala na kamieniach i trawie zasiadały, i aż do późnego wieczora napępniały powietrze rozgłosnym śpiewaniem. Dziś, żadna nie przysłała. Słońce już zachodziło, kiedy Pietrusia zobaczyła na ścieżce jedną postać kobiecą, ku chacie jej zmierzającą. Zdala poznała Frankę, wnuczkę Jakóba Szyszki. Odświętnie niby, ale ubogo ubrana, krępa trochę dziewczka, z nieładną lecz hożą twarzą i błyszczącymi, błękitnymi oczyma, jęklwym jakimś głosem Pietrusię pozdrowiła i zaproszenia nie czekając, tuż przy niej na przyzbie usiadła. Dwie kobiety znały się z sobą od lat najmłodszych i często żęły na jednym zagonie, grabiły na jednej łące, razem śpiewały i w karczmie lub na odbywającym się pod gołem niebem *ihryszczu* tańczyły i dokazywały. Wczoraj, gdy kowalowa pierwsza na ogień przysłała, Franka zadumała się o czemś tak głęboko, że nawet na chwilę o blizkiej obecności Klemensa zapomniała. Z twarzy jej można było wtedy wyczytać, że coś sobie obmyśliwała, jakieś zamiary i nadzieje w głowie swojej snuła. Teraz, z temi zamiarami i nadziejami do kowalowej przysłała i chwilę pomilczawszy, jęklwym głosem zaczęła.

— Oj, biedna ty Pietrusia, biedna! *Wielmi już* ludzie na ciebie nastają. Wykrzykują taj, wymyślają...

Kowalowa żywo zwróciła się ku dziewczynie i pytaniami ją zasypała. Co mówią? Kto mówi? Czy i Piotr Dziurdzia także rozgniewany i Piotrowa i Łabunowie i Bodruki? Franka wszystko, co we wsi o Pietrusi gadano, powtórzyła, a potem ramię swe zarzuciła jej na szyję. Przymilając się, oczy mrużąc, dłonią po twarzy kowalowej gładząc, zaczęła:

— Ja do ciebie, Pietrusia, z wielką prośbą... kiedy ty taką znachorką jesteś, że możesz ludziom robić i dobrze i źle, to ty mnie poratuj w mojej wielkiej biedzie i zgryzocie...

Pietrusia cofnęła się żywo, i niechętnie odwróciła twarz rozognioną od gniewu i żalu.

— Jaka ja znachorka! — krzyknęła prawie — idź ty sobie ode mnie... nie dokuczaj...

Ale Franka przysunęła się ku niej jeszcze bliżej i znowu ją za szyję objęła.

— Nie gniewaj się, Pietrusia, nie gniewaj się ty na mnie... ja nie ze złego serca... oj! żeby ty wiedziała, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszej chyba na świecie niéma... Wiadomo, sierota i uboga i tak jak w cudzej chacie zostająca. Dziadowska chata nie ojcowiska... Poniewierają się nademną *dziadźki* (stryjowie) i poniewierają się ich żonki... Pracuję, haruję, jak ten wół w jarmie, a dobrego słowa od nikogo nie posłyszę... Jak pobiją się z sobą, to i mnie biją, — a ciągle ten chleb, co u nich jem, wymawiają... Już mnie i życie zbrzydło, i za zgryzotą a płakaniem bożego świata nie dojrę...

Obu czerwonymi i w istocie spracowanymi rękoma twarz sobie zakrywszy, rozplakała się rzewnie.

Wtedy już Pietrusia sama przysunęła się do niej i zasmuconym głosem rzekła:

— Wiem, ja wiem, że tobie w dziadowskiej chacie życie nie słodkie... *Dziadźki* twoje złośniki i pijaki, a ich żonki paskudne... I nie bogato u was. Ale cóż ja tobie na te twoje biedy poradzić mogę?

— Oj, możesz, możesz, *kaab* tylko *chaciele!* — ręce od twarzy odejmując, zaczęła Franka, i oba już ramiona na szyję powiernicy swój zarzuciwszy, całować ją zaczęła tak zapalczywie, że pocałunkami i łzami swemi oba policzki jęj zwilżyła. Potęm całęm swęm krępęm ciałęm na ramieniu jęj zwieszona, przez parę minut cichutko jęj coś do ucha szeptała.

Pietrusia uczyniła znów żywe poruszenie oporu i niechęci.

— *Nie chaczu!* — zawołała — nikomu już nic doradzać nie będę, żeby tam nie wiem kto był, nikomu! Dalibóg, nie będę.

Franka szyi jęj z uścisku swego nie puszczała i znowu jęj do ucha na wpeł z płaczem, na wpeł ze śmiechem coś szeptać zaczęła. Pietrusia powtarzała ciągle: — Nie chcę! nie dam! nie poradzę! pobożyłam się, że nie poradzę! — Ale widocznie żal jęj robiło się Franki i ogarniać ją zaczęła ciekawość niewieścia. Odpowiedzi przeczące dawała, jednak szeptu Franki słuchała ze współczuciem i ciekawością.

— A lubiż on ciebie choć trochę — zapytała:

Dziewczyna mokry od łez policzek na grubęj dłoni wsparła, i smutne oczy wlepiając w powiernicę swą, odpowiedziała:

— Bóg że to jeden wiedzieć może, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. *Dwa roki* już od tego czasu minęło, jak piérwszy raz mnie zaczepił. Młodzieńka ja byłam wtedy i na żadnego parobka jeszcze ani patrzałam. Aż tu raz pod studnią, jak da mnie ktośćś w kark, to aż w krzyżach trzasło. Patrzę, Klemens. Ja mu wody z wiadra wprost w oczy, a on mnie wpeł schwycił i po plecach głaszczę. „Ty Franka — mówi — nie do tęg studni przychodź po wodę, ale do tamtęg, co bliżęj naszęg chaty.” I potęm już tak ciągle. Niech tylko gdzie zobaczy, to zaraz zaczepi. Zimową porą *gnilki za pazuchą* przynosił i garściami mnie w fartuch sypał, a ot dwie niedziele temu, z nikim w karczmie nie tańczył tylko ze mną...

— To i dobrze — zauważyła Pietrusia — to znaczy, że lubi...

Dziewczyna, wstydliwie oczy ręką sobie zakrywając, cicho odpowiedziała:

— Kiedyż bo innym razem, to miesiąc i dwa i trzy ani na mnie spojrzę, i tak samo inne dziewczęta zaczepia... A tu mnie w chacie taka bieda, że niech Pan Bóg święty broni. Dziad łaje i *dziadźki łaję* i *dziadźkowe żyynki* z chaty wygnać chcą. *Idzi w służbu*, mówią, kto ciebie durnę weźmie? mówią; Klemens nie weźmie, mówią; ot już dwa roki, mówią, jak zwodzi ciebie i oszukuje a ty wierzysz...

Ręce załamała i znowu płakać zaczęła.

— Ja wierzę i nie wierzę... — wśród płaczu mówiła, — czyby mnie Pan Bóg takie wielkie szczęście dał, żeby mnie wziął za żonkę syn gospodarski... Oj, szczęście to, takie szczęście, że większego już chyba na świecie niéma...

Pietrusię zwierzenia te widocznie wzruszały.

Każdęg żywęg istotcie życzliwą ona była, a biadania i pragnienia tęg, przypominały jęj przeszłość własną. Franka w obie ręce całować ją zaczęła.

— Ratuj, Pietrusia, ratuj, dopomóż... — jęczała — ja tobie przez całe życie wdzięczną będę.

— Kiedyż bo — wahającym się już głosem zaczęła kowalowa — kiedyż bo, żeby i to... *baćko* jemu z tobą żenić się nie pozwoli... syn gospodarski... bogaty i taki urodziwy... Słyszę, Pietruk tęg zimy do Budrakówny dla niego swaty ma słać...

— Oj, — zajęczała, Franka, — *kaab* tylko on *chaciele!*, *kaab* tylko on sam *chaciele!*, z *baćkiem* już łatwy *jenteres*. On u *baćki* swego prawe oko w głowie, *baćko* świata za nim nie widzi...

— To jest prawda — potwierdziła Pietrusia — on u rodziców tak jak jeden, bo z *durnego* Jasinka mała pociecha...

— *Kaab* tylko *chaciele!* *Kaab* na prawdę polubił... — wzdychała Franka i znowu ręce kowalowęg całowała, a policzki jęj pocałunkami i łzami swemi moczyła.

Pietrusia namyślała się jeszcze z wielkiego kłopotu, aż chustkę na głowie przekrzywiła, bardzo nie w porę przysła jęj ta żarliwa prośba przyjaciółki. Lecz serce nie kamień. Istotnie gdyby Franka za Klemensa wysła, było-by to dla niej takim samęm szczęściem,

jak dla niej było wyjście za Michałka. Istotnie, Piotr był dobrym człowiekiem, syna lubił i możeby bardzo nie sprzeciwiał się jego woli, gdyby on naprawdę miał tę wolę.

— Nu — rzekła — dobrze... babula mnie kiedyściś rozpowiadała o takim ziółku... Nigdy ja go jeszcze nikomu nie dawałam... ale tobie, cóż już robić? Może i dam. Jeżeli znajdę, to dam, ale nie wiem, czy znajdę. Przyjdź dowiedzieć się jutro...

Franka aż na ziemię osunęła się z radości i kolana *znachorki* objąwszy, całować je zaczęła. Potem z ziemi poskoczyła i wyprostowana, obie ręce na kłębach oparła. Była to postawa tryumfująca. Radość i tryumf były z czerwonej puciołowatej jęj twarzy i błękitnych, błyszczących oczu. Zdawać się mogło, że nawet mały, u czoła wklęsły nos jęj, stał się więcej zadartym. Nogą tupnęła i splasnęła rękoma.

— Ot ja im wtedy dam, ot ja im wtedy pokażę, i dziadźkom i dziadźkowym żonkom. Na próg do swojej chaty nie puszczę... kupnę spódnicę włożę i przed oczyma ich chodzić w niej będę... jak zobaczę, że która chleb je, jedną ręką kielbasę, a drugą figę jęj pokażę...

Pietrusia aż zachodziła się ze śmiechu z tryumfującej miny i zawziętych pogroźek Franki. Widocznym było, że dziewczyna daleko mniej pożądała lubienia Klemensa, niż świetnego losu, który-by dla niej z małżeństwa tego wypadł. Ale i te także uczucia kowalowa nieco rozumiała i dzieliła. Jęj także, upośledzonej niegdyś sierocie, przyjemnie było teraz w kupnej spódnicy po wsi chodzić i dawnych chlebobawców swych w dostatniej swęj chacie przyjmować.

— Dobrze, — powtórzyła; — co robić? Jak tu ludzi nie ratować... kiedy można? przyjdź jutro...

Franka pędem strzały puściła się ku wiosce, pilno jęj było do karczmy, gdzie skrzypce grać już zaczęły i Klemens był pewno. Nazajutrz całkiem już o zmroku, znowu od kowalowej wracała. Szła tym razem powoli, zamyślona, może trochę rozmarzona i co moment przyciskała ręką coś, co u piersi za koszulą miała. W tém, u końca ścieżki, pomiędzy gęstemi krzakami ostów, zarastających brzeg pola, a rosnącą za płotem ogrodu jabłonią, ktoś ją za spódnicę przytrzymał. Złękła się tak, że aż krzyknęła i żegnać się zaczęła, gdy, nagle, w przechylonej nad płotem postaci poznała Rozalkę. Zwinnie przez niski płot przeskoczywszy, Stepanowa świszczącym szeptem pytać zaczęła:

— A zkąd ty, Franka? Od kowalichy? ty i wczoraj tam chodziła. Nie *bójs!* ja wszystko widzę. A co u kowalichy słyhać? Zioła warzy, ropuchy hoduje, czy z czortem rozmawia? ha?

Franka zrazu odpowiadać nie chciała i spróbowała iść dalej, lecz Rozalka znowu za spódnicę ją przytrzymała.

— Czego uciekasz? — mówiła; — pilno tobie do *dziadźkawych* kułaków i dziadowego łajania? Na *masz*, siadaj tu i jędz. *Pogadamo*.

W rękę wcisnęła jęj ogórek, chłodny, duży, zielony ogórek i taki sam drugi z za koszuli wyjąwszy, na spadzistości pola pomiędzy ostami usiadła. Ofiarowany przysmak zjednął Frankę dla kobiety, względem której zresztą żadnych przyczyn do niechęci lub gniewu nie miała. Owszem, Rozalka okazywała jęj nawet niejaką życzliwość i gdy jęj w chacie bardzo dokuczano, ujmując się za nią, ze stryjenkami jęj srodze się raz pobiła. Było to zresztą rzeczą dość prostą. Nie miała nic do zazdrośczenia France, a litowała się trochę nad jęj sieroctwem. Obie tedy usiadły pod krzaczystymi ostami i, gryząc ogórki, w zmroku szeptać zaczęły. Ogród, przy którym znajdowały się, był pusty, na ścieżce żywej duszy nie było. Rozalka dopytywała się u dziewczyny, czego do kowalichy chodziła, a Franka wnet rozrzewniła się znowu nad swoją dolą i jęczeć zaczęła.

— Oj, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszjéj chyba na świecie niéma. Wiadomo, sierota i uboga, tak prawie jak w cudzjéj chacie zostająca. I wszystko to samo i tak samo — wyjęczała, jak godzinę temu przed Pietrusią. Rozalka głową ze współczuciem kiwała a potem zapytała:

— A czego ty do kowalichy chodziła?

Ale Franka swoje dalej prawiała.

— Bóg że to wiedzieć może, czy on lubi czy nie lubi, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. Już dwa roki temu pod studnią, jak dał mnie ktościś w kark, to aż w krzyżach trzasło, patrzę... Klemens. Ja mu wodę z wiadra wprost w oczy...

I tak dalej, do końca. Wszystko to samo i tak samo jak przed Pietrusią. Rozalka nie sprzeciwiała się i nie przerywała, po chwili jednak zapytała znowu:

— A czego ty do kowalichy chodziła?

Ale Franka nie wygadała jeszcze wszystkiego, co jak codzienny pacierz, w głowie jęj siedziało.

— A innym razem, — jęczała, — to miesiąc i dwa i trzy ani spojry i tak samo inne dziewczęta zaczepia...

— Czego ty do kowalichy chodziła?

— Ja i wierzę i nie wierzę, żeby mnie Bóg wszechmogący takie wielkie szczęście dał...

— Czego ty do kowalichy chodziła?

Pomimo całej dyplomacyi, jakiej w tym razie użyć zamierzyła, Rozalka była już blizką wybuchu. Franka nie wiedząc zkąd i dlaczego w rękę ją pocałowała i, palcami z oczu lzy ocierając, zaczęła:

— Ratuju, ciotko, dopomóż, — ja tobie przez całe życie wdzięczną będę...

— Aha! — przeciągle wymówiła Stepanowa i oczy jęj w zmroku błysnęły jak dwa płomyki.

— To ty do kowalichy o poradę prosić chodziła...

— Ale!

— Dała jaką?

— A dała... niech jęj Pan Bóg wszystko dobre daje... — Rozalka całém swém giętkim ciałem zwiesiła się na szyi dziewczyny i do ucha jęj prawie szeptać zaczęła śpieszne, naglące, namiętne pytanie. Franka broniła się przez chwilę wstydliwie i z bojaźnią twarz odwracając. Wstydziła się i lękała tajemnicy swojej. Ale Rozalka, obejmując ją jedną ręką, drugą pchała jęj w usta kawałek swego niedojedzonego ogórka a z wielkiej serdeczności przyginała ją ku ziemi tak, że obie omal położyły się na trawie. Przytém osypywała ją piieszczotliwemi nazwami gołąbki, zuzuli, robaczka, rybki. Do czułości takich Franka w twardej, sierociej swęj doli przyzwyczajoną nie była. Pochlebiali jęj, że w ten sposób obchodzi się z nią kobieta starsza i gospodyni chaty zamożnej. W rękę Rozalkę pocałowała, ciotką ją nazwała i znowu skarżyć się i lamentować zaczęła. Rozalka ją pocieszała, pocieszenie wciąż zapytaniami przeplatając, a gdy po upływie godziny, powstały obie z ziemi, czarne oczy Stepanowej pomimo zmroku świeciły radością i tryumfem. Wydobywała już z dziewczyny wszystko, o czém wiedzieć chciała i, nagle pozostawiając ją śród ostów stojącą, pędem strzały ku wiosce pobiegła. Bez tchu prawie biegła przez uciszoną już ulicę wiejską, aż u wrót chaty Piotrowej stanęła. Miała zrazu widoczny zamiar wpadnięcia tam nakształt burzy i wygadania wszystkiego, o czém się dowiedziała. Nagle przecież, w głowie jęj powstał plan inny. Teraz, o niczém jeszcze nikomu nie powie, a wtedy dopięro, gdy w rodzinie Piotra stanie się bieda, gdy Klemens z Franką koniecznie żenić się zażąda, a ojciec temu sprzeciwiać się będzie, gdy pomiędzy ojcem i synem wybuchnie kłótnia i niezgoda, ona przyjdzie do nich i powie, kto temu wszystkiemu jest winien. Ciekawa to rzecz, co uczyni wtedy Piotr, który za nic nie zgodzi się na to, aby syn jego żenił się z dziewczyną byle jaką i w dodatku, ze złodziejskiej chaty pochodzącą. Sam nie kradł nigdy i wnuczki złodzieja za synowę mieć nie zechce. Oj, bądźież tu bądźież w tęg chacie kłótni i zgryzoty wszelakiej! oj, bądźież za to będzie kowalisze od Piotra i wszystkich porządnych ludzi. Dadzą już wtedy, o! dadzą tęg, która jęj życie popsula, przez którą ona męzowskiego lubienia nie zaznała, a na całém ciełe tyle ma sińców, ile jest gwiazd na niebie. Niech by bił, ale lubił. I nie lubi i bardzo bije, a wszystko przez tęg...

W zmroku, przed chatą Piotrową stojąc, zapłakała, fartuchem oczy otarła i powoli dalej iść poczęła. Czegóż pośpieszać miała? Wszak wiedziała z góry, co ją w domu czeka. Z rana dziecko zachorowało, a wiadomo, że kiedy dziecko zachoruje, Stepan swą żałość w srogą złość przemienia i na nięj ją spędza. Jakby ona temu winną była, że dziecko urodziło się takie, nijakie. Wprawdzie, kiedy dwa lata miało, grzmotnęła je raz łopatą w głowę, tak, że od rozumu odeszło i na kilka niedziel zaniemówiło. Ale czyż ono od tego słabe jest i nierozgarnięte? Gdzie tam? Taka już jęj we wszystkiém dola *pohana* — i tyle!

V

Do chaty Piotra istotnie zajrzało nieszczęście, nie zaraz jednak i nie takie, jakie przewidywała Rozalka. Obszerną izbę, w słoneczny dzień październikowy napelniali ludzie, którzy tam z radami i pocieszeniami przychodzili. Jakkolwiek Piotr od lat już paru prze-

stał być starostą, jednak powaga obejścia się, rozważność mowy, nadewszystko zaś może zamożność jego, jednały mu szczególne poważanie i przychylność, wśród mieszkańców Suchej Doliny. Gdy tylko więc wieść o nieszczęściu, które go dotknęło, rozeszła się po wsi, ten i ów z gospodarzy przychodził, aby rozpytać się o szczegóły zdarzenia i ze zmarłym sąsiadem pogadać, powzdychać, głową pokiwać. Zdarzało się to tém częściej, że roboty letnie i jesienne były już prawie skończone, a od cepa i toku stodoły łatwiej oderwać się na godzinę, niżeli od pługa i zagona. Piotr młodszemu synowi rozkazał żyto w stodole młócić, a sam zamierzał zrana udać się za pługiem, na pole, dla wyorywania kartofli. Ale południe już było blizkiem, a on nie mógł jeszcze wydaleć się z chaty. Myślał wciąż o kartoflach, kilka razy już drzwi otwierał, aby iść konie do pługa zaprzęgać, ale za każdym razem wracał i znowu na ławie, pod ścianą izby siadał. Nie wyrzekał głośno i nawet nie wdychał, tylko widocznie ręce mu bezwładnie na kolana opadały, ochota do niczego nie brała i czoło zmarszczyło się w głębokie fałdy. Na pozdrowienia wchodzących sąsiadów odpowiadał krótkim: *na wieki wieków!* i znowu zapadał w milczenie. Czasem, rękę do czoła podnosił i ustami poruszać zaczynał tak, jakby żegnał się i pacierze mówił. Sąsiedzi stawali przed nim, albo rozsiadali się na ławie i zadawszy kilka zapytań, podziwivszy się trochę, głowami pokiwawszy, milczeli także, wdychali i odchodzili, a na ich miejsce przychodzili inni. Tak było z mężczyznami. Ale z kobietami działo się wcale inaczej. Tłumnie otaczały one tapczan, na którym leżał chory, gadały, doradzały, nad Agatą, która, na ziemi u tapczana siedząc, cicho płakała, głośne lamenta zawodziły. Chorym był Klemens. Urodziwego parobka sroga jakaś gorączka niby kosa trawę podcięła. Pod kraciastym kilimkiem leżał on nieruchomy, nakształt kłody drzewa, z twarzą ziejącą ogniem, wciąż jękliwym głosem matkę ku sobie przywołując. Piotrowa podnosiła się z ziemi, stojący obok dzbanek z wodą brała i klęcząc, brzeg jego do ust synowskich podawała. On pił chciwie, jęć lży ciekły po żółtkłej od zgryzoty twarzy. Nie krzyczała jednak, rąk nie łamała i rzadko nawet odzywała się do sąsiadek. Zawsze była ona najcichszą prawie z całej wsi niewiastą, tak już przy swoim poważnym mężu i w swojej spokojnej chacie być przywykła. Inne za to kobiety, tapczan ściśle otaczając i choremu przypatrując się, gwarzyły jak na targu, lub zawodziły jak na pogrzebie Łabudowa, gospodyni, tak i jak Agata zamożna i poważna, prawila.

— Nie wytrzyma, już ja wiem, że nie wytrzyma, już ja może dziesięciu ludzi w takiej chorobie widziała i żaden nie wytrzymał.

Piotrowa rzewnie jeszcze płakać zaczęła i z twarzą w dłoniach aż zakolysała się cała z żalości, ale żona Maksyma, Bohdanka, tęga i zamaszysta baba, złowróbną sąsiadkę od tapczana odepchnęła.

— Czemu nie wytrzyma? czy to zmiłowania bożkiego nad grzesznymi ludźmi niema? Pan Bóg najwyższy zmiłuje się i uzdrowi. Agata! hładysz mi dajcie, prędko! Słyszycie, Agata? jemu trzeba hładysz do *żywota* przystawić!

Paraska Szymanowa z malém dzieckiem na ręku i dwoma starszemi, które czepiały się jęć spódnicy, skora do płaczu, bo zawsze prawie głodna i skłopotana, palcami rozmazywała sobie lży po chudych policzkach i zawodziła.

— Oj, bogate takie i szczęśliwe ludzie, a *taki* spadła na nich zgryzota! Oj, Klemens, Klemens, żebyś ty był lepij na tę łąkę nie pojechał, na tym deszczu nie przemókł i nie wyspał się na tęg zgniłej kopicy! Oj, z tęg zgniłej kopicy choroba ta wylazła i w twoje ciało wlazła... oj, biednaż twoja młoda główka, biedna!

Młody parobek istotnie przed kilku dniami jeździł na dość oddaloną łąkę, dla zabrania z nięj wprzód już skoszonej trawy, w drodze zmókł na ulewnym, jesiennym deszczu i noc przespał na stożku zgniłej od wilgoci trawy. Nazajutrz, do domu wróciwszy, kożuch włożył, bo go dreszcze trzęsły, lecz że, dnia następnego, chłopcy wiejscy, mieli w stawie niewodem ryby łowić, poszedł wraz z nimi, zdjął na brzegu odzienie, po ramiona prawie wlaźł w wodę i przez parę godzin pomagał niewód ciągnąć. Po tęg już wyprawie był na tapczanie i od dwóch dni zeń nie wstawał. Przytomnym był zupełnie, tylko czasem na różne bóle wyrzekał, a teraz tak zajęczał, że stara Łabudowa ręce jak do pacierza spłotła i, z nogi na nogę przestępując, Agatę zapytała:

— A gromnica jest u was? Już jemu biedakowi gromnicę by w rączki włożyć.

Budrakowa ze swęj strony wołała o hładysz, aby go do *żywota* choremu przystawić, inne kobiety szeptały o księdzu i przenajświętszych sakramentach; młodziuchna, wysmu-

kła dziewczyna, w cienkiej koszuli z żółtym kwiatem za uchem, która przy oknie stała i na chorego Klemensa jak w tęczę patrzyła, zajęczała głośno. — Oj! Bożeż, mój Boże! — Była to córka Maksyma Bodruka, najładniejsza i najbogatsza dziewczyna we wsi, która tu niby po matkę, ale w istocie z niespokojności o ładnego parobka, przyszła i wstydliwie w milczeniu, przy oknie stanęła. Piotrowa, zachodząc się od płaczu, dźwignęła się z ziemi i poszła do komory po chładysz i po gromnicę, a flegmatyczna Paraska, krok w krok za nią wraz z trojgiem dzieci swych chodząc, z uporem ogłupiałych i rozlazłych istot, wciąż swoje powtarzała: — Oj, żeby on był nigdy na tę łąkę nie jechał, na tym deszczu nie zmókł i nie przespał się na tej zgnilłej kopicy!

W tém, pomiędzy gwarzącymi kobietami i tuż za Piotrową, która, *bladysz* Budrakowej podawszy, z kawałkiem woskowej świecy w ręku, znowu na ziemi u nóg syna usiadła, zabrzmiał najdomośniejszy ze wszystkich, ostry i syczący głos niewieści.

— Ale albo to od łąki i od deszczu i od kopicy ta choroba na niego przyszła? Od czego innego ona na niego przyszła i nie Bozka w tém wola jest, ale czyja inna!

Słowa te wymówiła Rozalka, która dnia tego już kilka razy wpadała do Piotrowej chaty i, popatrzawszy chwilę na chorego, wybiegła z niej, aby po kwadransie lub godzinie powrócić znowu. Z ruchliwej i ognistej jej twarzy poznać-by można, że czuła się czémś mocno zdziwioną i zakłopotaną. Spodziewała się wcale czego innego niż to, co się stało. Za wrotami Piotrowej chaty stawała i, z palcem do ust przyłożonym, dumiała głęboko. Potém biegła do domu, aby strawę gotować i lnu choć trochę nadrzęć, była to bowiem pora tarcia lnu, a Rozalka za lnem przepadała i pomimo wszystko, zupełnie o nim zapomnieć nie mogła. Przyném, Stepan, który żyto młócił, parę razy już przez drzwi stodoły na nią zawołał, aby z chaty nie odchodziła, bo zaraz pójdzie za nim na pole kartofle zbierać. Była więc dnia tego na wszystkie strony rozrywana. Tu len trzęć chciała, tam mąż ją wołał, owdzie znowu, w chacie Piotra, ważną sprawę załatwić musiała. Ze wszystkiego jednak, co na świecie istniało, ta sprawa najbardziej na sercu jej ciążyła, więc raz jeszcze wpadła do chaty Piotra i, usłyszawszy dowodzenia Paraski o przyczynach choroby Klemensa, zawołała:

— Ale nie od łąki, i nie od deszczu, i nie od zgnilłej kopicy ta choroba na niego przyszła! Nie Bozka w tém wola, ale czyja inna.

A gdy wszystkie prawie obecne kobiety, nie wyłączając Budrakowej, która już z hładyszem w ręku nad chorym stała, oczy na nią zwróciły się, splotła na fartuchu ciemne swe małe, ruchliwe ręce i wymówiła:

— To jest *zrobione*?

— Co? — zapytał chór niewieścich głosów.

— A taż choroba. Ją ktośś jemu zrobił.

Teraz, kilku mężczyzn, którzy w milczeniu naprzeciw Piotra siedzieli i sam Piotr, przysłuchywać się zaczęli babskiej rozmowie. Chory nawet zwrócił ku mówiącej przyćmione cierpieniem, ale przytomne i pytające oczy.

— Aaaa! — zadziwiło się parę kobiecych głosów, — a któż to taki zrobił?

Z nogi na nogę przestępując i oczyma błyskając, Rozalka zaczęła...

— Ja wiem kto. Ta co jemu ziele na lubienie dawała. *Musić* nie takie ono było, jak trzeba, to i zamiast lubienia chorobę zrobiło. Paru mężczyzn lekceważąco skinęło rękoma, a Klemens na Rozalkę popatrzał i, wstydliwie brodę pod kilimek wsuwając, pomimo bólów swych, parsknął krótkim śmiechem. Wiadomość o tém, że ktoś mu ziółko na lubienie dawał, zawstydziła go nieco, lecz więcej jeszcze ucieszyła. Zajęczał zaraz, bo go w krzyżach srodze zabolalo, niemniej przecież przyćmiony wzrok swój na ładną Budrakównę zwrócił, jakby chciał jej powiedzieć: — A co? widzisz, jaki to ja! — Ale hoża dziewczyna aż zbladła od przestachu i wylękle swe oczy w Rozalkę wlepiła. Inne kobiety pootwierały zrazu usta, potém zwiastunkę dziwnej wieści pytaniami osypywać zaczęły. Ona ze zwykłą swoją żywością do Piotra się zwróciła.

— *Chadzi*, Pietruk, — zawołała, — tobie *skażu*. Nikomu, nie *skażu*, ale tobie *skażu*. Ty ojciec i *pomstowanie* za krzywdę syna do ciebie należy.

Piotr wstał za kobietą, która go za rękę chwyciła, do sieni wyszedł. Tam, w pół mroku z kwadrans ze sobą rozmawiali. W izbie tymczasem zapanowała cisza; Budrakowa *bladysz* do żołądka chorego, niby olbrzymią bańkę, przystawiała. Na dworze dał się słyszeć głos męzki, niecierpliwie wołający Rozalki. Ona mu z sieni krzykliwie odpowiadała. — Zaraz!

zaraz! — Stepan, z pługiem zaprzężonym parą koni, zatrzymał się przed chatą stryjecznego brata i żony, doczekać się nie mogąc, klął ją straszliwie. Po kwadransie dopiero, Piotr wrócił do izby, widocznie wzruszony i rozgniewany. Czoło jego sfałdowało się więcej jeszcze niż przedtém, a zwykle łagodne oczy rzucały ostre błyski z pod ściągniętych i zjezonych brwi. Zrazu jednak nic nie rzekł, tylko ze zgiętym grzbietem i pochyloną głową na ławie usiadłszy, splunął i zamruczał:

— *Zbiń, przepadnij nieczystaja siła!*

Potém na syna badawczy wzrok zwrócił i zapytał:

— Klemens! pił ty niedawno miód z Franką, Jakóbową wnuczkę? ba? pił, czy nie? odpowiadajże!

Parobkowi trudno było na to pytanie odpowiedzieć. Wstydział się, brodę wraz już z ustami pod kilimek wsuwał,

— Nie dokuczajcie, *bačku, wielmi* w kościach boli! — zajęczał.

— Ja nie dla dokuczania pytam się, tylko dla wiadomości, — odparł Piotr i proszącym prawie głosem dodał: — Po ojcowsku ja pytam się ciebie, czy pił ty w karczmie miód z Franką, Jakóbową wnuczką?

Ładna Budrakówna w płomieniach cała stanęła. Ona wiedziała o tém, że Klemens brzydką i biedną Frankę zaczepia i chciała nieraz gniewać się za to na niego srodze, ale nigdy nie mogła. W naturze już jój gniewu nie było. Odwróciła się więc tylko znowu do okna i głośno nos w palce utarła. Poczém pilnie słuchała, co będzie dalej. Nu, — badał dalej Piotr syna, — pił, czy nie pił?

— Pił, — jęklawie odpowiedział Klemens, — taj, cóż takiego, że pił?

Piotr rozpaczliwym ruchem głową rzucił.

— Nu, — rzekł, — to ty z tym miodem i chorobę tę wypił. Dziewka ci do niego paskudnego ziela nasypała. Na śmierć nie na życie, na *pohybel* nie na lubienie, ziele te wiedźma ludziom daje...

Kilka kobiet splasnęło w dłonie. Piotrowej oczy zmęczone, splakane, z wyrazem obłąkania prawie na mówiącego patrzyły.

— Wiedźma! — rozległ się chóralny krzyk.

— Kowalicha! — przez zaciśnięte zęby dokończył Piotr, przycém z ławy wstał i do komory poszedł. Po chwili wrócił, niosąc Ewanielją owę, z której pomocą Pietrusia niedyś złodzieja odgadywała. Przystąpił do chorego syna i, uczyniwszy w powietrzu znak krzyża, starą książkę nad samą głową, na poduszce mu położył. Czyniąc to szepnął:

— Może jeszcze Pan Bóg zlituje się nad nami nieszczęśliwymi. Może Bozka siła przewycięży *czortouskuj*u siłu. Może ty, synku, wyzdrowiejesz i sam na téj nieprzyjaciółce ludzkiego rodu krzywdę swą pomścisz! Może ja jeszcze na wiosnę orać z tobą razem pójdę; może ja jeszcze na twoje wesele patrzeć będę...

Kreślił w powietrzu nad synem nieskończoną ilość krzyżów, świętą księgę do głowy mu przyciskał, a kilka grubych łez stoczyło się z jego oczu, po ściągłych, bladawych policzkach. Klemens udzieloną mu wiadomością i słowami ojca przeraził się i wzruszył bardzo; głowa silniej mu zapłonęła, oczy nabrały rażącego blasku, zaczynał tracić przytomność, okropnie jęzczyć i kląć.

Kobiety ze swéj strony uderzyły w krzyk i płacz, wołały, że już po wszystkim, że po księdza posyłać trzeba, że nawet księdza chory nie doczeka; Łabudowa gromnicę zapaliła i w ręce chorego wetknęła; Budrakówna przed oknem na klęczki upadła i głośnym płaczem krzycząc zaczęła: — Wieczneż odpocznienie duszyczce jego daj, Panie! — Piotr, głowę tracąc, szedł już, aby konie zaprzęgać i po księdza jechać, a idąc, trząsł się cały z żalu i ze złości, od czasu do czasu z zaciśniętych zębów wyrzucając straszne przekleństwa.

— *Kab* jój nogi połamało! *kab* ona światu za płaczem nie widziała, wiedźma ta przekłeta, nieprzyjaciółka Boża, dusza chrześcijańska *czartouskiej* sile zaprzędana!

Piotrowa, zapaloną gromnicę w rękach syna ujrawszy, po raz piérwszy przeraźliwie krzyknęła, zarazem, z błyskawiczną szybkością chustkę na rozczochraną głowę narzuciła i z chaty wybiegła. Biegła naprzód ulicą wiejską, potém skręciła na tę wąską ścieżkę, która pomiędzy ścianami stodół, a opłotkami ogrodów, ku domowstwu kowala wiodła.

Były to jasne dni babiego lata. Nad ziemią wisały błękity nieba, blade, lecz tak czyste, że niepodobna by na nich dopatrzeć najlżejszej chmurki. Z pobludłój i jakby zmalalój tarczy słonecznej, płachta niezmaconego światła spadała na ciemne pola, których nagości

nie przysłaniały szczupłe cienie drzew, nawpół огоłoconych z liści. Gaje rozrzucone po wzgórzach stały w złocie i w przeróżnych odcieniach purpury, a powietrze, przeniknięte rześwym i suchym chłodem, było tak ciche i czyste, że najlżejsze drgnienie nie poruszało srebrnych pajęczyn, wieszających się po gałęziach drzew, krzewach polnych i badyłach ogrodów, że widnokąg wyglądał jak okrągła tarcza, wypukłemi rzeźbami napelniona i kloszem z najprzezroczystszego kryształu okryta. W cichym kryształe powietrza i łagodnym świetle słońca, pomiędzy szmatą zoranęj roli, a ogrodem pełnym uschłych badyli, domowstwo kowala przedstawiało obraz głębokiego spokoju, ożywionego migocącemi w słońcu szybami małych okien. Cisza zalegała pole i ogród, bielejącą za ogrodem ławicę piasku i srebrnie za piaskiem połyskującą szybę stawu; przerywały ją tylko dwa odgłosy pracy ludzkiej: miarowe, twarde, silne uderzenia kowalskiego młota i miarowe także lecz daleko szybsze i mniej głośnie stukanie trącej len *cierlicy*. To ostatnie zdawało się wtóżyć pierwszemu, a z ciężkich uderzeń młota i szybkiego tententu *cierlicy*, z dymu wijącego się nad kominem domu i płomienia, błyskającego za otwartemi drzwiami kuźni, z rozlegających się w ogrodzie głosów dziecinnych i głuszącego je czasem piania kogutów, w łagodną harmonią i ciche ukojenie otaczającej natury, tryskał zdrój czystego, zdrowego, pracowitego życia.

Michał naprawiał w kuźni plugi, nadwerężone orką jesienną, Aksena pod złotawą jabłonią ogrodu, na uschłej trawie siedząc, w ostatniem cieple słonecznym rozgrzewała swe stare kości, a przy niej mały Stasiuk, ku zachwyceniu dwóch mniejszych jeszcze dziewczynek, dmuchał w drewnianą gwizdawkę, wydającą z siebie piszczące i przeraźliwe tony. W izbie chaty, przyciemnionej niskim sufitem, firankami z kwiecistego perkalu i kilku doniczkami z geranium, mirtem i piżmem, oprócz śpiącego w kołysce dziecka, nikogo nie było. Na ziemi, ławach, stołkach, nawet na trzech paradnych krzesłach, piętrzyły się tam ciemne snopy wymoczonego i wysuszonego lnu, jeden zaś kąt sporęj sieni napelniały wysoko białawe głowy kapusty. Niedarmo te ostatnie dni pogody i słońca noszą nazwę babiego lata. W nich to na pracownice wiejskie spada istotny grad robót różnych. Pietrusia dziś od świtu ścinała kapustę i znosiła ją do domu, a teraz pod ścianą chaty, ustawiwszy narzędzie długie i wklęsłe, lnu weń nakładła i, uderzając go deską opatrzoną w nagłówek, miękkie włókna rośliny, ogałacała z ich suchej i twardej powłoki. W podniesionej nieco spódnicy i grubęj koszuli, bosa i w okrągłym czepku z czerwonej bawełnicy, z pod którego ciemne i gęste włosy wymykały się na szyję jęj i czoło, prędko, coraz prędzej uderzała deskę *cierlicy* a sucha *kostrzyca* wzbijała się w powietrze, osypywała jęj odzież i owijała ją całą złotawą w słońcu kurzawą. Robota była ciężką; pracownica ksztusila się suchym pyłem, oddychała szybko i głośnie, grube krople potu wystąpiły na czoło jęj i policzki; jedna z jęj rąk zakrwawiła się w paru miejscach. Ani na chwilę jednak roboty tęj nie przerywała i była w niej tak pogrążoną, że nie usłyszała otwierania się wrot małego dziedzińca, ani śpiesznych stąpań zbliżającej się ku niej kobiety, i wtedy dopiero głowę podniosła, gdy o kilka kroków od niej głos kobiety, od placzu i gniewu ochryply, wymówił:

— Niech *czort* pomaga! Bodaj-by ty ze lnu tego sobie i swoim dzieciom śmiertelne koszule utkała!

Podniosła głowę i oczy jęj spotkały się z błyszczącemi oczyma Agaty. Wyprostowała się, ręce jęj wzdłuż spódnicy opadły. Słowa Piotrowej przeraziły ją widocznie. Wczoraj już Franka przybiegała do niej z wieścią o chorobie Klemensa. Byłaby zaraz do dawnych gospodarzy swoich pobiegła, aby dowiedzieć się, co tam słyhać, pocieszyć, może dopomódz, ale wiedziała, że źle tam o niej gadają, i że odwiedzin jęj nie żądają wcale. Piotrowa sama przyszła i od przekleństwa zaczęła. Nie przywykła do łajań i krzyków, zrozpaczona matka, z twarzą z żółkłą i zmalą, stała i teraz w swych płytkich trzewikach i dużej chuście na głowie, nie miotając się, jakby czyniły inne, owszem, bez ruchu prawie i tylko srogim wzrokiem na nią patrząca. Na Pietrusię nieruchomość ta, ten wzrok w nią utkwiony i te wyrzucone przekleństwa, wywarły wrażenia takie, że aż jęknęła i niby przed widmem cofnęła się o kroków parę.

— Czego chcecie, ciotko? — wyjąkała.

Teraz Piotrowa głową kiwała i po razy kilka, jakby jęj oddechu do dłuższego mówienia brakło, powtórzyła: — Oj ty! oj ty! oj ty!

— Oj ty niegodziwa! — wybuchnęła nakoniec, — toż ty przez tyle lat chleb nasz jadła, toż my ciebie jak co dobrego lubili i *botubili*... Za co ty nam teraz syna otruła?... ha?

Piotrusia rękoma splasnęła.

— Ja wam syna otruła? ja!

Agata postąpiła naprzód i zbliżyła się do niej tak, że rozdzieliła je tylko wązka *cierlica*. Szyję wyciągnęła i w twarz młodej kobiety wpiła jadowite, błyszczące spojrzenie. Z przeciąglém syczeniem słowa z jej ust wychodziły.

— Co ty jemu zrobiła? *Skaży*, co zrobiła? jakie ziele tej dziewczce dała, żeby go ona niem napoiła? Nie dawała może? ha? *Skaży*, że nie dawała? *Zelżyj*, co tobie szkodzi, ty już i tak zgubiona, *czortu* zaprzędana, Boga obrazie nie boisz się! *Skaży*, że nie dawała?

Do zarumienionej od pracy twarzy Pietrusi buchnęły ogniste rumieńce, załamała ręce i krzyknęła: — Aha!

Zrozumiała teraz, czemu w Piotrowej chacie jej przypisywano chorobę Klemensa i nagły strach zatrząsł jej sercem, które gwałtownie bić zaczęło. A może to i od tego ziele, może naprawdę i od tego ziele on zachorował? Łzy nabiegły do wylęknionych jej oczu, do Agaty zwróciła się profilem i stała nieruchoma, jak słup, oniemiała.

— Aha! — krzyknęła już teraz Piotrowa, — nie pobożysz się ty, że nie dała! bo i dała! już ja i z twarzy twojej widzę, że dała i że to prawdą jest, co Rozalka mówiła! No, kiedy tak, to odróbże teraz, co zrobiła? *czujesz?* Daj co takiego, żeby jemu truciznę z ciała wypędziło? Kiedy ty wiedzma, to ty wszystko znasz... Kiedy ty źle możesz robić, to i dobrze możesz... Odrób co zrobiłaś! *czujesz?* odrób...

Wyciągając obie ręce nad *cierlicą*, kobietę w niemy słup zamienioną za koszulę i ramiona targała, a we wzroku jej, obok gniewu i nienawiści zjawiać się zaczął wyraz trwogi i prośby. Z nienawiścią, to z prośbą w głosie powtarzała.

— Znasz, możesz... jak zrobiła, tak odrób...

Piotrusia targnęła się, z rąk jej koszulę swą wyrwała i, załamując ręce, jęknęła.

— Co ja zrobię!... odczepcie wy się ode mnie...

Wtedy, Piotrowa, choć osłabła ze zgryzoty i płaczu, jak lania skoczyła i, osunąwszy się przed nią na podłogę, kolana jej objęła.

— Pietrusia! mileńka, zuzula! ratuj ty jego! daj jemu co takiego, żeby ta trucizna z ciała mu wyszła... tyś sama ją dawała... jak zrobiła, tak i odrób... ja tobie zato wszystko dam... co tylko zechcesz... lnu dam, i wełny, i jajek, i płótna i *broszy*, kiedy zechcesz; oboje z Pietrukiem nie pożałujem... tylko odrób, co zrobiła... niechaj on przy życiu zostanie, nasz gołąbek mileńki, nasza podpora na stare lata... Ty wiesz... Jasiuk jest tak, jak do niczego... A ten prawa ręka nasza... pracownik nasz najlepszy... Ratuj ty jego... *znasz* możesz... jak zrobiła, tak odrób...

Ścisnęła kolana jej, brzeg jej spódnicy całować zaczęła. Pietrusię ten żal matczyzny i to rozpaczne błaganie widocznie na torturach rozciągały. Sama przecież matką była, a z tą kobietą tyle lat niegdyś życzliwie i zgodnie przeżyła. Podniosła ręce do głowy i zawiodła.

— Oj, Boże mój, Boże! co ja pocznę! nie robiła ja i odrabiać nie mogę...

Agata porwała się z klęczek i syczącym głosem zapytała.

— Nie zrobiła? może pobożysz się, że nie zrobiła?

Piotrusia znowu profilem zwróciła się ku niej i oniemiała. W głowie jej zrobiło się ciemno jak w noc jesienną i wichrem tylko thukły się po niej słowa.

— I zrobiła i nie zrobiła... Może to nie od tego, a może i od tego...

Męczarni tej długo znieść nie mogła, od grożącej jej znów kobiety i odskoczyła i na-pół z żalnością i na-pół z gniewem krzyknęła.

— Odczepcie się, ciotko... czego wy ode mnie chcecie... idźcie o radę dla syna znachorki jakiej prosić, nie mnie!

Teraz Piotrowa wybuchnęła i po nieskończoną ilość razy wiedzumą ją nazwała. Nie przeklinała bardzo, bo już przyzwyczajenia tego i umiejętności tej nie miała; wzywała tylko bożkiego gniewu na głowę jej i jej dzieci, a potem pomstą Piotra i wszystkich poczciwych ludzi groziła. Potrząsając pięścią, przez zaciśnięte zęby mówiła:

— Poczekaj! poczekaj! będzie tobie kiedyś od ludzi za wszystkie nasze krzywdy i *czort*, twój przyjaciel nie wyratuje ciebie, kiedy na twoją głowę pomstowanie ludzkie przyjdzie...

W tém przypomniała sobie, że gdy ona tu klóci się z wiedźmą, syn jój może tam już i nieżywy leży, obu rękoma schwyciła się za głowę z dziedzinka wypadła i z powrotem ku wsi pobiegła, Pietrusia zaś, tam gdzie stała, osunęła się na ziemię i, twarz rękoma zakrywszy, rozplakała się głośno i rzewnie. Plakała jednak niedługo. W izbie dało się słyszeć skwierczenie obudzonego dziecka; skoczyła i do chaty wbiegła. Musiała tam dziecko karmić i bawić je przez czas jakiś, bo słyhać było, jak pieścizotliwie doń przemawiała, kilka piosnek śpiewać zaczynała i przerywała je sobie krótkim śmiechem i głośnemi pocałunkami. Dziecko widocznie bąkaniem swém i ruchami małych rączek rozśmieszało ją i usta jój ku sobie ciągnęło. Potém słyhać było miarowe stukanie biegunów kołyski, a potém w izbie zapanowała cisza. Adamek usnął znowu, a Pietrusia z pękiem upranej bielizny na ramionach, na dziedziniec wyszła. Dzień był piękny, trzeba było przed wieczorem bieliznę w stawie wypłókać.

Paręset kroków zaledwie dzieliło ten staw niewielki od ostatnich domowstw Suchej Doliny. Z jednej jego strony siała się owa ławica piasku, na której z porady stariej Akseny bawił się niegdyś całemi dniami chory syn Piotra Dziurdzi, dalej już obejmował go w półkole wązki pas łąki, za którym ciemniały i na poblizkie wzgórze pięły się uprawne role. Z łąki tej oddawna już uczyniono pastwiska dla bydła. W lecie, brzeg stawu był z tej strony miejscem, pełnem zielonych gąszczy, szczebiotu ptactwa, skrzeczenia żab, kwiatów błękitnych i żółtych, czerwonych jagód kaliny, rozłożystych gałęzi wierzbowych, w których cieniu błyskała biała kora wysmukłych brzoź. Teraz, pod brzożami, które na błękitném tle nieba rysowały się, jak delikatnie ze złota rzeźbione kolumny, pod zróżwionemi, o wiecznie drżących liściach, osinami, pod wierzbami, które maczały w wodzie swe osiwałe gałęzie, na trawie uschlēj, pod stopami trzeszczącėj a usianėj zwiędłemi liśćmi i siwym puchem ostów, kilkanaście kobiet pochylało się nad cichą i gładką wodą. Prały one albo płókały wypraną w domu bieliznę, a odgłosy ich rozmów i suche, rytmiczne uderzenia pralników rozchodziły się daleko po pustém polu. Na polu, jak okiem sięgnąć, widać było tylko dwoje pracujących ludzi: chłopca, który prowadził pług, i chłopkę, która w pewnej odległości za nim postępując, wyorywane kartofle do fartucha zbierała, a napelniwszy go, zsypywała do umieszczonych w rozorze worków. Zagony, na których pracowali ci ludzie, dotykały wązkiego pasu pastwiska. Chłopem pług prowadzącym był Stepan Dziurdzia, kobietą zbierającą kartofle, Stepanowa żona, Rozalka. Składali oni parę ponurą. On, zaledwie trochę nad pługiem pochylony, szedł w milczeniu silny i chmurny, od czasu do czasu tylko basowym głosem na konie swe przeciągle wołając: hoo! hoo! hoo! Ona z grzbietem tak zgiętym, że sniada twarz jój prawie ziemi dotykała, na klęczkach czasem pełzała po zagonie, rękoma w ciemnym piasku grzebiąc i ze szczupłym swém, giętkim ciałem, mając chwilami pozór wijącego się po glebie robaka. Jednak, ta wspólna praca z mężem, choć ciężka, niemiłą snadz jój nie była, bo, nie ustając w niej ani na chwilę, czasem do idącego przed nim mężczyzny uprzejmym głosem zagadywała.

— Ot, chwała Bogu! *bulba* w tym roku jak ta rzepa wielka! — mówiła.

— A potém znowu:

— Ciekawość, jak tam Klemens ma się? czy umarł już, czy jeszcze przy życiu?

Albo jeszcze:

— Stepan! w przyszłą niedzielę do kościoła pojechać warto, taj Kaziuka wziąć z sobą i Panu Bogu go polecić, ażeby zdrowszy był...

Mężczyzna nie odpowiadał, ot tak, jakby nie słyhał tego, co mówiła. A jednak w jój głosie najczęściej syczącym i zapalczywym brzmiały teraz tony serdeczne. Zaczepiała go, do rozmowy wyzywała, raz nawet zaśmiała się i, na zagonie uklękłszy, kartofel mu w same plecy cisnęła. On obejrzał się tylko, coś zamruczał i dalej pług popychając, ponuro na konie zawołał: — Nuuu! Nie rozgniewał się wprawdzie, ale i twarzy nie rozchmurzył, słowa dobrego nie rzekł. Kobieta znowu nad zagonem grzbiet pochylili i jak zgnębiony robak, w milczeniu, smutnie po ciemnej glebie pełzać zaczęła. Nagle podniosła głowę. Stepan, który teraz twarzą ku stawowi był zwrócony, konie zatrzymał i, niby coś około pługa robiąc, patrzył w tę stronę, z której brzegiem stawu nadchodziła kobieta z ramionami, owieszonemi mokrą bielizną. Patrzył na nadchodzącą z wyciężeniem takim, że aż rozciągnęły się i wygładziły muskuły jego twarzy i zarazem okryła się ona głupowato wyglądającym lecz w rzeczywistości błogim uśmiechem. Rozalki oczy także nad staw po-

biegły. W nadchodzącej kobiecie poznała Pietrusię i syknęła tak, jakby pod dotknięciem rozpalonego żelaza.

— Czegóż stanął jak ten słup! — na męża krzyknęła i głos coraz podnosząc, nalegała aby szedł dalej. Ból całego jęj życia, srogi ból klóć ją znowu zaczął i budzić w niej furją złości.

Pietrusia, zbliżając się do kobiet nad wodą pochylonych, uprzejmie je pozdrowiła. Jeden tylko głos i to z cicha jakoś odpowiedział jęj wzajemném pozdrowieniem. Była to młoda Łabudowa, która, jako synowa jednego z najbogatszych gospodarzy we wsi, przez męża i całą rodzinę lubiona, ośmieliła się choć nieco trwożnie, przychylności swą jęj okazać. Inne kobiety, albo milcząc opuszczały pralniki swe na pograżoną w wodzie bieliznę, albo też głowy z nad roboty podniósłszy, rzucały na nią wejrzenia, w których ciekawość i lęklivość mieszały się z gniewem i obrzydzeniem.

Rozumiała już dobrze, co wszystko to znaczyło i stanęła na uboczu, pod rozłożystą wierzbą, u której stóp spuszczało się ku wodzie, sznurem do pnia wierzby przywiązane czółno. Było to czółno, którém chłopcy wiejscy po stawie pływali, wędami łowiąc płotki i karasie, na którém też często kobiety z tęg strony stawu, dla ukrócenia sobie drogi, na tamtą jego stronę do wsi przepływały. Obok czółna stanęła, przyniesioną odzież w wodzie zanurzyła i tak jak inne wybijając ją pralnikiem i plókać zaczęła. Nie przeszkadzało to jęj jednak słyszeć rozmowy, toczącej się pomiędzy jęj sąsiadkami. Zrazu, zcicha one pomiędzy sobą szeptały, ale długo to trwać nie mogło, bo gdzieżby im długo powściągać uczucia czy głosy! Zaczęły więc mówić głośnie, a mówiły o tęg, czém dziś zajmowała się wieś cała, o chorobie Klemensa Dziurdzi i jęj przyczynach. Opowiadały, że Piotr po księdza pojechał, że choremu dwa razy już zapaloną gromnicę do rąk dawali, że matka tylko co nie umiera z żalości, że jeśli Klemens umrze, gospodarstwo Piotrowe zginie, gdyż on sam zestarzeje się rychło, a młodszy syn jest, jak wiadomo, niedołęga i głupiec. Parę głosów zajęczało. — *Oj, biedne, biedne nieszczęśliwe* ludzie!

A jedna z kobiet, głośnieję jeszcze niż inne, mazgajowatym przewlokłym głosem zawiodła:

— *Kab* temu, co *heto* zrobił dobrego życia nie było! *Kab* on za krzywdę ludzką zmarował się i na pogrzebach dzieci swoich płakał!

Była to Paraska, która, mówiąc to, na Pietrusię z pod oka patrzała.

— Patrzajcie — dodała po chwili — czemu to kowalicha dziś kupnęj spodnicy i materyalnej chustki na siebie nie włożyła?

Oj, ta kupna spodnica i pół-jedwabna chustka, w które kowalowa czasem się przystrajała, dawno już dawno dolegały Parasce, maczającej teraz w wodzie liche, stare łachmany swoje i swęj rodziny.

W tęg na polu rozległy się grube i piskliwe krzyki. Kobiety śmiać się zaczęły. Stepan Dziurdzia znowu skłócił się z żoną. Klóćili się oni z sobą tak już często, że dla jednych byli przedmiotem surowej przygany, w innych wzbudzali śmiech. Teraz, ze słów tu dolatujących wniesić było można, że szło im o jakiś worek na kartofle, po który Stepan żonkę do chaty posyłał. Czy naprawdę worek był przyczyną klóćni? A może on tęg chwili zażądał, aby żona z oczu mu zesła, ona zaś w tęg chwili właśnie za nic go tu samego zostawić nie chciała. Boże! jakże czuła się nieszczęśliwą! Poczucie tego nieszczęścia zdawało się podnosić ją nad ziemię, tak szybko, z rękoma u głowy ku stawowi biegła. Biegła wprost na Pietrusię i, pochyloną ku wodzie, tak ją całém ciałem potrąciła, że zatoczyła się ona i aby nie upaść, rękoma gałąź wierzby pochwycić musiała. Przytém zazdrością i bólem oszalała, Rozalka łając poczęła tęg, którą za rywalkę swą poczytywała, mnóztwem grubych wyrazów, wśród których najczęściej powtarzał się wyraz wiedźma. Kowalowa uczyniła zrazu ruch taki, jakby piérwszym jęj popędem było rzucić się na napastującą ją kobietę i obelgi, które ona rzucała na nią, odwzajemnić. Widać było jednak, że bardzo prędko ogarnął ją wstyd przed bójką, a gniew jęj przemienił się w żal i przestrasz, od których rumieńce z policzków jęj zniknęły. Schyliła się znowu nad wodą i stukiem pralnika zagłuszyć usiłowała krzyki Rozalki, która, miotając się nad nią, wygrażała jęj pięściami i osypywała ją gradem przekleństw i łajań. Niektóre z kobiet, piorących bieliznę, śmiały się i żartowały głośnie tak z napastującą, jak z napastowaną, inne wzruszały ramionami, spluwały i, wskazując na Rozalkę, nazywały ją *chfiksatką* (waryatką), gadziną, jędzą. Były jednak i takie, które ujęły się za Pietrusią. Młoda Łabudowa krzyknęła do Rozalki, że niespra-

wiedliwie przyczepiła się do kowalowej, która na jej męża i patrzeć nie chce, nietylko co! Jedna z Budrakowych, synowa starosty, targała nawet wściekłą kobietę za koszulę i spodnicę, poważnie ją za jej złość i szaleństwa gromiąc. Wszystko to przecież nic nie pomogło, dopóki Rozalka nie zobaczyła męża swego, biegnącego ku niej z tym samym biczem w ręku, którym konie poganiał. Wtedy, jak ptak zraniony, krzycząc i ramionami w powietrzu miotając, zerwała się do biegu i ku wsi, jakby na skrzydłach poleciała. Długo jeszcze słychać było jej piskliwe i rozpaczliwe krzyki, przeplatane łajaniem i pogrozkami na Pietrusię miotanemi.

Co tam już dalej działo się nad stawem, Pietrusia nie wiedziała i wiedzieć nie chciała. Nie podnosiła głowy ani oczu, bo przed spojrzzeniami ludzkimi robiło się jej i wstydno i straszno. Wolala nie patrzeć na te kobiety, które, podziwiwszy się, pogadawszy jeszcze, bieliznę swą z brzegu zbierały i gromadkami lub kolejno, ku wsi odchodziły. Niebawem, po ciszy, która zapanowała nad stawem, odgadła, że już poszły sobie wszystkie. Wtedy wyprostowała się i oczy podniosłszy, zobaczyła Stepana, który, o kilka kroków od niej, pod różową osiną na pniu ściętego drzewa siedząc, z łokciami na kolanach i brodą w dłoniach, wzrok swój w nią wlepił. Żona kowala twarz od niego odwróciła i w milczeniu skręconą bieliznę do czółna wkładać zaczęła. On odezwał się zaraz:

— Dawno już, Pietrusia, ja ciebie nie widział i z tobą nie rozmawiał. Ot, z rok już będzie, jak ty mnie z chaty swojej wypchnęłaś i drzwi za mną zaryglowałaś. Od tego czasu już ja nie przychodził do was i nigdzie ciebie nie zaczepiał...

— Bo i nie trzeba! — nad czółnem schylając się, gniewnie mruknęła kobieta.

Chłop mówił dalej:

— Trzeba czy nie trzeba, a tak już musi być... tak ty mnie już zrobiła, że gdzie ty, tam moje chęci i całe moje myślenie... Kiedy nie chciałaś, żeby tak było, to na cóż robiłaś... czy na wieczne moje nieszczęście robiłaś? ha?

Tym razem odwróciła ku niemu twarz z wylękłemi i razem rozgniewanemi oczyma.

— Żebym ja wiedziała jaki sposób, tobym co takiego zrobiła, żeby ciebie, Stepanie, nigdy na oczy nie widzieć, nigdy, aż do końca mojego życia. Ot, cobym ja zrobiła, żebym wiedziała, jak robić, ale choć wy wszyscy wiedźmą mnie przezywacie, — nie wiem, na moje wieczne nieszczęście, nie wiem!

Znowu bieliznę do czółna składać zaczęła; ponsowe wargi jej wydeły się jak u rozniewanego dziecka, do oczu nabiegły łzy.

Stepan poprawił się na swém twardém siedzeniu i, oczu z niej nie spuszczać, mówić zaczął:

— Wiedźma ty czy nie wiedźma, lepszéj od ciebie i *laskawszój* (łagodniejszój) i pracowitszój w całej wsi niéma, gdzie tam! w całej okolicy a może i na świecie niéma! Może ty mnie kiedy i dała napić się tego ziele, którego za twoją przyczyną napił się od Franki Klemens, a może i nie dawała, czy ja wiem? Może to ziele co mnie w żywot weszło, to twoja taka *laskawość* (łagodność) i wesołość, że kiedy jeszcze dziewczyną byłaś, to jak na ciebie bywało popatrzę, a twego śpiewania i śmiechu posłucham, to i sam zrobię się inny, ot, *takijże* laskawy, cicheńki i wesoły, jak ty...

Po chwili milczenia mówił dalej.

— Ja bardzo lubię cicheńkich i wesołych ludzi... Ot ja z Piotrem i Agatą dobrze żyję dla tego, że pomiędzy nimi zawsze święta spokojność i obchodzenie się ładne, i Klemensa lubię za to, że on posłuszny starszym i wesoły. A sam ja złośnik, to prawda, i niespokojny jak ten wicher, i pochmurny jak to niebo na deszczu... Tak już ja widać urodził się, z taką chorobą w duszy urodził się, a nie wyleczyła mnie z niej matka, jędza taka, że za jej łajaniem a biciem, ja dziecinnych lat swoich nie pamiętam i nie wyleczył brat, co ze mną o ten mój kawał ziemi po sądach ciągał się... i nie wyleczyła żonka *hadzina*... i nie wyleczyła wódka, którą w gardło leję... Nikt nie leczył i nic nie wyleczyło...

Mówił powoli, smutnie, z wlepionemi w ziemię oczyma. Po chwili podniósł znowu wzrok na Pietrusię.

— Ty-by mnie z téj choroby wyleczyła, ale nie chciała — dodał.

Kobieta, uspokojona łagodnością jego głosu, a smutkiem jego może wzruszona, roboty swój nie przerywając, spokojnie odpowiedziała.

— Przeznaczenia już takiego widać nie było. Ale jakie tobie nieszczęście? Daremnie narzekasz i Pana Boga obrażasz. Czego tobie braknie? Chatę i gospodarstwo porządne masz... żonkę i dziecko masz... ot Bogu-by dziękował i kontent byłby... żeby tylko chciał.

— To prawda — odparł Stepan — żonka taka dobra i taki zdrowy, silny syn! Będzie z niego kiedyś robotnik tęgi i podpora moja! oj!

W głosie jego brzmiała gruba ale bolesna ironia; zaśmiał się i zaklął zcicha, aby nie spłoszyć téj kobiety, która po raz piérwszy, oddawna, rozmawiać z nim chciała.

— Ot prawdę ja tobie powiem, Pietrusia, że mnie już i gospodarstwo obrzydło. Dla kogo człowiekowi starać się i pracować? Czy u mnie chata pełna dzieci? jedno tylko, a i to takie, że tylko tchu w nim słuchaj, czy jeszcze żyje. I więcej już nie będzie. Żonka mnie nie żonka. Ja na nią i patrzeć nie chcę, nietylko co. Przyjdę do chaty z pola, taj położę się jak pies, do nikogo słowa nie przemówiwszy. Dobrze jeszcze, jeżeli *ta* milczy, ale jak przyczepi się do mnie ze swoją złością, albo ze swoim lubieniem, to zaraz i wyjemy oboje jak to dwa wilki, żeby ich razem zamknąć. Ot jakie moje szczęście! Ludzie ze mnie naśmiewają się, jak gdybym już ja był ostatni i gospodarstwo prędko czort weźmie... bo człowiek do niczego ochoty nie ma, tylko-by świat przeklinał — *taj bodzi!*

— Wstyd! — zawołała Pietrusia — wstyd bo tobie Stepan, tak robić i tak gadać! Pilnował-by gospodarstwa, a z żonką żył jak Pan Bóg przykazał, zgodnie, w spokojności... ot jak ja z moim żyję, że u nas nigdy jednéj minutki gniewu, ani nienawidzenia jeszcze nie było...

— Tylko ty mnie o swoim nie wspominaj... — z błyskającymi oczyma rzucił Stepan. Ona, nie patrząc na niego, wzbierających w nim namiętności nie dostrzegła.

— Żeby ty dla żonki swojej taki był jak mój dla mnie, to i ona była-by lepsza — zauważyła.

— *Kab* oni potopili się oboje! *Kab* im oczy prędzęj na ten świat pozamykały się — ponuro mruknął Stepan.

— Phi! jaki zły i niegodny człowiek ludzkiej śmierci żąda! — ze zmarszczoném czołem i rozgniewanemi oczyma splunęła kobieta, a podnosząc z ziemi resztę skręconéj bielizny, którą do czołna wrzuciła, dodała:

— Był u mnie rozum, kiedy ja za ciebie iść nie chciałam... dobrego-bym męża miała...

Widząc, że bliżką jest wejścia do czołna i odpłynięcia, zerwał się z siedzenia i tuż przy niej stanął.

— Poczekaj, Pietrusia, poczekaj troszeczkę — zaszeptał — jeszcze minutkę porozmawiamy... co tobie szkodzi? jeszcze jednę minutkę! Ja dla ciebie byłby inny, jak dla *téj*... jabym z tobą łaskawy zrobił się i cicheńki, jak ten pies co pana swego poznał... tyby mnie dzieci inaczej hodowała jak *ta*... tyby mnie w chacie śmiała się i śpiewała jak ta makolągwa w gnieździe... a jaby tobie ręce i nogi przez całe życie całował, jabym, z tobą pracując, ręce sobie od pracy pokrwawił... Oj Pietrusia ty moja, mileńka ty moja... nie uciekaj choć teraz ode mnie... niech ja choć minutkę pocieszę się tobą...

Z płonąciami oczyma, z uśmiechem namiętności miłosnej na twarzy, następował na nią, pchał ją pod rozłożyste gałęzie wierzy, palącym oddechem oblewał szyję jęj i plecy, żelazném jakby ramieniem stan jęj otaczał. Ona krzyknęła z przerażenia i gniewu, skokiem łani do czołna wskoczyła i, wiosło schwyciwszy, w mgnieniu oka odbiła je od brzegu. Minuta zaledwie upłynęła, a czołno znajdowało się już w pewnej od brzegu odległości. Po gładkiej błękitnej wodzie, mknęło ono prędko, równo, nie kołysząc się prawie i unosząc ku przeciwnemu brzegowi kobietę wysoką i zgrabną, zaledwie trochę przechylającą się ruchem rytmicznym nad wiosłem roztrzásającym wodę. Z pod czerwonej chustki opadające włosy zaledwie dostrzedz dawały ognistą rumianość jęj twarzy, nagie aż prawie do kolan jęj nogi i wiosłem poruszające ramiona, różowilo i ozlacało zachodzące słońce. Pozostały pod wierzbą chłop, błyskał za nią oczyma, jak dwoma snopami płomieni. Uśmiech miłosnej namiętności ustąpił na jego twarzy przed zmarszczkami zgryzoty i gniewu, coś okrutnego, zawziętego przewinęło się mu po ustach.

— Kiedy tak — za odpływającą kobietą krzyknął — to ty doprawdy wiedźma jesteś. Czartowską siłą ciągniesz do siebie ludzi, a potem ich na zgubienie wieczne oddajesz! Poczekaj ty! będzie tobie! Już ja na ciebie pomstę za swoją krzywdę znajdę, ty wiedźmo, przekłeta dusza twoja!

Odległość była taką, że krzyki jego słyszeć musiała. Nie odpowiedziała jednak nic, tylko czółno zakolysało się pod nią, jakby drżeniem jęj nóg wstrząśnięte. Potem jednak popłynęło znowu, równo, szybko, a nienawistny, okrutny uśmiech przewijał się po brązowej twarzy mężczyzny, stojącego w cieniu gałęzi wierzbowych. Z cienia, w którym stał, kobieta, w ogniach słonecznych po błękicie stawu płynąca, wydała mu się może strasznym, złowrogim i zarazem świetlistym ponętnym zjawiskiem.

— Wiedźma! dalibóg wiedźma! — zaszeptał, a gdy ona u przeciwnego brzegu do białych piasków już przybiła i ku domowstwu swemu śpiesznie szła, z zaciśniętymi pięściami ku pługowi swemu wracając, dodał:

— *Taki* ona nie powinna po bożym świecie chodzić... *taki* nie powinna!

Męża swego Pietrusia w domu nie zastała. Stasiuk, który na jęj spotkanie, aż ku brzegowi stawu wybiegł, brnąc w białym piasku i czepiając się jęj odzieży, w drodze już wyszczebiotał, że tatko poszedł do karczmy, aby z arendarzem pomówić. Wiedziała o tém, że arendarz stręczy mu dużą i zyskowną robotę w jednym z sąsiednich dworów, nie dziwiła się téż ani była niespokojną, że Michałek w porze zwykłej do domu nie wracał. Interes był ważnym i dużo o nim z żydem do mówienia było. Gotując wieczerzę, gdy dzieci w kącie izby bawiły się drewnianą puszczalką i chrupały wysuszone ziarna słoneczników, przyciszonym głosem opowiedziała babce wszystko, co ją dziś od Piotrowej i nad stawem spotkało. Przy opowiadaniu tém, Aksena przędła zrazu coraz prędzej, ale wkrótce, u kądzieli nitka rwać się zaczęła i wrzeczono wysunęło się z jęj palców. Na kolanach złożywszy ręce, siedziała wyprostowana jak struna, i choć Pietrusia dawno już mówić przestała, nie przemówiła ani słowa jednego, tylko żółte jęj szczęki prędszym niż kiedykolwiek ruchem przeżuwały uczutą zgryzotę, a białe oczy z większym niż kiedykolwiek wyteżeniem zdawały się wpatrywać w przestrzeń izby, oświetloną chwiejnym półświatłem płomienia. Wieczerza była już zgotowana, ale kobiety czekały z nią na gospodarza chaty, który lada chwila nadejść musiał. Płomień w piecu przygasał, dzieci uciszyły się i drzemiące pod stojącymi u ściany snopami lnu, utworzyły grupę zmieszanych z sobą bosych stópek i małych rumianych twarzy.

Pietrusia z podwórza do sieni wniosła *cierlicę*, chwilę jeszcze krzątała się po izbie, aż, westchnąwszy, głośno, usiadła także na ziemi, i plecy o len opierając zadumanym wzrokiem przed siebie patrzała. W ciszy, która zapanowała w izbie, ozwał się po chwili ochryply i czegoś się dziś bardzo trzęsący głos ślepej baby.

— Pietrusia! — zawołała.

— A co, babulo?

— Spał zioła, te zioła, co z pola w tym roku nanosiła i te, co z przeszłego lata zostały i wszystkie, co w chacie są.

— Czemu tak, babulo?

— Spał! — krzyknęła prawie stara i ciszej lecz gniewnie zamruczała jeszcze: — Głupia! pyta się jeszcze, czemu?

Pietrusia podniosła się z ziemi, chwilę jeszcze pomyślała, głowę ze zdumieniem zakolysała i do komory poszła. Z komory, ze strychu, z sieni, w fartuchu lub radnach zносиła mnóstwo uschłych i kruchych, lub tylko zwiędłych i jeszcze pachnących kwiatów i traw polnych, wszystkie je u stóp wielkiego pieca na ziemię zsypywała a potem, ogień podnieciwszy, garściami w płomień rzucać zaczęła, wszystko to czyniła w milczeniu zupełnym, z rozpalonemi oczyma i trochę zaciśniętymi usty. Z twarzy jęj widać było, że uczuwała ból i trwogę. Rośliny te, w których barwach i woni od niemowlęctwa prawie kochały się jęj zmysły, te czombry liliowe, żółte dziewanny, girlandy czepiających się wzajem traw i lodyg, obejmowały teraz ogniste języki płomienia i owijały sine zwoje dymu, który, słupem wzbijając się w komin, ział na izbę, upajające wonie. Gdy kilkanaście garści uschłego zioła zgorzało już w płomieniu, podniosła głowę ku wierchołkowi pieca i zapytała znowu:

— Czemu tak, babulo?

Stara nie odpowiedziała. W takim zamyśleniu pogrążoną była, że nie słyszała może nawet zapytania wnuczki. Po chwili dopięro u wierchołka pieca, głos chrapliwy i trochę drżący zagadał:

— Wiele ja na tym świecie dziwnych dziwów widziała i słyszała, wiem ja, co z czego wyniknąć może... Stara Prokopicha mnie teraz przed ślepymi oczyma jak żywa stanęła i jak żywe stanęły te lzy, co po jęj *stareńkiej* twarzy jak ciekły, tak ciekły...

Im dłużej ślepa baba mówiła, tém więcej głos jój stawał się monotonnym i zarazem do śpiewnego, żałośnego recytatiwa podobnym.

— Była żyła w siele ludném ale bardzo niebogatem, Prokopicha żołdatka, najemnica uboga, chaty swój ani krewnych żadnych niemająca. Męża jój na dalekim świecie, na wielkiej wojnie zabili, a został przy niej jeden tylko synaczek nieboraczek, który nazywał się Prokopek, imieniem, znaczy, ojcowskiem. Biednieńki był ten Prokopek, od wszystkich, prócz rodzonej matki, opuszczony. Ani u niego ojca i bratów, ani chatynki i pola nie było, przyszedł na świat goły jak Jadam, a jak wyrósł do cudzych ludzi pracować poszedł. U cudzych ludzi w poniewierce i biedzie wielkiej pracował, na cudze dobro zyzem patrzył i pochmurny stał się jak noc jesienna. Choćby wszyscy nie wiem jak weselili się on sam jeden, jak wilk, bywało, chodzi w ziemię patrzy, jakby już sobie mogiłkę chciał kopać, a wszystko o czémścis myśli i myśli. Nie lubili jego ludzie za pochmurność i niechętność i nie szanowali go, zwyczajnie jak sierotę *jedynokiego*, za którym ująć się komu nie było. Aż tu jednego roku zaczął ktościs gospodarzom konie kraść. Jednemu gospodarzowi koń zginął, drugiemu zginął, trzeciemu zginął. Po całym siole poszło krzyczenie taj płkanie, bo ludzie byli tam nie bogate i strasznie żywiołów tych żalowali, bez których w gospodarstwie ciężko. Szukali złodzieja, rozpytywali się, pilnowali — niéma! Niéma i niéma, rozstap się ziemi! A konie jak giną, tak giną! Jednego razu ktościs podpatrzył, że Prokopek czasem przepada z siola. Przejdzie, bywało, dzień, dwa, trzy, przejdzie i *niedziela* (tydzień) cała a jego w siole niéma, gdzieścis *mandruje*. Z żydami niedowiarkami w lesie rozmawiającym go widzieli, i w miasteczku go widzieli, jak pił w karczmie i *stużki* dla jakiejś dziewczki kupował, nie wiadomo, zkąd *brosze* biorąc. Wtedy już wszystkim przyszło do głowy, że to Prokopek parobek konie kradnie. Wzięli i do sądu jego zaciągnęli. Sąd słuchał, słuchał i powiedział, żeby sobie Prokopek do siola powracał, bo, mówi, nie wiadomo jest, czy to on konie kradł; pewnościs, mówi, niéma; dowody, mówi lepsze na niego dajcie... Prokopek do siola powrócił, a konie jak ginęły, tak ginęły. Wtenczas już ludzi wielki gniew za ich dobro ogarnął. Zaczaili się raz pod lasem i jak Prokopek z lasu furę drzewa gospodarzowi swemu wioził, złapali go, taj zaczęli w niego walić kijami...

— Jezul! — rozległ się po izbie krzyk Pietrusi, która z fartuchem pełnym ziół i ręką zatopioną w uschłe rośliny przed piecem stojąc, oczy szeroko otworzyła i zatrzęsła się całym ciałem.

— Kijami! — jęknęła jeszcze i opamiętawszy, się nieco, znowu zioła w ogień rzucac zaczęła. Płomień buchnął żywiej, na izbę wionęła silna i pachnąca mgła, z wierzchołka pieca, głos starój powtórzył.

— Kijami. Żebra jemu połamali, ręce nogi połamali, ludzką twarz krwią obleli i nieżywego porzucili na szerokiém polu, na pustém polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukcom i kawkom na strawę.

W izbie zapanowała chwilowa cisza, poczém ślepa baba opowieść swą kończyła.

— A Prokopicha żołdatka z żalu po swoim nieboraczku synaczku wzięła i *sfiksowała*. Z litościs ją ludzie karmili i odziewali a ona, bywało, w ciemny kąz zalezie i ciągle o swoim parobku Prokopku opowiada i opowiada, a po zmarszczonej, stareńkiej jój twarzy, jakby kto grochem sypał, lzy cieką a cieką... I ja tam była, gadania jój słuchała, na lzy jój patrzyła a teraz to wszystko przed ślepemi oczyma memi, jak żywe stanęło...

Kiedy chrapliwy i klekocący a zarazem śpiewny głos starój umilkł, Pietrusia z cicha przemówiła.

— Babulo!

— A co?

— Czy ten Prokopek doprawdy konie kradł?

Stara z namysłem odpowiedziała.

— Może kradł a może nie kradł. To już nie wiadomo. Pewnościs nie było... ale ludzkie posądzenie było i straszny gniew ludzki był...

— Straszny jak echo — powtórzyła kobieta, przed ogniem stojąca i śpiesznie, śpiesznie resztę ziół uschłych w płomień rzucac zaczęła!

Po chwili stara zagadała znowu.

— Pietrusia!

— A co, babulo?

— Żeby ty od tego czasu nie ważyła się doradzac...

- Nie będę — odparła młoda kobieta.
- Nikomu, pamiętaj. Żeby tam nie wiem jak ciebie prosili. *Czujesz?*
- Nie będę, babulo...
- Cicheńka taka bądź, jak ta rybka na dnie wody, żeby ludzie i zapomnieli o tobie.
- Dobrze, babulo.

Drzwi izby otworzyły się i wszedł kowal, na którego gdy tylko Pietrusia spojrziała, zaraz krzyknęła.

- Oj Bożeś mój! a tobie co takiego *przytrafiło* się, Michałku?

Musiąo mu istotnie przytrafić się coś złego. Twarz miał rozognioną, jedno oko zapuchłe i kilka sińców na policzkach i czole. Czapkę z rozczochranych włosów zdjął i na stół ją rzuciwszy, dzieci, które obudziły się i do niego przybiegły, z gniewem od siebie odpędził. Potem, na ławie siadł i do żony zwracając się, ochryplym trochę głosem mówić zaczął:

— *Przytrafiło* się mnie to, czego jeszcze nigdy w życiu ze mną nie bywało. Soldatem byłem i sześć lat włóczyłem się po świecie, a nigdy nie biłem się z nikim; tutaj już siedm lat żyję i panuję, a ludzie szanowali mnie zawsze, bo sam siebie szanowałem. A ot, dziś, pobiliśmy się przed karczmą z chłopami. Z twojej przyczyny, Pietrusia, *hawantura* ta mnie spotkała. Pfe, wstyd tylko, zgryzota, *taj hodzi!*

Splunął i głowę od żony odwracając, skaleczone oko dłonią sobie zakrył. Ona milczała i, stojąc przed ogniem, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, z rękoma wzdłuż ciała opadłemi. Po chwili ozwał się znowu:

— Rozmawiam ja sobie z arendarzem o *jenteresie*, aż słyszę, przed karczmą, chłopci na ciebie wykrzykują, że ty Klemensu Dziurdzi chorobę zrobiła... Szymon Dziurdzia wykrzykiwał, Jakób Szyszko, złodziej ten wiadomy, i Stepan potem przyszedł i takóž gadać zaczął i baby, co od zbierania kartofli tamtędy wracały, stanęły takóž i jak wrony krakać zaczęły: taka ona, owaka ona, krowom mleko odebrała, a teraz Klemensa struła. Słuchał ja, słuchał, aż nie wytrzymał, z karczmy wyleciał, klócić się o ciebie zaczął. Od słowa do słowa, do bitwy przyszło. Bił ja, bili mnie... pfe! wstyd! Człowiek pracuje jak ten ostatni parobek, prowadzi się porządnie, ludzi i samego siebie szanuje, aż tu niewiadomo zkąd, przyjdzie na niego hańba taka... co to? miło to słyszeć, że żonkę od wieźm i czartowskich kochanek przezywają, a potem na twarzy nosić ślady pijackich i złodziejskich kulaków! Oj, Bożeś mój Boże, za co na mnie taka hańba i ta zgryzota przyszła!

Przez rozżalenie i zawstydzenie jego przebijają się uraza, do żony uczuwana. Ona wciąż milczała, przestraszona tak, że aż jej ręce, któremi garnek ze strawą z pieca wyciągała, drżały widocznie. Ze spuszczonei powiekami zapaliła lampkę i wieczerzę na stole stawiała. Kiedy wedle zwyczaju bochen chleba i nóż mężowi podawała, on, przysłaniając wciąż dłonią spuchnięte oko, drugim bacznie na nią popatrywał.

— Pietrusia! — rzekł — co ty takiego ludziom zrobiła, że oni na ciebie, jak te kruki na ścierwo napadli...

Zwolna wzruszyła ramionami.

— Czy ja wiem? — szepnęła.

— Już to nie może być bez przyczyny? ha? — zapytał jeszcze.

Zapytywana w ten sposób kobieta, sama pogrążyła się w coraz głębsze zamyślenie.

— Czy ja wiem? — powtórzyła.

Widocznie sama zagadki losu swego zrozumieć nie mogła i czy w istocie przyczyna jego w niej saméj nie spoczywała, pewną nie była. Pomimo téj niepewności, inna roztopiła-by się cała w zaprzeczeniach, przysięgach, uniewinnianiu siebie a złorzeczeniu ludziom. Ona tego nie uczyniła. Nigdy jeszcze przed mężem nie skłamała. Żyli oni z sobą, jedno drugiemu duszą w duszę patrząc, jak dwa przejrzyste, obok płynące potoki. A teraz, kłamała-by, gdyby mu powiadała, że jest czegokolwiek pewną, gdy wewnątrz jej nurtowała trwoga, nie tyle przed ludźmi, ile przed czémś nieokreślonym, tajemniczym, groźnym, uczuwana.

— Czy ja wiem? — powtórzyła i z czołem zmarszczonym w dwie głębokie fałdy, od męża twarz odwróciła. On patrzył na nią i, dziwiąc się jakby czemuś, lub nad czémś smutnie rozmyślając, parę razy głową zakołysał. Potem dzieci ku sobie przywołał, a do niej już nic nie mówił i ani razu tego wieczora, *zuzulą* jej nie nazwał. Markotny i milczący

spać się położył, ciemność i cisza zaległy izbę, aż w połowie nocy, w ciemności i ciszy, ozwał się szelest ludzkich kroków i ktoś wdrapał się na wierzchołek pieca.

— Babulo! babulo! czy ty śpisz?

Na wierzchołku pieca zaszemrał szept, wyraźnym przerażeniem przejęty.

— Nie *splu, ditia, nie splu!* *Wsieńko* o tobie myślę — odpowiedziała Aksena, której od czasu pewnego starość przywozić już zaczęła bezsenne nocy.

— Babulo! — zajęczał głos drugi, cościś mnie dziś okrutnie dusiło... na żywocie i piersi cościś położyło się i tak dusiło, że tylko ci już Panu Bogu duszyczki nie oddałam...

— *Szto beto?* — zadziwiła się stara a po chwili zapytała:

— Może ty w świętą niedzielę robiła co takiego, co pozwolone nie jest?

— Nie robiła, babulo nic w świętą niedzielę nigdy nie robiła...

— *Prypomnij* sobie tylko... może robiła! Bo jeżeli robiła, znaczy niedziela do ciebie przyszła i dusiła za to, że ty ją obraziła... Takie rzeczy na świecie bywają... ja sama takiego człowieka znalazłam, co w niedzielę zawsze wszystko robił. Aż tu razu jednego, niedziela do niego przyszła, taka wielka jak to słońce złote, położyła się na nim i zadusiła... na śmierć zadusiła. *Prypomnij*, tylko sobie, czy czego broń Boże w niedzielę nie robiła...

— Nie robiłam babulo, pobożę się, że nigdy w niedzielę nic nie robiłam...

— No, te *sztóż beto*, co ciebie dziś dusiło?

Długie potem zapanowało milczenie, aż w ciemności, szept młody i przerażony ci-chutko zaszemrał.

— Babulo! ja słyszałam, że kiedy *czort* do kogo przyczepi się, to tak samo dusi...

U wierzchołka pieca, gwałtownie coś zaszleściło, może ślepa baba wyprostowała się na swym sienniku.

— Przeżegnaj się, *ditia* przeżegnaj się ty krzyżem świętym...

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego Amen.

Znowu chwilowa zapanowała cisza, potem stara Aksena zaszepeliła jeszcze.

— Zgryzota to ciężka dusiła ciebie, Pietrusia ty moja, *zbrzyzota* i żałość.

— A-le! — twierdząco odszepnął głos drugi.

— Cościś Michałek markotny był dzisiaj i *hniewny*...

VI

Zima nadeszła wczesna i ostra. W ostatnich dniach Listopada, mróz ściał już ziemię w twarde bruzdy i śnieg przysypał ją białym pyłem. Wieczorne niebo usiane było mnóstwem gwiazd, kiedy drogą, wiodącą z najbliższego miasteczka, do Suchej Doliny, szli ku wiosce dwaj chłopci. Obaj byli nie wysokiego wzrostu, ale jeden szczególnie mógł się nazwać zupełnie niskim; w kozuchach baranich, czapkach i skrzypiących butach, szli oni, to powolnym i trochę chwiejnym, to znowu prędkim i zamaszystym krokiem, bardzo głośno ze sobą rozmawiając i zawzięcie rozmachując rękoma. Nie byli zupełnie trzeźwi. Grube ich głosy rozchodziły się daleko, a wtórował im głośny także i nierówny tentent ich stąpań. Ze słów, które wyraźnie i donośnie brzmiały w cichéj i mroźnej przestrzeni, wnieść było można, że wracali z miasteczka, gdzie obadwaj stawali przed sądem pokoju.

— *Mirowy każe* (Sędzia pokoju mówi) *sztraf* za *beto* drzewo zapłacisz... — mówił jeden, a drugi, nie słuchając towarzysza, jednocześnie prawil:

— Dług święta rzecz, *każe*, zapłacić *nužno*.

— Drzewo, *każe*, ściał w pańskim lesie, sześć sztuk ściał, *każe*, za każde sztukę po rublu sztrafu zapłacisz...

— A kiedy długu nie zapłacisz, *każe*, ziemię *opiszą*, ta, sprzedadzą... Nie sprzedadzą, mówię, bo jeszcze nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona...

Teraz drugi zaczynał.

— A ja do *mirowego zjazdu*.. do Chackiela poszedł i kazał jemu prośbę do *mirowego zjazdu* pisać... Pisz, mówię, *hapelacju*, żebym ja tego sztrafu nie zapłacił...

Pierwszy swoje dalej prawil:

— Ja do starszyny!... A co z tego będzie?... u żyda zadłużył się i u innych ludzi zadłużył się, i teraz oni na mnie do sądu podają, a sąd płacić *każe*, a ziemia nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona i sprzedać jęj nie można... Żyd niedowiarek, podła jego dusza, pyta się zaraz: a *wiele* za napisanie dasz? *Zolotouku* dam, mówię, *piszy!* A on mnie w oczy

patrząc, śmieje się... Rubla dasz! mówi. Nie dam, mówię, dalibóg nie dam... dwa złote dam... A on: rubla dasz... I obiecał, dalibóg obiecał rubla... *Kab jego czorci...*

Ten zaś, któremu o zaciągnięte długi szło, zataczając się nieco, prawil:

— Dowiedział się ja u starszyny, oj dowiedział się... *Kab jego...* Ziemi nie opiszę, mówi, bo nie wolno, bo jeszcze nie wykupiona, ale gospodarstwo za dług opiszę, *taj* sprzedam *publiczno*, znaczy sprzedam, w jednych koszulach zostanieie... na co było długi robić?

Nagle, stanęli obaj i twarzą w twarz patrzeć na siebie zaczęli.

— Jakób! — rzekł jeden.

— Szymon! — odpowiedział drugi.

I obadwa razem wydali z gardła pytające tony.

— Ha?

— Żeby to człowiek był bogaty!

— *Ale!*

— Tobo długów nie robił!

— *Ale!*

— Dziewięć dusz w chacie...

— U mnie trzynaście... taj jeszcze i dwoje w kołyskach...

— Ziemia taka kiepska, że choć płacz...

— A *świeronek* (spichrzyk) to już ze wszystkiem zawalił się... myślę ja sobie, zkąd tu drzewa wziąć... ot i pojechał nocką do lasu... to i co? Nie dla jednego Pan Bóg las zasiał, dla wszystkich zasiał...

— Ziemię przyjdzie *żydu* w arendę za dług puścić... choć *potajemno*, a samemu w parobki do jakiego dworu nająć się... Oj, *horkaja* dola przyszła mnie i *ditkom* moim...

— Oj, *horkaja* dola przyszła mnie na stare lata moje...

Obaj rękawami kożuchów po oczach sobie powiedli i, głośno westchnąwszy, dalej obok siebie iść zaczęli. Znajdowali się w tej chwili blisko krzyża, wznoszącego się nad rozstajnymi drogami. Naprzeciw nich, żółto błyszczący dwa oświetlone okna karczmy, dalej ciemniały ściany stodół i obór, a w pewnej od nich odległości, samotne w polu i pośród suchych szkieletów drzew, szarzało domowstwo kowala. Przy świetle gwiazd, można było rozpoznać zamkniętą dziś i milczącą kuźnię, śniegiem ubieloną strzechę chaty i dwa złotawe blade, bo przez zamarznięte szyby, przedzierające się odblaski palącego się w niej ognia.

Jeden z chłopów, przechodzących pod krzyżem, w kierunku tego domowstwa rękę wyciągnął.

— Szymon! — rzekł.

— Nu?

— Ot tam to *broszy* dużo!

— Gdzie to?

— A u kowalichy.

— Aha! — potwierdził Szymon, *musić* *bobaty* ludzie, bo po pańsku sobie żyją...

— Czemu im nie żyć, *koli czort* wiedźmie pomaga...

— Pomaga czy nie pomaga, a taki im dobrze kiedy *brosze* mają, — zauważył Szymon, a po chwili myślenia machnął ręką i zamruczał: — To i co z tego? Pies kudłaty, jemu ciepło; chłop bogaty, jemu dobrze... kowalu i żonce jego dobrze, a mnie od tego nie lżej...

— Jeszcze i ciężej i na cudze dobro patrzeć, kiedy człowiekowi samemu na świecie gorzko...

— *Ale!*

W tém, Jakób Szyszko stanął jak w ziemię wryty i z ręką wyciągniętą ku domowstwu kowala przyciszonym, zdławionym prawie głosem wymówił.

— *Baczył?* Szymon, *baczył?* (widziałeś?).

Szymon stanął także i nic wymówić nie mogąc, usta tylko szeroko roztworzył. Zjawiskiem, które obu chłopów tak bardzo uderzyło, była spadająca gwiazda. Oderwała się ona niby od ciemnego sklepienia i, złoty wężyk zakreśliwszy w powietrzu, nad samą chatą kowala zniknęła. Na tle przejrzystej nocy, błysk ten strzelił chwilową lecz świetną światłością. Jakób powtórzył pytanie.

— *Baczył* ty?

— Czemu nie *baczył?* *baczył*, — zaszeptał Szymon; — o nich my mówili, i na ichże chatę gwiazda spadła...

Jakób głową wstrząsnął i głośny, szyderski śmiech wychodził z wązkiej, stariej jego piersi.

— Oj, dureń ty, dureń! — mówił, — to ty myślisz, że to gwiazda spadła...

— Ale!

— A to, ot, *czort* był, co przez komin wiedzcie *brodze* niósł!

— Nie może być? — krzyknął prawie Szymon i, rękę do czoła niosąc, zęgnąć się zaczął.

— A czy ty tego nigdy nie słyszał?

— Słyszał to, słyszał, że tak na świecie bywa, ale widzieć, nie widział...

— No to teraz zobaczył... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego...

— Amen, — jednogłośnie dokończyli obaj, a Szymon raz jeszcze wydał z gardła przeciągły dźwięk zadziwienia. Potem, szedł już przed siebie pewniejszym, równiejszym krokiem, jakby mu dym wódki, którą w miasteczku wypił, z głowy uleciał. Głęboko nad czéms rozmyślał, potem ozwał się:

— Jakób!

— Ha?

— Wiesz ty co? Już-bym ja i *czortouskiemi broszami* nie pogardził, żeby tylko z biędzy wyleźć. Żeby gospodarstwa nie opisywali i nie sprzedawali...

— Jak *wiedajesz...* jak *znajesz...* — obojętnie odparł Jakób.

— Może-by kowalicha i pożyczyla... — wahającym się głosem zaczął znowu Szymon.

— Jak *wiedajesz...* jak *znajesz...* ale kiepsko będzie...

— Czemu kiepsko?...

— Ot tak! chrześcijańską duszę zaprzedać nie godzi się...

— I to prawda...

— Ty tego nie rób, — palec do góry wznosząc, nauczał Jakóba, — nie godzi się... Księdzu na spowiedzi powiedzieć trzeba, że takie pokuszenie miał...

Szymon rozmyślał znowu, ale po chwili z nagłą determinacją głowę podniósł.

— A szedł ty do pańskiego lasu drzewo kraść, kiedy świronek budować zapotrzebował, ha?

— Oj ty! durniu! — krzyknął Jakób, — jak ty takie rzeczy porównywać możesz? Las bozki jest i Pan Bóg jego dla wszystkich posiał, a wiedzmy *brodze* czartowskie i ona sama jest nieprzyjaciółka bozka i ludzka...

— To co! — opierał się Szymon, — taki tobie mirowy sztraf zapłacić kazał, a ty mnie od durniów nie wyzywaj... Słyszysz? Prawa nie masz! Sam dureń, a jeszcze do tego i złodziej!

Zaczynali już klócić się, ale w tém oblała ich światłość wychodząca z okien karczmy, przed którą przechodzili. Z wnętrza karczmy dolatywał gwar rozmów i rzępolenie skrzypiec. Stanęli obaj jak w ziemię wryci.

— Zajdziem, — rzekł Szymon.

— Zajdziem, — zgodził się Jakób.

— Na minutkę.

— Na minutkę poweselić się...

Karczemną izbę dość obszerną, niską, z podłogą glinianą i aż czarnym od brudu pół-
apem, jaskrawo oświetlały trzaski smolne, wetknięte w szczeliny pieca, od góry do do-
łu, zawieszzonego wysychającą po praniu odzieżą arendarza i jego rodziny. Na długim
i wązkim stole paliła się, krzywo w wydrążonej brukwi tkwiąca łożówka, i stało kilka
cynowych czarek, jakimi zazwyczaj chłopci w karczmach wódkę pijają. Pili z nich przed
chwilą ci gospodarze poważni i stateczni, którzy, z obu stron stołu na ławach siedząc,
toczyli pomiędzy sobą gwarliwą ale poważną, stateczną rozmowę. Dostatnie kozuchy ich
zaopatrzone w szerokie kohnierze, z czarnych lub siwych baranów, ciężkie lecz całe i aż
do kolan wysokie obuwie, wyrazy ich twarzy, spokojne lub uśmiechami rozjaśnione, ob-
jawiały, że byli to najdostatniejsi i najlepiej prowadzący się mieszkańcy Suchej Doliny.
Przyszli tu oni nie dla hulania ani z hultajstwa, ale dla tego naprzód, aby w długi zimowy
wieczór rozweselić się trochę w *kompanii*, a potem i dla tego, aby o rzeczach, tyjących
się interesów wsi, trochę naradzić się i porozmawiać. Kazali sobie zrazu podać wódki, pili

ją z cynowych czarek, uprzejmie do sąsiadów przemawiając: — na zdrowie! na szczęście! — Poczém czarki na środek stołu odsunęli i więcej już ich nie dotykali. Po kruczku wypili i dosyć! Gdyby to była jakaś wesoła okazyja: chrzciny, wesele, dobicie jakiegoś targu lub coś podobnego, pili-by pewnie daleko więcej. Ale bez okazyji, nie zwykli byli upijać się, szanowali w sobie dostojność gospodarzy zamożnych i prowadzących się uczciwie, ojców rodzin i byłych lub terażniejszych urzędników gminy.

Po samym środku grona tego, zasiadał Piotr Dziurdzia, obok niego, z łokciami daleko na stół wysuniętymi, rozpieierał się Maksym Budrak, dalej obsiadali ławę: stary Łobuda i dwaj dojrzały, dawno już ożenieni synowie jego, a za kilku jeszcze innymi, w samym kącie izby, tam gdzie najmniej dochodziło światła, siedział Stepan. Zawsze miał on pociąg do przestawiania z najpoważniejszymi i najuczciwymi mieszkańcami wsi, do współdziałania w rozprawach o rzeczach publicznych, do odegrywania we wsi roli czynnej i wpływowej. Ambitny i śmiały, pragnął coś znaczyć, czémś przewodzić, a choć mu już lat czterdzieści wkrótce minąć miało, nie mógł nigdy pożądanego celu tego doścignąć. Ponurość i popędlliwość jego odstraszały odeń ludzi, ujmowały mu publicznego szacunku niepospolicie już złe pożycie z żoną i brak liczniejszej rodziny. Miał wprawdzie jedno dziecko, ale takie, że za bezdzietnego uchodzi, a bezdzietność chłopa, to naprzód niebłogosławieństwo bozkie, a potem, blizka i nieunikniona jego ruina. Inaczej wcale poglądują ludzie na taką chatę, w której rosną i dorastają silni parobcy i pracowite dziewczki, niżeli na taką, w której dwoje samotnych ludzi, jak ta para ponurych kretów ziemię kopie, bez radości na teraz, bez widoków na przyszłość. W takiej chacie ani, chrzcin, ani wesel, ani głośniego igrania chłopców, ani dźwięcznego śpiewania dziewcząt, ludzie do niej nie zachodzą nigdy i nigdy w niej do zastawionych bożemi dary stołów nie zasiadają. Żeby tam nie wiedzieć jaki dostatek był, to wprost, okazyi żadnej nigdy niema, więc i szacunek ludzki i przyjaźń ludzka nie mają tam kiedy przybyć, objawić się i wzrosnąć. A jeżeli jeszcze w chacie takiej wieczne pomiędzy małżeństwem kłótnie, krzyki i bijatyki, Panu Bogu na obrazę, ludziom na zgorzenie i śmiech? Wtedy już, chłopie bezdzietny i beznadziejny, na ruinę gospodarstwa i pośmiewisko ludzkie wystawiony, siedź chmurny i milczący, pomiędzy weselącymi się i rozprawiającymi ludźmi, tak jak w ciemnym kącie siedzi Stepan Dziurdzia, złość i zgryzotę swoją przeżuwając. Ile razy odezwał się, tyle razy spostrzegł wyraźnie, że nikt go słuchać nie chciał. Rozprawiano jednak o rzeczy, na której on znał się lepiej niż ktokolwiek inny: o gruntach i łąkach, do których wieś cała pretensją rościła, i o które dotychczasowemu ich posiadaczowi proces wytoczyć zamierzała. Proces miał być kosztownym, koszta rozkładały się na wszystkich mieszkańców wsi, w stosunku do części, przez każdego posiadanej w procesie; arytmetyczne takie ćwiczenia, najbiegłej Stepan dokonywać umiał, najlepiej zresztą znał owe grunta i łąki, ale obywano się bez jego pomocy i rady, słowa jego głuszono, kiedy innych przekrzyczyć usiłował, łokciami go trącano na znak, aby umilkł. Młody Łobuda kłótni wszczynać nie lubiący, a lękając się, aby go do niej złość Stepana nie wyzwała, odsunął się odeń o łokieć, to samo uczynił Anton Budrak, brat Maksyma, obecny starosta wsi. Osamotnionym ujrzał się i sponiewieranym. Zaklął z cicha, usunął się pod samą ścianę, na arendarza krzyknął, aby mu całą kwartę wódki podał, i pił ją, milcząc i roziskrzonymi oczyma w cieniu, jak wilk polyskiwał. Inaczej wcale działo się z Piotrem Dziurdią. Ten przez lat sześć urząd starosty sprawiał, wiedział więc dobrze, co chłop który posiadał i w jakiej mierze do wspólnych kosztów przyczyniać się był powinien. Anton Budrak, który świeżo starostą został, radził się go o to i owo, inni, słuchając, potakująco głowami kiwali. Z rękoma splecionymi na kolanach, z długimi włosy, których płowe i siwiejące kosmyki opadły na czarny, barani kołnierz kozucha, z bladawą swą i ciemną twarzą, ożywioną teraz czarką mocnego napoju i prowadzoną rozmową, Piotr rozpowiadał szeroko i długo, a słowa jego ciekły mu z ust rozważne i przewlekłe, niby leniwy i z cicha toczący się potok. Przypominał, kiedy i jak owe grunta i łąki od Suchej Doliny odpadły i co o tém opowiadali ojcowie, rozważał jakie korzyści zwrot ich przyniósł-by wiosce i wyliczając je, aż wzdychał, tak mu się one ponętnymi wydawały. Pomimo jednak tego, dosyć żywego pożądaną rzeczy ziemskich, o niebieskich nie zapomniał. Podnosił czasem w górę wskazujący palec i zdanie swe kończył słowami:

— *Wsienko* to, w mocy Bożej. Kiedy Pan Bóg zechce to nam tę łaskę swoją da, a kiedy nie zechce to nie da, i cierp, człowiecze, bo taka już wola pańska...

Innym razem mówił:

— Bożkiej siły, jak *toj kazau*, nie przemożesz. *Czortouskuju situ* krzyżem świętym przemożesz, a bożkiej niczém nie przemożesz... Jak Pan Bóg najwyższy zechce, tak będzie.

Słowa te wywołały zawsze westchnienie słuchaczy, co nie przeszkadzało im jednak, z żywém i nawet namiętném zajęciem dalej o interesach ziemskich rozprawiać. Piotr wzdychał także, ale szare, głęboko pod gęstemi brwiami osadzone oczy jego błyskały czasem rozweseleniem takim, jakie ukazywało się w nich bardzo rzadko. Rozweselały się one w ten sposób zawsze, ilekroć wypadkiem czy umyślnie spojrzął w tę stronę karczemnej izby, w której bawiła się i weseliła nieliczna garstka młodzieży. Było tam kilku dorosłych chłopców i z pięć dziewczyn, którzy otaczali siedzącego w kącie muzykanta, wołając nań o muzykę, a gdy grać już zaczął, tańce rozpoczynali i nagle je przerywali dla swawoli jakiej lub gonitwy, od których z podłogi wznosił się tuman kurzawy i rozlatywały się na wsze strony ciemne dymy, kłębami buchające z rozplomienionych smolniaków. Było tam w tej zabawie pełno grubych wykrzyków męzkich i piskliwych jęków niewieścich, rubasznych śmiechów, żartobliwych kłótni, tupotu nóg, brzęczenia i piszczenia skrzypiec. Białe koszule i sine spódnice dziewcząt, migotały w kurzawie i dymie, wśród szarych lub błękitnych ubiorów męzkich. W gromadce tej nielicznej, ale bawiącej się wybornie, réj głośny i wesoly wiódł Klemens. Przed sześciu tygodniami wstał on z ciężkiej choroby, której już i znaku na nim nie było. W czasie chorowania swego, nieskończoną ilość razy trzymał był w rękach zapaloną gromnicę, wypił nieskończoną ilość ziół, które mu z całej wioski przynosiły baby, odbył przedśmiertną spowiedź i utracił kwartę krwi, którą wytoczył zeń, z miasteczka przez Piotra przywieziony, felczer. Stara Ewangelia, przez cały ten czas, nad samą głową jego na poduszce leżała; ojciec w kościele trzy msze na jego intencją zakupił. Nakoniec, wyzdrowiał, wstał i po tygodniach paru wyglądał już tak, jakby mu nigdy nic nie było. Odtąd Piotr o chorobie i wyzdrowieniu syna lubił szeroko i długo rozprawiać. Opowiadał, że sprawiła ją dyabelska siła, którą przewyciężyła siła bozka. O pierwszej mówiąc, pięście ścisłał i z obrzydzeniem spluwał, a błysk gniewu i nienawiści przemykał mu w żenicach. Dla drugiej gorącą wdzięczność i cześć widać uczuwał, bo, gdy ją wspominał, głowę skłaniał, a oczy mimowoli prawie w górę wznosił. Teraz Klemens w zabawie i swawoli réj wodził, a w którąkolwiek stronę izby okiem rzuciwszy, wszędzie zobaczyć go było można w parze z ładną Nastką Budrakówną, córką Maksyma. To stojąc przed muzykantem i o muzykę wołając, do tańca wpół ją obejmował, to w gonitwie jakiejś na ławę ją z takim rozmachem obalał, że aż krzyczała z bólu, niby rozgniewana w kąt odchodziła i plecami zwracała się do izby, a on stojąc za nią, przeproszał ją i do drugiej gonitwy wyzywał, pocieszenie twarz, jakby w płaczu przekrzywiając, a grubym śmiechem na całą izbę chichocząc... Piotr na tę zabawę syna, po przez głowy siedzących, naprzeciw niego sąsiadów, z przyjemnością spoglądał i robiły mu one nawet wyraźne w rozmowie roztargnienie. Usta wtedy rozwierał i śmiał się cichym piersiowym śmiechem. Lubował się widokiem pary, którą składali Klemens z Budrakówną. Dziewczyna miała z zamożnej ojcowskiej chaty wnieść z sobą w chatę męża zwiększenie wszelkiego dostatku, a oprócz tego łagodną była, pracowitą, prowadzącą się przystojnie i przez Agatę bardzo lubioną. Jeżeli więc Klemens z nią się ożeni, oprócz wszystkiego innego, zgoda świekry z synową zapewnioną będzie. Piotrowi oddawna związek ten kleił się w głowie, aż tu, ni z tego ni z owego wykryły się te jakieś umizgi Klemensa z Franką, z tą krępą, niepozorną, ubogą wnuczką jednego z najpośledniejszych mieszkańców wsi, w dodatku złodzieja. Gdy tylko Klemens dźwignął się był z choroby, Piotr go zapytał:

— Czy ty z tą Franką z myślami jakimi zaczynał, czy tak sobie?

Chłopiec zawstydził się bardzo, twarz od ojca ręką zasłonił i odpowiedział:

— Tak sobie!

— A żenić się z nią nie myślałeś?

— Niechaj czort żeni się z nią, nie ja — brzmiała już chmurna odpowiedź.

— Nu, a Nastki Budrakówny chcesz? — indygacją swą dalej prowadził ojciec.

Chłopiec dłonią usta zakrył i parsknął śmiechem.

— Czemu nie, baćku? — zawołał.

Aż mu oczy zaświeciły z radości. Nastka była ładną dziewczyną, ale o posagu i o dostatniej wyprawie jej także pomyślał. Swatów do chaty Budraka wnet po przejściu adwentu wysłać umyślili.

Teraz, po środku izby, młodzież, wzięwszy się za ręce, utworzyła koło, w które na żarty i ku rozśmieszeniu wszystkich, wkręciła się jakaś stara przysadzista baba, z pochwyconą u arendarza małą poduszczką w rękach. Przy piskliwej, lecz skocznej muzyce skrzypiec, koło tancerzy, z wielkim tupotem nóg, okręcało się do koła tej baby, która, jedną rękę na kłębie opierając się, a w drugiej poduszczkę wysoko podnosząc, a w kółko też skacząc, z pocieszniemi minami śpiewała:

Paduszczeni, paduszczeni, a wsie puchowuje,
Mołodzienki, mołodzienki, sawsiem mołodyje...

Tu wybuchnęły ogromne śmiechy, tak słowa piosnki źle stosowały się do przysadzistej, pomarszczonej, choć silnej jeszcze i uciśniej baby. Ona śpiewała dalej:

Koho lublu, koho lublu,
Toho pacełuju;
Paduszczenku puchawuju
Tomu podaruju.

Wraz z ostatnim wyrazem śpiewki, poduszczkę na Jasiuka Dziurdzie rzuciła i, w pół go objąwszy, chciała się z nim, wedle prawideł tańca tego, kilka razy okręcić. Ale on za wstyd to sobie poczytał, że go tak niepowabna tancerka faworami swemi obdarzała, pięścią babę odepchnął i z gapiowatą miną, a rozgniewanemi oczyma, jak słup na środku izby pozostał. Kilka poważnych gospodyń, na ławie pod ścianą gwarzących, aż kładło się ze śmiechu; gospodarze nawet rozmowę o interesie przerwali i z uśmiechami na twarzach, szumnej zabawie młodzieży przypatrywać się zaczęli.

— Koło taneczne utworzyło się znowu, tylko, że w jego środku stanęła tym razem, gwałtem przez inne dziewczki tam popchnięta Nastka Budrakówna. Skrzypce wciąż przygrywały, a wysmukła dziewczyna, z grubą kosą na plecach i piersią zawieszoną szklanemi paciorkami, poduszczkę do góry wzniosła, i nie skacząc tak, jak tanczniczka uprzednia, lecz okręcając się powoli i z wdziękiem, wśród tententu stóp, donośnym głosem zaśpiewała:

Paduszczeni, paduszczeni,
A wsie puchowuje...
Mołodzienki mołodzienki,
Sawsiem mołodyje...

Tu całe taneczne koło piosnkę podjęło i wzbijającemu się nad inne, głosowi dziewczyny, chórem wtórzyć zaczęło:

Koho lublu, koho lublu,
Toho pacełuju; Paduszczenku puchawuju
Tomu podaruju...

Rzucona ręką dziewczyny poduszczka w kraciastej nawlecze, z taką siłą Klemensa Dziurdzie w twarz uderzyła, że aż spąsował cały, a złotawe i gęste włosy rozwiały mu się nad głowę. Zarazem obu rękoma Nastka zwiesiła mu się na ramionach, on w pół ją objął i kręcił się potem w kółko tak długo, że już i prawidła tańca takiego długiego kręcenia się bynajmniej nie wymagały. Ale parobkowi rozognionemu zabawą i u piersi jego dyszącą piersią Nastki i tego było za mało. Krzyknął na muzykanta, aby do *kruciela* przygrywać zaczął, co gdy on uczynił, puścił się z dziewczyną swoją w ten taniec szybki i zawrotny, prawie na jednym miejscu odbywany, a przerywany przechadzką we dwoje do koła izby. Złote włosy parobka rozwiewały się nad jego głowę, kosa dziewczyny z czerwoną wstążeczką u końca latała w powietrzu, na szyi jej brzęczały szklane paciorki i przeświecające z za nich pozłacane krzyżyki i medaliki. A gdy, umęczeni zawrotnym okręcaniem się na jednym miejscu, obchodzili do koła izbę, on podnosił wysoko twarz rozpaloną i z błękitnych oczu rzucał snopy wesołych blasków, ona, ramię mu za plecami trzymając, w jednej

ręce ścisnęła sinę jego kapotę, drugą fartuszką pot z twarzy ocierała. W ten sposób dwa, trzy lub więcej razy, okrążali izbę powoli, miarowym krokiem, od czasu do czasu nogami przytupując, on do młodego dębu, ona do białokorąg brzozy podobna! Wszyscy gospodarze zwrócili się już teraz twarzami ku izbie i na tańczącą parę spoglądali. Piotr Dziurdzia, pół czarnej wódki jeszcze do ust niosąc, śmiał się swym cichym, piersiowym, poważnym śmiechem; Maksym Budrak, niedbale niby na córkę patrząc, radośnie oczyma błyskał. Mimowoli pewno dwaj sąsiedzi na siebie spojrzeli, porozumieli się wzrokiem i kiwnęli do siebie głowami.

— *Kab* tylko wola bozka była... — wymówił Piotr.

— Czemu niema być woli bozkiej? — odpowiedział Budrak.

Budrakowa, która pomiędzy gospodyniami pod ścianą siedziała i wprzódy już wychyliła była czarkę wódki, łzawiła się i zroczeniem do sąsiadek mówiła:

— Już ja tego Klemensa, jak Boga kocham, na równi z synami rodzenieńkami lubię...

W tej właśnie chwili weszli do karczmy Jakób Szyszko i Szymon Dziurdzia. Nikt na nich uwagi żadnej nie zwrócił. Już z samej odzieży, którą na sobie mieli, poznać było można, że w gromadce ludzkiej, wśród której żyli, najpośledniejsze zajmowali miejsce. Kozuchy ich były stare, bez kołnierzków, aż lśniące od brudu i zniszczenia, obuwie podarte i od wielu snadź już lat, do zimowych tylko wycieczek w mrozy i śniegi używane, czapki nawet splaszczone i z podartym w strzępy baraniem oszyciem. A cóż dopiero postawy ich i twarze! Stary Jakób trzymał się wprawdzie prosto i zawsze uroczystą jakby przybierał postawę, ale niski był, chudy, a małymi błyszczącymi oczyma patrzący na świat z pod brwi jakoś, przebiegle i razem nieufnie, z przebiegłym, nieszczerym uśmiechem na starzych, zwiedłych ustach. Co do Szymona, tego krok ociężały był i jakby nieśmiały, cera wyżółkła, oczy zaczerwienione i wiecznie mokre, a na całej twarzy miał wyraz zbieżenia, gdy był trzeźwym, a zuchwałej przekory, gdy tylko wódka zaszumiała mu w głowie. Teraz trochę tylko był podpiłym, więc, nikogo nie zaczepiając, chyłkiem prawie i nieśmiało przeszedł karczemną izbę i wraz z Jakóbem wszedł przez wąskie drzwiczki do drugiej, daleko mniejszej izby, będącej mieszkaniem arendarza i jego rodziny. Tam słychać było, jak głośno i zapalczywie rozmawiali obaj z żydem, wzajem sobie przerywając, popychając się łokciami i co chwila zrywając się do kłótni z gospodarzem miejsca tego, który, głośno i zapalczywie także u obydwojch, szczególnie jednak u Szymona, dopominał się o pieniężne swe należności. Nie przeszkodziło mu to dać im po parę czarek wódki. Szymon, swoje wychyliwszy, płakać zaczął i na gorzką dolę swoją i swoich dzieciaków wyrzekać, potem jeszcze o jedną czarkę na arendarza zawołał, a gdy ten dać jej na kredyt już nie chciał, głośno i okropnie przeklinając go, nad plecami i przed twarzą ściśniętymi pięściami mu groził. Żyd ustąpił i dał mu jeszcze wódki, pilnie czarkę każdą krędką na drzwiach zapisując. Szymon wypił, mokre jego oczy rozweseliły się i błysnęły, czapkę aż po oczy na głowę nasunął i zamaszystym, choć razem i niepewnym krokiem z karczmy wyszedł. Przed karczmą, pod gwieździstym niebem stanął i, coś do siebie mrużąc, namyślać się zdawał. Z wielkim wytężeniem oczu patrzył w stronę, w której zdaleka szarzało samotne w polu domowstwo kowala i nagle puścił się ścieżką, pod ścianami stodoły ku niemu wiodącą. Szedł, to prędko i raźnie, to znowu powoli i ze spuszczoną głową, ciągle do siebie coś niezrozumiałego mrużąc. Parę razy zatoczył się i rękoma opierał o płoty ogrodów, przed kuźnią stanął i namyślał się znowu. Zjęła go trwoga jakaś, bo rękę do czoła i piersi podniósł. Przeżegnał się i jeszcze kilkanaście kroków postąpił. Gdyby był trzeźwym, z połowy drogi wrócił-by niezawodnie, albo-by i całkiem w tamtą stronę nie szedł, ale wódka dodawała mu odwagi a ujmowała rozmysłu. Rękę na klamce drzwi położył i, raz jeszcze przeżegnawszy się, do chaty kowala wszedł. Kowala w domu nie było; Aksena w ten długi wieczór zimowy, ciepłym pieca rozgrzana, usnęła na swym sienniku. Nad siwą jej głową sterczała prząsnica ze złotawą kądzielą, tylko co upuszczone wrzeczono na szorstkiej nitce zwisało z pieca, pod ramionami jej naksztalt skrzydeł roztwartymi, skurczone, jak zziębłe ptaszyny, spały dwie małe, rumiane prawnuczki. Izba napelniona była półmrokiem i ciszą, palący się w piecu ogień krzesał błędne światelka w szybach okien, na których mróz wyrzeźbił sploty kryształowych i lśniących liści. Przed ogniem, na stołku siedząc, Pietrusia doglądała gotującej się stawy i zarazem odzież rodziny naprawiała. U stóp jej leżało kilka dziecięcych koszulek: na kolanach trzymała sukienny spencer męża, zszywając i przymocowując zdobięce go taśmy zielone. Kilka ubiegłych miesięcy zmieniło nieco

wyraz jęj twarzy, wężkiemu czołu odebrało jego dawną jasnę pogodę, a w zarys ust wlało cichy lecz rzewny smutek. Świeżę jednak była jak wprzódy, i jak wprzódy z rumieńców jęj twarzy i kształtów kibici, były młodość i siła. W twardém suknie grubą igłę zatapiając i wysoko podnosząc rękę z długą nitką, półgłosem, na przewleklę nótę śpiewała chłopską, posepną balladę:

Matka syna z cicha naucza:
«Czemu ty synku żonki nie karajesz?...»
«Oj maju, maju nahajku małuju.
I budu karaci żonku maładuju.»
Z wieczora kamora krykom zazwiniąła, A z północzy pościel hromko hawaryła,
A świtajuczy Hanulka nie żyła...

Tu śpiewaczka umilkła na chwilę, igłę nawlekła, w ogień szaremi oczyma popatrzała i, znowu nad szyciem schylona, dalej przewleklę nutę zawiodła:

„Oj maci, maci padnica u chacie,
Poradzi ciepier hdzie żonku chawaci?”
„Zawiezi Hanulu u czystoje pole,
Skażut ludzie szto Hanula pszenicu pole,
A sam skaczi na torh do Janowa...”
W Janowie braty Hanuli pochodzajuc
I u swagra sistry swajęj pytajuc:
„Hdzie Hanulu siestru naszu podzieu?”
Pryjechau do domu, „Sługi najmilejsze,
Padajcie konie mnie najworoniejsze,
Pajedu ja do Hanuli w pole,
Podajcie mnie skrypku hromku,
Zahraju ja swaju dolu horku...
Bodaj ty matko...

Z przeciąglém skrzypnięciem otworzyły się drzwi izby, Pietrusia śpiew swój przerwała i, głowę odwróciwszy, zobaczyła wchodzącego Szymona. Znała go dobrze i nie zdziwiła się, że tu przyszedł. Może z interesem do męża jęj przyszedł. Uprzejmie skinęła głową.

— Dobry wieczór, Szymonie. Jak się macie?

Nie odpowiedział nic, tylko, uczyniwszy kilka chwiejnych kroków, wprost przed nią stanął i z otworzonymi ustami wpatrywać się w nią zaczął. W bladych jego oczach tak mieszały się z sobą wyrazy ciekawości i trwogi, dzikiego pożądania i pijanego rozczulenia, że wyglądał z tém trochę strasznie i trochę téż śmiesznie. Z otwartych ust jego, w samę twarz kobiety zionęła woń wódki. Ręce w rękawy kożucha wsunął i z pomieszaniem trwożliwości i zuchwalstwa zaczął:

— Pietrusia, ja do ciebie z prośbą...

— A czego chcecie? — zapytała.

— *Kab* ty mnie *broszy* pożyczyla... Do *mirowego* dziś na sądy chodził... Długi, *każe*, zapłacić trzeba... Ziemie sprzedadzą, *każe*... Nie sprzedadzą, mówię, bo nie wykupiona, od rządu znaczy nie wykupiona. A on, długi popłacić, *każe*... ja do starszny...

Tak prawil przez długie minut kilka, po wiele razy jedno i to same powtarzając, ona słuchała go cierpliwie, szyciem swém zajęta, nakoniec podniosła głowę i zapytała:

— To i cóż ja tobie, Szymonku, poradzić mogę?

— *Hroszy* pożycz, — przystępując bliżej, powtórzył chłop.

— Niéma, dalibóg niéma, a zkąd u mnie *brosze* moglyby być. Wszyscy wiedzą, że do mężowskięj chaty w jednęj spódnicy, *taj* w podartym kaftanie przyszłam... i *on* nie ma, pobożę się, że nie ma. Dostatek w chacie, chwala Bogu, jest, ale *broszy* niéma... My jeszcze *młode* oboje... kiedyż nam było *brosze* zbierać?

— Kłamiesz! — zawarczał chłop, — *broszy* ty *majesz* pod *dostatkiem*, tyle *majesz*, ile ich twoja dusza zażąda.

I burkliwy ton na proszący zmieniając, dodał:

— Pożycz, Pietrusia, zlituj się, pożycz... co tobie szkodzi? jak ty *przyjacielu* swemu powiesz, żeby tobie więcej przyniósł, to zaraz i przyniesie...

Oczy kobiety ze zdumieniem utkwily w twarzy chłopca, którą wódka i wzruszenie, zabarwiać zaczęły ceglastym rumieńcem.

— Czy ty *sfirowsalsia?* (zwaryował) — przemówiła... — Jakież to mój przyjaciel taki, coby mnie *hrosze* według żądania nosił?

Szymon do czoła rękę podniósł, jakby przeżegnać się zamierzał, zarazem, głosem znionym od trwogi, z głupowatą miną wymówił:

— A czort-że? ha? albo to on tobie *hroszy* nie nosi, ha?

Na te słowa, kobieta jak oparzona ze stołka się zerwała, oczy jej otworzyły się szeroko, ręce gięstem obronnym przed siebie wyciągnęła.

— Co ty wygadujesz? — krzyknęła — człowieku, upamiętaj się i Boga w sercu miej...

— A *taki* nosi... — przystępując bliżej jeszcze i oczu z niej nie spuszczać, nalegał chłop. Ona śpiesznie i bardzo głośno mówiła.

— Ja w kościele ochrzczona! Mnie codzień na noc krzyżem świętym żegnali! ja grzechem śmiertelnym nijakim duszy swojej nie zgubiła.

— A taki nosi! — tuż przed nią już stojąc, powtórzył chłop, — ja sam dziś widział, jak on, ognisty taki, przez komin do twojej chaty wlatywał...

Tym razem, szeroko otwartych oczach kobiety, błysnęło przerażenie.

— Kłamiesz! — krzyknęła i czuć było, że pragnęła namiętnie, aby zaprzeczył zaraz temu, co powiedział. — Kłamiesz! powiedz, że skłamał!

— Dalibóg, widział...

Pięścią uderzył się w piersi i znowu zaczął:

— Pożycz, Pietrusia, zmiłuj się, pożycz... Już ja i na czortowskie *hrosze* zgadzam się, byle z tój gorzkiej biedy wyléźć... daj choć czortowskich... — Następowal na nią, popychał ją sobą ku ścianie, ziejącą wonią wódki, twarz swą, do samej twarzy jej przysuwał.

— Ja do ciebie, jak do matki... Pietrusia, choć ty wiedźma, ale ja do ciebie jak do matki... ratuj... niech już i na mnie ten wielki grzech spadnie... podzielim się z tobą i *hroszami* i grzechem... Ja do ciebie jak do matki i opiekunki... choć ty wiedźma, ale ja do ciebie jak do tój opiekunki...

Gniew, przestach, wstręt do pijanego tego człoka, który nałogiem swym żonę i dzieci w nędzy pogrązał, a nad jej dachem latających dyabłów spostrzegał, ogarnęły Pietrusię i obudziły w niej całą niepospolitą jej siłę. Z iskrzącymi się oczyma, nogą w podłogę uderzyła i krzyknęła: — Won! — zarazem chłopca za kożuch pochwyciła i, drzwi otworzywszy, do ciemnej sieni go wypchnęła. Nie było to rzeczą zbyt trudną. Chłop bardzo słabo trzymał się na nogach. W ciemnej sieni zatoczył się aż do drzwi podwórzowych i ztamtąd jeszcze zawołał:

— Nie dasz? *taki* nie dasz *hroszy?*

Ale żona kowala na żelazną zasuwkę drzwi sieni zamknęła. Chłop pod zamarłe okno podszedł i tam to wykrzykiwał, to mrucał:

— Ja do ciebie... wiedźmo ty... jak do matki... daj *hroszy*... *zlituj*... choć i czortowskich daj... Nie dasz? taki nie dasz? Pietrusia! słyszysz? *Mirowy* każe, długi popłacić trzeba... ja do starszyny... Starszyna każe, ziemi nie sprzedam, ale gospodarstwo sprzedam... w jednych koszulach zostanieie... oj, *horkaja* dola moja i dzieciak moich. Pietrusia słyszysz? daj *hroszy*... co tobie szkodzi? Przyjaciel twój nanosi tobie znów, wiele żądasz... Nie dasz? taki nie dasz? No to poczekajże, dam ja tobie, zgubiona dusza twoja... niewierna... nieprzyjacielu bozkiemu zaprzędana... popamiętasz!

Poszedł ścieżką ku karczmie i wsi, a idąc zwolna i chwiejnie, pięście ścisnął, w powietrzu niemi miotał i wciąż z wykrzykami gniewnymi, to z posepnym mručeniem do siebie, mówił:

— Nie dała! *taki* nie dała! zgubiona dusza jej... Panu Bogu niewierna... nieprzyjacielu bozkiemu zaprzędana... dam ja jej... popamięta...

Od paru już miesięcy, Pietrusia do wsi nie chodziła. Strach ją przejmował, gdy myślała o spotkaniu się z ludźmi i babka parę razy powtórzyła jej zlecenie, aby cicheńka była, jak rybka na dnie wody. Jednak, w tydzień przeszło po owych szczególnych odwiedzinach Szymona, wypadła jej potrzeba konieczna do Łobudów pójść. Szło o *talki*, które

dla Łobudowej uprzedła Aksena, a które koniecznie odnieść wypadało, aby dłuższém ich zatrzymywaniem wyrzutów, lub i posądzeń nie ściągnąć. O zmroku, gdy kował pracował, w kuźni Pietrusia do babki rzekła:

— Pójdę, babulo, dziś już koniecznie do Łobudów, pójdę.

Stara przemilczała chwilę, jakby jój to postanowienie wnuczki do smaku nie przypadało, potem jednak odrzekła:

— Idź, kiedy już trzeba... tylko tam ludziom nie nasuwaj się na oczy... za gumnami przejdź.

— Za gumnami przejdę — powtórzyła Pietrusia.

Siermięzkę i trzewiki włożyła, chustkę na głowę zawiązała i poszła. Aksena z dziećmi na piecu pozostawszy, w zupełnej prawie ciemności bajkę o smoku opowiadać zaczęła. Była to bajka długa i straszna, po której nastąpiła inna, tak śmieszna, że dwoje starszych aż zachodziło się od śmiechu i najmniejsza, Helenka, śmiała się także, choć jeszcze dobrze zrozumieć jój nie mogła. Malutki Adamek zaskwierczał w kołysce, Aksena Stasiukowi rozkazała, aby z pieca zszedł i brata kołysał, dziecko zsunęło się z pieca, wgramoliło się na tapczan, przy którym stała kołyska i wkrótce po ciemnej izbie, miarowy tentent biegunów, zawtórował chropowatemu głosowi baby, opowiadającej trzecią już bajkę. Wtém, pod oknami i w sieniach dał się słyszeć tentent szybko biegnących stóp, drzwi otworzyły się z trzaskiem i otwartemi snadź pozostały, bo do izby wionął strumień mroźnego powietrza, zarazem, wśród ciemności rozległ się krzyk głuchy, rozpaczą czy trwogą zdławiony.

— Jezul! ratujcie! ja nieszczęśliwa! biją już! kijami biją! Boże mój miłosierny.

Był to głos Pietrusi, która widać całém ciałem osunęła się na podłogę, bo pośrodku izby coś mocno stuknęło. Jednocześnie Aksena, która na kilka sekund oniemiała, trzęsącym się głosem przemówiła. — A tobież co, Pietrusia? a tobież co? Niech Pan Bóg zmiłuje się nad nami! co tobie?

Krzykiem i stukiem przestraszona, trzyletnia Helenka wrzasnęła płaczem, ciszej nieco zawtórował jój Adamek. Przez wrzaskliwy płacz dzieci przebił się głos ślepej baby, donośny, nakazujący.

— Nie *fiksuj*sia, (nie waryuj) Pietrusia. Światło zapal. Dzieci po ciemku płaczą.

Ciężko, że zdławionemi jękami kobieta podniosła się z ziemi, a gdy światło rozniecała i palące się luczywo w szczelinę pieca wsuwała, ręce jój trzęsły się jak w febrze. Przy drżącym blasku powstającego ognia, twarz jój z wyrazistością rzeźby wystąpiła na szare tło izby, blada jak płótno, z czołem ściągniętém w kilka fałd grubych, z oczyma buchającym płomieniem. Chustka spadła z jój głowy, splecione włosy okryły szyję i jeżyły się nad czołem, dwie tylko lzy świeciły na jój rzesach, ale głębokie łkania wstrząsały ustami i piersią. Światło zapaliwszy, obu rękoma schwyciła się za głowę i jak nieprzytomna po izbie biegać zaczęła. To z szeroko rozwartymi oczyma i rękoma nad głową, po środku izby stawała, to twarzą rzucała się na stół albo ławę, to do pieca przypadała i ku babce błagalnym jakby giestem, obie ręce wyciągała wysoko. Przytém mówiła ciągle, tak jak się mówi w gorączce, prędko, bezładnie, z nagłemi krzykami, to znowu ze znizieniem głosu aż do szeptu. W ten sposób opowiadała rzecz, której słuchając, Aksena na swym sienniku prostowała się jak struna, żółtemi szczękami coraz prędzej poruszała, a kościanemi rękoma bezwiednie może szukała głów małych wnuczek, które, milczące już, przelękłe, same się pod te ręce i do jój piersi przysunęły. Opowiadała, że do Łobudów zaszła szczęśliwie, *talki* oddała, wszystkim pokłoniła się pięknie, ale w rozmowę się nie wdając, zaraz nazad tą samą drogą poszła. Na tej drodze czatowali na nią ludzie, którzy snadź już wiedzieli, że ona tamtędy, od Łobudów wracając, iść będzie. Czatowali na nią za płotem ogrodu, za niskim płotem, przy którym, gdy przechodziła, ktoś ją kijem w plecy uderzył raz i drugi, a tak mocno, że aż na ziemię upadła. Ten, kto uderzał, był Szymon Dziurdzia, bo go dobrze choć w zmroku poznała, ale za Szymonowemi plecami rozległ się śmiech Stepana a Paraska, Szymonowa żonka, cościś o pieniądzech i kupnej spódnicy zagadała, i Rozalka przeklinała i wiedźmą ją nazywała i jeszcze ze dwoje ludzi śmiało się i gadało, ale ona już nie wie kim byli, bo zerwała się z ziemi i co sił dalej pobiegła. A oni przez płot na ścieżkę przeleźli i ku karczmiu sobie poszli, nie uciekając pomału, jakby nic. Bili! kijami już bić zaczęli! co ona pocznie? Za co to na nią przyszło?

Plakała teraz rzewnymi łzami, ręce łamała, widać było, że trwoga straszna mąciła jój rozum i odbierała wolę. Na piecu zaszemrał szept starój.

— Parobku Prokopku... oj, parobku Prokopku... czemu ja sobie teraz gadanie i lzy matki twój Prokopichy, znów przypomniała?

Białe oczy pośród żółtej twarzy szerzej rozwarła i tym samym co wprzód nakazującym głosem przemówiła:

— Klękaj i pacierz głośno mów...

Rozkazywała tak, jak gdyby wnuczka jój malutką jeszcze dziewczynką była, a ona słuchała też jój jak dziecko. Wnet uklękła.

— Nie tak — przemówiła stara — nie tak. Helenkę z pieca zsadź, Adamka na ręce weź, starszych do siebie zawołaj... ogarnij dzieci rękoma i Najwyższemu Bogu je pokazuj... Pacierz mów i dzieci Bogu pokazuj... Ty matka... niech Bóg Najwyższy lituje się nad dziećmi...

Z senném niemowlęciem na jedném ramieniu a drugiem ogarniając małego chłopca i dwie mniejsze odeń dziewczynki, młoda kobieta klęczała pośrodku izby, a słowa modlitwy ze zmąconej pamięci jój uciekały i na drżące usta nie przychodziły. Ślepa baba chropowatym swym i trzęsącym się głosem zaczęła.

— Ojcie nasz, któryś jest w niebiesiach, *świaćsia* imię twoje, *pryjdz* królestwo twoje, *budz* wola twoja...

Wtórował jej słaby zrazu, potem coraz wyraźniejszy głos młodej kobiety. Jednogłośnie, żarliwie wymówiły: *Amen*, poczem stara wyrzekła:

— Nu, wstań! może Pan Bóg Najwyższy posłyszał..

Ciszój dodała:

— I dzieci zobaczył...

Chwilowa cisza zapanowała w izbie. Pietrusia niemowlę do kołyski kładła, starsze dzieci skupiły się w kącie izby, tak szczelnie jedno do drugiego przytulone, jak przestraszona trzódka owiec.

— Gdzie Michalek? — zapytała Aksena.

— W kuźni.

— Nie wie, co tobie *przytrapiło* się...

— A nie wie...

Parę miesięcy temu, z żalem swym i strachem, tak jak z radością i weselem, biegła-by wprost do męża, przedewszystkiém i bez namysłu biegła-by do niego. Ale teraz! o! z inném on już sercém dla niej niż dawniej... Nie można już jój ze wszystkiém do niego biedz. Wiara jój w jego lubienie przepadła, codzien więcej przepadała, a tam gdzie była jój słodczy, robiło się tak gorzko, jakby ją naprzykład przysypał ktoś garścią piekącej gorczycy.

— Chodź do mnie, *ditia*, pogadamy...

Od kołyski odeszła, na tapczanik wskoczyła a zamtąd łatwo już jój było na brzegu pieca usiąść. Siedziały naprzeciw siebie; białe oczy ślepej baby zdawały się z wytężeniem wpatrywać we wzburzoną i splakaną twarz młodej kobiety. Po dość długim namyśle, Aksena zaczęła.

— Pietrusia! toż to jutro wielkie święto.

— Ale, babulo.

— Toż to Niepokalane poczęcie Przenajświętszej Maryi Panny, wielki fest w kościele i wielki targ w miasteczku,

— Ale, babulo.

— W kościele odpust święty a na targu będzie *narodu* chmura. I z Suchej Doliny gospodarze pojadą do kościoła i na targ.

Znowu dość długo milczała, myśli swe i plany jakieś, zdając się żółtymi szczękami przeżuwać.

— Posłuchaj — rzekła — już tobie niema innego ratunku, tylko do Pana Boga udać się i u niego o świadectwo przed ludźmi poprosić. Niechaj o tobie Pan Bóg zaświadczy, żeś nijakim grzechem śmiertelnym duszy nie zgubiła. Do kościoła idź, przed Panem Jezusem krzyżem leż, spowiadaj się i komuniją przenajświętszą przyjm... Słyszysz?

— Słyszę, babulo, dobrze babulo, zrobię jak doradzacie.

— Ale. Jak wypowiadasz się a od księdza komunie przenaświętą przyjmiesz i sama pocieszysz się i ludziom wszystkim pokażesz, że nieprzyjaciółką boską nie jesteś. Niechaj zobaczą, że, do Pana Boga, krzyżem leżąc, modlisz się i że tobie ksiądz komunii przenaświętą nie odmówił. Kiedy to zobaczą, poznają, że ty nie taka, jak oni wymyślili i że śmiertelnego grzechu, ani żadnego ważnego przestępstwa na tobie przed Panem Bogiem niema. Pan Bóg Najwyższy sam tobie dobre świadectwo wyda...

— Dobrze, babulo, dobrze — znacznie uspokojona powtórzyła Pietrusia i, zmęczoną głowę na kolana babki pochylając, kościaną rękę jej pocałowała. Ona tą ręką zaczęła ją po włosach gładzić. Milczały obie. Potem młoda kobieta ozwała się znowu.

— Franki poproszę, aby chaty i dzieci dopilnowała i strawę zwarzyła, a sama o świtanie do miasteczka pójdę.

— Może i Michałek pójdzie?

— Pewno nie pójdzie. Do dworu tego pójść jemu trzeba, z którego tę dużą robotę ma wziąć.

— Dobrze było-by, żeby poszedł. Razem by pomodlili się i wypowiadali, żeby dawniejsze dobro wróciło...

Znowu milczały, w myślach pogrążone. Dzieci w kącie szeptać pomiędzy sobą zaczęły i z głośnym chrupaniem jeść surową brukiew, którą Stasiuk gdzieś w sieni zarzuconą znalazł. I nikt nie zwrócił uwagi na męzkie kroki, które ozwały się za drzwiami. Kowal do izby wszedł, a Pietrusia, wtedy dopiero głowę z nad kolan babki podniosła. Na twarzy Michałka nie malowała się już uprzednia wesołość bez troski, ni cienia. Niezadowolenie i niepokój przyćmiewały blask jego czarnych oczu, wargi pod czarnym wąsem nieco wydęte objawiały skłonność do wyrzutów i gniewu. Dzieci, które rzuciły się ku niemu po głowach pogłaskał i, obejrawszy się po izbie, zdziwionym głosem zawołał.

— A toż co? toż to wieczery jeszcze i *zawodu* (zaczętku) niema!

Istotnie, smołniak tylko rzucał na izbę skąpe i chwiejne światło, w czarnym, głębokim otworze pieca, ognia nie było.

— O, Jezule! — z pieca zeskakując, krzyknęła Pietrusia — toż to ja dziś o wieczery zapomniałam, na śmierć zapomniałam!

I z takim pośpiechem, że aż ręce jej drżały poczęła ogień rozniecać i w garnki nalewać wodę. Piérwszy to raz w życiu zdarzyło się jej o domowych zajęciach zapomnieć a przyczyny zapomnienia tego mężowi powiedzieć nie mogła. On też o nią nie zapytywał. Usiadł na ławie i rzekł tylko.

— Już chwala Bogu o jedzeniu dla męża zapominasz, a dzieci surową brukiew z twojej łaski gryzą... jakby im żebrak jaki był ojcem.

Wziął na kolana Stasiuka, brukiew mu z rąk odebrał i w kąt izby ją cisnął. Wymówka którą uczynił żonie ostrą nie była, ale kobieta wolałaby może, aby się rozgniewał, a potem znowu przyjaźnie do niej zagadał. Ale on już do niej nie przemówił więcej i tylko do dzieci odzywał się czasem. Śpieszyła z wieczrą, krupy do garnka sypała, jaj trochę przyniosła i urządzać zaczęła jajecznicę ze słoniną, aby móżdż jak najprędzej cokolwiek mężowi podać. Aksena, do męża wnuczki, kilka razy zagadywała: a co dziś w kuźni robił? a kogo widział? A czy jutro na fest pojedzie? On zbywał ją zawsze parą słowy, w których ani niegrzeczności, ani też życzliwości nie było. Jeżeli co mówił, to ot tak, byle zbyć z roztargnieniem i mrukliwie. Pietrusia, zapalając lampkę, urządzając a potem i podając wieczrę, ruszała się żwawo, pośpiesznie, a jednak wyglądała jak nieżywa. Z ust ani pary nie wypuszczała, chód jej był cichy i lękliwy; przed mężem stając, powieki spuszczała. Widać było, że gdy on na nią patrzył, drętwiała cała z bojaźni. Wiedziała przecież dobrze, że bić jej ani nawet łajać nie będzie. Czegoż więc lękała się? Może spójrzenie jego, które, gdy na nią patrzył, stawało się dziwnie przenikliwem, czasem rozgniewanem, a czasem tak smutnem, że, dostrzegłszy je, płacz powstrzymywać musiała. Coś pomiędzy nimi murem stało. Ona dobrze wiedziała, co to było. Jako rzemieślnik bardzo przez ludzi używany, Michałek, ciągle z ludźmi się widywał i bywał wszędzie, gdzie oni bywali, i słyszał wszystko, co oni mówili. Ciekawy i rozmówny, tyle zawsze o wszystkiem wiadomości posiadał, że niektórzy, śmiejąc się, mawiali o nim, iż słyszy jak trawa rośnie. Słyszał więc témbardziej to, co tyczyło się jego żony i domu. Raz w bójkę, a kilka razy w srogą kłótnię wprowadziły go te gadaniny ludzkie o Pietrusi. Potem już klócić się przestał i głuchego udawał, ale

co działo się w jego sercu, to zdradzały wyraziste rysy jego twarzy i wypowiadały wyraziste także, skrytości nie nauczone, oczy. Miał wiele ambicji; przez nią to głównie tak gorliwie pracował, chatę swą przyozdabiał i wszelkim dostatkiem napełniał, o oddaniu kiedyś Stasiuka do szkoły, marzył. A tu, spotykał go wielki wstyd! Przytém, kto wie, jakie tam jeszcze przypomnienia i powątpiewania po myśli jego błędziły? Wierzyć, nie wierzył w prawdę tego, co ludzie o żonie jego gadali; przecież patrzył na nią tak, jakby ją wzrokiem na wskrós przeniknąć pragnął, a zbliżenia z nią, jakby instynktem jakimś od niej odpychany, unikał. Czasem przecież tkliwość jakaś podnosiła się mu z serca do gardła i oczu, a wtedy stawał się taki smutny, jakby z ojcowskiego pogrzebu powracał. Nigdy jednak okazać tego nie chcąc, stosownie do pory, w której się to zdarzało, albo z domu wychodził, albo co najprędzej spać się kładł. Teraz, Pietrusia, jajecznicę na stole postawiwszy, stanęła na przeciw niego i ze spuszczonej powiekami czekała, aby jęć sobie na talerz nabrał, resztę chcąc dzieciom i babce rozdać. On, cynową łyżką w misce napełnionej jajecznicę pograżając, utkwiał w niej wzrok, przenikliwy i razem trochę żalósny.

— Oj, Pietrusia! Pietrusia — kiwając głową, zaczął — co tobie stało się? do czego ty teraz podobna? Włosy masz takie rozczochrane, jak żebyś z kim była się, a oczy spuchnięte od płaczu. Czego płakałaś? ha?

Nic, nie odpowiadając, odwróciła się prędko i stanęła przy ogniu, plecami do niego zwrócona. To milczenie, którym odpowiadała na serdeczniejsze pytanie jego, obraziło go widocznie, bo gdy mu chleba pod ręką zabrakło, podniesionym i grubym głosem krzyknął...

— Chleba daj! słyszysz? Czego tam stoisz z opuszczonymi rękoma, jak pani jaka!

A gdy oddała mu żadaną usługę, krzyknął znowu:

— Dzieciom daj jeść! Nie żebraki one, żeby, przez czort wie jaką matkę, do północy głodne być musiały.

Była to już obelga i najboleśniejsza, bo macierzyńskiemu sercu jęć zadana, a ona i na to nie odpowiedziała nic. Jedzenie babce i dzieciom rozdała, naczynia od wieczerzy wymyła i na półce poustawiała, stół starła, smolniak i lampę zgasiła i, na tapczaniku usiadłszy, nad kołyską schylona, Adamka, który obudził się, piersią swą nakarmiła. Ogień w piecu palił się jeszcze trochę i w izbie panowało ruchome pół światło. Aksena na swym sienniku nieruchomo u wierzchołka pieca leżała. Spała, czy nie spała, ale milcząca i nieruchoma leżała. Dzieci natychmiast po wieczerzy usnęły. Michałek spać nie szedł. Przy wieczerzy jadł dużo, potem, na stole rozparty, papierosy jeden po drugim palił, parę razy nawet zagwizdał coś sobie pod wąsem. Na pozór więc, nie dolegało mu nic. Jednak do snu zabierać się ani myślał. Papierosy wciąż palił i z czołem na dłoni opartém dumał. Pietrusia kołyskę poruszać i niemowlęciu do snu nucić zaczęła. Nie śpiewała, ale nuciła półgłosem, na nutę monotonną, przewlekłą, która, w głębokiej ciszy i chwiejnym półświecie, płynęła i kołysała się jak smutna, nieśmiała fala. Niemowlę usnęło, kobieta wstała z tapczana i bosemi nogami, cicho do męża podeszła. Cicho też przemówiła.

— Michałek!

— Ha? — głowę z nad dłoni podnosząc i na nią patrząc, zapytał.

— Ja chcę jutro o świtanu do miasteczka iść...

— Czego?

— Do kościoła na odpust. Frankę poproszę, aby chaty i dzieci popilnowała.

Patrzył na nią ciągle, ale wyrazu oczu jego w zmroku widzieć nie mogła.

— Czemuż to tobie tak do kościoła zachciało się? — zapytał.

Po chwilowém milczeniu odpowiedziała.

— Wyspowiadam się i komunię przenajświętszą przyjmę. Niech mnie sam Pan Bóg Najwyższy przed ludźmi dobre świadectwo wyda...

Łkania powstrzymywała i lzy, które gradem stoczyły się na policzki fartuchem otarła.

— Znowu płaczesz — zauważył Michałek — ot płaksywa ty teraz zrobiła się... ze wszystkim nie taka jak była...

— Nie taka — powtórzyła kobieta, a po chwili nieśmiało dodała. — I ty nie taki jak był...

— A nie taki — potwierdził mąż.

W krótkich tych słowach, którymi wspólnie zeznawali przed sobą zepsucie się szczęścia dawnego, brzmiała głęboka żalność. On wciąż przyglądał się jej bacznie.

— Taki doprawdy wypowiadasz się jutro i komunią przenajświętszą przyjmiesz?

— A jakże — odpowiedziała i zrobiła ruch do odejścia. Ale on na nią zawołał.

— Pietrusia.

— A co?

— Siadaj przy mnie, pogadamy.

Zdziwiona i nieśmiała usiadła przy nim na brzegu ławy. On mówić zaczął.

— Posłuchaj, Pietrusia. Czy to my już zawsze tak z sobą będziemy żyć, jak te nieme stworzenia... Tego tylko braknie, żebyśmy zaczęli takie zgorzenie i taki śmiech ludziom robić, jak nie przymierzając Stepan Dziurdzia i jego żonka... Tak nie można, Pietrusia. Tak nie trzeba. Ty matka dzieci i ja ciebie szanować muszę...

Słuchała go tak chciwie, jakby każde słowo jego wyrokiem dla niej być miało, a gdy umilkł ręce na fartuchu rozłożyła i szepnęła:

— To i cóż ja zrobię, kiedy ty, Michałku, lubić mnie przestał...

Wymówiwszy to, widocznie na odpowiedź, z przyśpieszonym oddechem czekała. Ale kowal nie odpowiedział nic. Sapnął głośno, westchnął, kawałek niedopalonego papierosa na środek izby rzucił i, znowu głowę ręką podparszy, milczał. Wtedy ona, nie doczekawszy się zaprzeczenia słów, które wymówiła, ze stłumionym jękiem osunęła się na ziemię i namiętym szepciem mówić zaczęła.

— Michałku, lubku, już ja dawno widzę, że ty mnie lubić przestał, że ja tobie zrobiłam się niemiła, że ja tobie jestem ot tak, jak ten ciężki wór na plecach, albo ten kamień, żeby go do nogi przywiązać... Niema twojej wesołości! niema twego gadania! niema twego śmiechu! Żalony ty czasem taki, że kiedy na ciebie patrzę, wołała-bym już pod ziemią leżać... Żaluję ja ciebie więcej jak życia własnego i nie chcę, żebyś ty przeze mnie marnie przepadał... kiedy ty mnie nie lubisz, to pójdę ja sobie z chaty, od ciebie, w szeroki świat pójdę, dokąd oczy poniosą... Babuli tylko do śmierci dopatrzysz... nie dużo już jej na tym świecie przebywać zostało i jedno dziecko wziąć mnie pozwolisz... na pamiątkę, oj, na pamiątkę jedyną! Jak babula ze mną kiedyś po świecie chodziła, taj na nas dwie pracowała, tak i ja z dzieciątkiem swoim chodzić będę, taj na oboje nas zapracuję... A jak zajdę gdzie daleko, het daleko, aż na skraj świata, to i wieść o mnie na zawsze przepadnie, ludzie pomyslą, że już między żywymi mnie niema, a tobie wolno będzie wziąć sobie żonkę inną i gospodynią inną i wszystko sobie według woli robić... Lubku, Michałku, pójdę ja sobie od ciebie, pójdę ja sobie z chaty od ciebie, na skraj świata pójdę, z jednym dzieciątkiem swoim... kiedy ty mnie już nie chcesz... oj pójdę...

Mówiąc to kolana jego obejmowała i czoło ku nim schylając, usta do nich pocałunkami przykładła. Ale gdy czasem głowę podniosła, to na jej twarzy, pomimo nieznutowanego żalu, tyle malowało się szczerości i siły, że zdawać się mogło, że ot, zaraz, zaraz zerwie się z ziemi, dziecko którekolwiek w ramiona pochwyci i z chaty wybiegnie... Nie zerwała się jednak z ziemi sama, lecz podniosły ją i na ławie posadziły dwa męzkie ramiona. Ramię jej, jak w kleszczach, w ogromnym ręku swém ściskając i widocznie zmuszając się do śmiechu, kowal mówić zaczął:

— Co ty pleciesz? co ty wygadujesz? Ej, jaka durna czysta waryatka! Z chaty ona pójdzie! na skraj świata pójdzie! Albo to ja puścił-bym ciebie z chaty! Ot prędzój rozstał-bym się z tém życiem...

W mgnieniu oka u szyi jego uwiśla.

— To ja tobie widać nie bardzo niemiła...

— Ty mnie tak samo miła jak wprzódy...

Przy padającej na nich smudze bladego światła, w twarze sobie zblizka popatrzeni. Ona zobaczyła, że to, co powiedział prawdą było i oczy jej oschły z łez, zaświeciły, stały się znowu takie wesołe, szczere i wymowne jak dawniej.

— Oj ty, ty pleciucho! czy ty myślisz, że ja lotr jaki albo rozbójnik, żebym tak już od razu wszystkiego zapomniał i serce odmienił? Czy ty u cudzych ludzi horując i ludzkie pośmiewisko znosząc sześć lat, na mnie nie czekała i dla mnie bogatym gospodarzem nie wzgardziła?

— Ale — szepnęła kobieta.

— Czy ja ciebie zbrudzoną wziął albo jakkolwiek upośledzoną? Czysta ty była i bez plamy nijakiej, jak ta szklanka w krynicznej wodzie wymyta, hoża ty była i wesoleńka, jak ten ptak, pod niebem latający...

— Ale...

— Siedm latak ja z tobą żył i aż póki na nas nieszczęśliwe czasy nie przyszły, jednego smutnego dnia nie przeżył, złości na twojej twarzy nie widział, złego słowa od ciebie nie słyszał...

— Ale...

— Dzieciak ty mnie czworo urodziła i z pilnością hodowała, gospodarstwa strzegła i rąk nie zakładała, dostatku wszelkiego przymnażając...

— Ale...

— Nu, to widzisz! dlaczegoż-bym ja ciebie lubić przestał? Oj, ty głupia! z chaty ode mnie iść chciała... a ja by za tobą poszedł, dogonił i wtedy-by już wybił... dalibóg, wtedy, wtedy to już był-by tobie *szabasz!* wybił-bym, nazad zawrócił i w chacie posadził. Siedz, babo, kiedy ci dobrze! Ot!

Wraz z ostatnim wyrazem rozległ się po izbie głośny pocałunek. W same usta ją pocałował, w pól objął i zapytał.

— Nu, teraz mów, czego dziś tak płakała, że aż oczy zapuchły? Czy znowu ci kto co przykrego zrobił? ha?

Upewniona, że lubi on ją tak jak i dawniej, z oczyma błyszczącymi od szczęścia, chwilę jeszcze wzbraniała się ze zwierzeniem. Ale stare przyzwyczajenie mówienia mu wszystkiego przemogło, ręką twarz ze wstydu zakrywając, ale już nie płacząc, opowiedziała mu swoją straszną, dzisiejszą krzywdę. Michał z ławy się zerwał i pięścią w stół grzmotnął.

— Zabiję! — krzyknął — na śmierć łajdaków tych zabiję! Czego oni do ciebie przyczepili się, lotry te, chamy...

Chamami chłopów nazywał, jakby sam nie był chłopem... Istotnie, miał siebie za coś już nieco wyższego nad sferę, do której z urodzenia należał. Pietrusia przyczepiła mu się do ramion, błagając aby nikogo nie bił i nawet nie zaczepiał. Z żyłą na czole nabrzmiałą i błyskawicami w oczach siadł na ławie, sapał, papierosa z porywczymi gośćmi rąk zapalał. Potem kłęby dymu z ust wypuszczając, sarkał jeszcze.

— Durne chamy! żeby w takie głupstwa wierzyć! ja nie wierzę, dalibóg nie wierzę żeby na świecie jakie wiedźmy były... Czasem i mnie przechodziło przez głowę, że to może być prawda... zwyczajnie... pomiędzy głupimi i najmędrzy człowiek czasem zgłupieje... Ale *taki* wiem dobrze i rozumiem, że to wszystko bajki. Ciemny *naród* i koniec! To swoją drogą a bieda swoją drogą! I wstyd, wstyd mnie jak pijakowi, albo oberwańcowi jakiemu bić się z chłopami po karczmach i drogach a i nic to nie pomoże... Durniom głupoty ich z głów nie powybijasz, żebyś nie wiem jak bił... Co tu robić?

— Jutro przed wszystkimi wypowiadam się i komunią przenajświętszą przyjmę, — szepnęła Pietrusia.

Michał ręką machnął.

— Co to pomoże? jeden zobaczy, a drugi na odpusćcie w ścisku, i nie zobaczy. Kto był ze złą wolą dla ciebie i z zawiścią, ten tak i pozostanie. Zmarnujesz się w dokuczaniu ludzkim, a jeszcze kiedykolwiek znów cię tak skrzywdzą, jak ot dziś... Niech Pan Bóg broni...

Ręką sobie mocno twarz całą przetał, a potem nad głową włosy rozrzucać zaczął.

— Chyba zabrać się, chatę i gospodarstwo rzucić i w świat iść... — zamruczał.

— Chatę i gospodarstwo rzucić! — krzyknęła Pietrusia.

— To cóż! cóż to ważnego? — odpowiedział.

Jednak, oczyma, które wilgocią zaszyły, dokoła izby wodził. Miłą mu była ta chata jego, ciepła, dostatnia, wystrojona we wszystko, co do niej przez tyle czasu, jak ptak do gniazda przynosił! Miłym też był ten poojcowski ziemi kawał, na którym po długiej żołnierskiej tułaczce, z radością w duszy osiadł! Po długiej chwili milczenia, szyję żony objął i zaczął:

— Żeby mnie tutaj źle było żyć, poszła-by ty za mną gdzieindziej?

— A jakże! — krzyknęła Pietrusia.

— No, to kiedy tobie tutaj źle, ja z tobą pójdę gdzieindziej. Ziemię w arendę oddam, tak jak wtedy, kiedy do wojska szedłem; a z rzemiosłem moim cały świat choćby obejde,

a chleba ani nam, ani dziadkom naszym nie zabraknie... W miasteczku, gdzie osiadę i kuć będę, a ciebie krzywdzić nie dam i jeszcze broń Boże, bić...

Kobieta pochyliła się i ręce jego całować zaczęła.

— Jaki ty dobry, oj, jaki ty dobry... lepszego już chyba na całym świecie niema... Ja w twojej twarzy zobaczyłam i w twojej mowie posłyszałam i w całym tobie rozpoznałam, że ty taki dobry... Dla tegoż ja ciebie tak i polubiła, na zawsze, aż do śmierci, że mnie już nigdy żaden człowiek inny miłym nie był i że bez twego lubienia mnie, tak jak bez tego słońca grzejącego i bez tej wody pojącej...

Wyprostował pochyloną jej kibić i objął ją ramionami.

— Idź jutro do miasteczka, mszy świętej wysłuchaj, spowiadaj się, a po nabożeństwie do mojej siostry Hanuli, co tam za mężem, za felczerem jest, zajdź i rozpytaj się u niej, czy dobrze-by mnie było w miasteczku osiąść... Znaczy, z rzemiosłem mojem osiąść... czy tam kowala potrzebują, a jeżeli tam nie potrzebują, to ja sobie może zgodzę się w tym dworze, do którego jutro o robotę umawiać się pójdę. Wielki dwór i wielki majątek... zawsze kowal tam był, a teraz niema, może mnie zechcą. Chciał-bym ja z tobą na odpust pojechać, ale do tego dworu trzeba... To idź ty już sobie jutro w swoją drogę, a ja pójdę w swoją, a potem nie bawiąc, babulę i dzieci na wóz zabierzem i *bajda*, w drogę! Ot tobie i droga zamierzana. Pójdiesz ty w świat, lepszego szczęścia u ludzi szukać, tylko nie sama jedna, ale ze mną, z babulą i ze wszystkimi dziećmi, i z moją pracą także, z której wszędzie dobry kawałek chleba wyniknie...

— Dziękuję, Michałku, oj dziękuję tobie za wszystką twoją dobroć... Żebym tak mogła, to zdaje się, cała-bym przemieniła się w dziękowanie...

VII

W miasteczku, o sześć wiorst od Suchej Doliny odległym, przez cały ranek świąteczny, nad wielkim gwarem targowego rynku, biły rozgłośnie dzwony kościelne. Na rynku ludzi było jak mrowia i wszelkich zwierząt mnóstwo. Sprzedawano tam i kupowano: konie, krowy, woły, cielęta, zboże, płótna, jaja i mnóstwo innych produktów małej własności. Sanie stały tam przy saniach, dotykając się szczelnie, albo nawet płozami na płozy wjeżdżając, zwierzęta i ludzie stłaczali się w ruchome kłęby, krzyk rozmów, kłótni, przekleństw, targów, rżenia koni, ryczenia bydła, był ogromny, i wielka pstrocizna ubiorów i twarzy męzkich i kobiecych, chłopskich, żydowskich i mało-szlacheckich. Cztery Dziurdziowie przybyli też na targ, każdy ze swoim. Piotr i Klemens przywiedli na sprzedaż konia i krowę, Stepan dwuletniego wolika, a Szymon przywiózł parę ośmin żyta i grochu. Wszystko jedno: opiszą i sprzedadzą, lepiej mu więc było chwycić i na swoją korzyść sprzedawać, co się dało. Mnóstwo ludzi, po zmówieniu kilku pacierzy, odprawiało baby do kościoła i zostawało przy swoich saniach i towarach. Piotr dobro swoje powierzył pieczy syna, a sam skierował się ku niewielkiemu białemu kościołowi, z którego szczytów leciała muzyka dzwonów, a z wnętrza dochodziły chóralne śpiewy, towarzyszące procesji. W nieobszernej kruchcie ścisk był taki, że powolny i uroczyste nastrojony chłop, zaledwie zdołał przebić się do kościelnego progu i parę kroków jeszcze dalej postąpić. Tu, szerokie plecy w kozuchach stanęły już nieprzepartym murem, lecz po przez kudłate czupryny męzkie i nad kobiecymi, odświętnie ustrojonymi głowami, mignęło mu złoto niesionej pod baldachimem monstrancyi zaponsowiały pelerynki kościelnej służby, błysnęły płomyki świec, górą fruwały chorągwie. Organy grały i kilkaset głosów chórem śpiewało. Piotr chciał uklęknąć, ale z powodu ścisku uczynić tego nie mogąc, głowę pochylił i pięścią ściśniętą potężnie bił się w piersi.

— Ojciec niebieski, królu ziemski, odpuść nam ciężkie grzechy nasze...

Modlitewkę tę wymyślił sobie sam w porze owiej, gdy go skrucha wielka za krzywdę matce rządzoną ogarniała i odtąd powtarzał ją zawsze, ilekroć był już bardzo nabożnie usposobionym. Rozpoczęła się suma. Piotr ze schyłym nieco grzbietem wznosił oczy w górę i wpatrzył się w widziane po nad głowami tłumu rzeźby wielkiego ołtarza. Były to jakieś gipsowe wieńce i arabeski, nad którymi stało kilka drewnianych posągów z krzyżami, z wielkimi księgami, z rękoma powyciąganymi groźnie, błogosławiąco lub modlitewnie. Oczy chłopca napęły się miękkiem zamyśleniem, usta jego poruszać się przestały. Przypominał może wszystko, co kiedykolwiek, na ten sam ołtarz patrząc, prze-

cierpiał i uprosił, skruchy i trwogi swego sumienia, choroby synów, zgryzoty wszelkie i pociechy, a uspokojenia. Może też nad ołtarzem i wieńczącymi go posągami świętych, pod samém sklepieniem świątyni, szukał wzrokiem blasków tych i świetności, w jakich mętnie przedstawiało się wyobraźni jego królestwo niebieskie. Długo tak wzrokiem po wysokościach błędził i wdychał raz poraz.

— Ojczy niebieski, królu ziemski, opiekunie ludzi...

W bladawej twarzy jego, wzniesionych oczach i głośnym, wdychającym szepcie, wiele było tęsknoty, wdzięczności, pokory. Wtém organy grać przestały i w uciszonym kościele zabrzmiało donośne: W imię ojca i Syna... Rozpoczęło się kazanie. Piotr z miejsca swego widział dokładnie na wysokości mównicy stojącego księdza, śnieżną jego komżę i czerwoną u piersi wstęgę; chciwie słuchał słów, rozchodzących się po kościele, ale nie wszystkie czyniły na nim wrażenie jednostajne. Były takie, które w nim nie budziły żadnych uczuć ni pojęć i takie, które wzruszały go do głębi. W długim wstępie kapłan opowiadał ludowi o dobroci Boga i złości szatana. Przy wspomnieniu o pierwszej, twarz chłopca tak wyglądała, jakby spływał na nią promień ideału. Miękkła, wypogadzała się, pokrywał ją wyraz błogości i rozczulenia. Lecz gdy w powietrzu zabrzmiała nazwa szatana, gęste brwi jego zbiegały się nad oczyma, usta drgały trwożnie czy gniewnie, i poruszał się cały tak, zupełnie, jakby go ogarniała żądza splunięcia. Powściągał się przecież przez wzgląd na świętość miejsca.

Ogromny rumor kolan ludzkich, padających na cegły posadzki. Organy grają znowu. Przy ołtarzu wznosi się śpiew melodyjny i błagalny, szepty i westchnienia falami szmeru płyną. Piotr gwałtownymi ruchami łokci, miejsce swe rozszerzył, na klęczki upadł, do posadzki kościelnej ustami przygłnął i głośno zaszeptał:

— Niechaj siła bozka przewycięży siłę szatana...

Wtém ktoś go mocno w łokieć trzącił. Obejrzał się i zobaczył schyłego nad sobą Klemensa. Parobek szeptał mu w same ucho.

— Tatku! starszyna konia chce kupić... nie wiem sam co zrobić...

Odrzącił syna ramieniem i znowu pochylał się nad ziemią, ale Klemens za kożuch go pociągnął.

— *Chadzi*, tatku, a to targ stracim...

— *Skaży* starszynie, żeby sam do kościoła szedł i ludziom Panu Bogu modlić się nie przeszkadzał...

Powiedział to takim tonem, że Klemens nie nalegał dłużej, przyklęknął, przeżegnał się, dwa razy ziemię pocałował i z kościoła wyszedł. Ale Piotr nie odzyskał już uprzedniego nastroju ducha. Coś go korcić i niepokoić zaczęło. Ramionami wzruszał, oglądał się, nakoniec z klęczek powstał i kilka razy jeszcze uderzywszy się w piersi, kościół opuszczał. W kruchcie spotkał się ze Stepanem, który palce w wodzie święconej zatapiał.

— A co tam z moim koniem słyhać? — z widocznym niepokojem zapytał.

— Starszyna go u Klemensa zatargował. *Idzi chudko*, a to targ stracisz...

Stepan także niedługo zabawił w kościele, bo jeszcze wolika swego nie sprzedał; Szymon pomodlił się tylko przed kościelnymi drzwiami i copędzję z pieniędzmi za żyto i groch otrzymanymi, do karczmy pociągnął. Żaden z nich nie dotarł do środka kościoła, ani témbardziej do wielkiego ołtarza, gdzie mnóstwo ludzi spowiadało się przy konfesyonałach, a potem przed balustradą w oczekiwaniu komunii klękało.

Na godzinę przed zapadnięciem zmroku, rynek targowy opróżniać się zaczął, natomiast coraz więcej sań i koni zgromadzało się u wrót obszernej, murowanej karczmy. Dla ludzi, którzy przez dzień cały modlili się i ziębli w kościele, ziębli także, sprzedając i kupując na rynku, koniecznością prawie było, przed puszczeniem się w drogę do domów, wejść na chwilę w ciepłe jakie ściany, ogrzać się i głód zaspokoić. Przed karczmą tedy, której brama owalnie wykrojona i cały budynek wszcz przeryniająca, miała pozór czarnej otchłani, na placu twardym od mrozu, śniegiem usłanym, słomą zasypnym i zamrzniętymi kałużami lśniącem, stało mnóstwo sań i koni, których głowy i szyje niktęły całkiem w przywiązanych do nich worach z obrokiem.

Izba karczemna znacznie tu była większą niż w Suchej Dolinie. W miasteczku na znacznie większą ilość gości rachować musiano niż w wiosce. W dnie takie szczególnie, jak dzisiejszy, zgromadzało się ich mnóstwo. Na rozłożystym kominie palił się wielki ogień, ludzie tu wchodzący stawali przed nim, rozgrzewali zmarznięte ręce, dla rozgrzania nóg,

uderzali stopami o podłogę, a potem ku stołom, ściany otaczającym, idąc, zdejmowali z pleców płócienne, na sznurkach zawieszone, worki. Wszyscy prawie worki takie posiadali. Znajdowała się w nich żywność, na dzień cały z domu przywieziona. Gatunek jój i ilość zależały od względnej zamożności każdego z popasających. Jedni z woreczków swych wyjmowali tylko kawały czarnego chleba, szczypty soli i odłamy twardego sera; inni, oprócz chleba i soli, mieli jeszcze słoninę, kiełbasy, jaja ugotowane na twardo. Byli tacy, którzy do jedzenia szeroko rozsiadali się na ławach, i tacy, którzy jedli, chodząc, lub stojąc. Tłum wzrastał, gwar stawał się ogłuszającym, zewsząd słychać było wołanie o wódkę, miód, piwo; żydzi różnego wieku, rodzinę karczmarza składający, nieustannie przewijali się wśród tłumu z blaszanymi półgarncówkami, kwartami, czarkami, ze szlankami z zielonego szkła, z glinianymi miskami, pełnymi kwaszonych ogórków i śledzi, któremi chłopci przekąsywali wódkę. Znajdowali się tu mieszkańcy wielu oddzielnych wsi, ale prawie wszyscy do jednej gminy należący. Prawie wszyscy też znali się pomiędzy sobą zblizka, albo zdaleka i zaczepiali się wzajem rozmowami o dzisiejszym targu, o poniesionych stratach lub zyskach, o różnych okolicznościach gospodarstw swych i rodzin. W głębi izby starszyna, najwyższy urzędnik gminy, chłop niemiłody, z długą rudą brodą i w czarnej baraniiej czapce, po same oczy na czoło wsuniętej, dość liczną kompanią miodem częstował. W poczęstunku tym, oprócz ludzi innych, udział brało kilku mieszkańców Suchej Doliny, a pomiędzy nimi najważniejszą rolę odgrywał Piotr Dziurdzia, albowiem okazy do poczęstunku dostarczył koń przez niego starszynie sprzedany. Rozmowa też toczyła się o różnych zaletach tego konia, zaprowadziła do żywych rozpraw o koniach w ogólności i wzmagala się czasem w sprzeczki, które jednak starszyna przerywał zawsze, miodu do szklanek z blaszanego garnca dolewając i z uprzejmą powagą do biesiadników przemawiając:

— Pijcie, panowie gromada, pijcie! — na zdrowie wam! na szczęście!

Wyraz: panowie gromada, powtarzał się w jego ustach niezmiernie często. Czuł się on głową i naczelnikiem gminy, czyli gromady i lękał się stracić najmniejszą sposobność przypomnienia o tém wszystkim. Chłopi głowami mu na podziękowanie skłaniali i zielonawe szlanki do ust nieśli. Klemens tylko nie pił i w rozmowie udziału dotąd nie brał. Młodym był, nieżonatym jeszcze, gospodarstwa swego nie miał, z ojcem tu przybył i przez niego tylko coś znaczył. Obecność starszyny i zgromadzenie starych, poważnych gospodarzy, onieśmielały go i wstrzymywały od samodzielnego przystąpienia do poczęstunku. Stał tedy za ojcem i, z nad ramienia jego, wychylając twarz swą rumianą i błękitnooką, trochę chciwie, a trochę nieśmiało na półgarncówkę i szlanki poglądał. Filuterne, żywe, a teraz miodem rozweselone oczy starszyny, spotkały się z jego wstydliwym spojrzeniem.

— Aaaa! — zadziwił się ze śmiechem i palcem na parobka wskazał — aaa! panowie gromada! czy *heto* parobek jest czy dziewczyna!

Głowę na obie strony, niby dla lepszego widzenia, przechylał.

— Patrę, patrę i rozpoznać nie mogę! zdaje się że parobek, ale za plecy *bačka* schował się jak dziewczyna i wstydzi się bardzo... Nu *pokażysz*... do stołu podejdź, a to doprawdy pomyślę, że z *mużczyzny* przemienił się w dziewczynę!...

Dowcipkowaniu temu towarzyszył chór grubych śmiechów; Piotr zaśmiał się także i syna ku stołowi popchnął.

— Nu *idzi*, kiedy pan starszyna woła...

Nie tak już bardzo wstydliwym był Klemens, za jakiego poczytał go starszyna. Usta wprawdzie dłonią zakrył, ale wesołemi oczyma wprost na dostojnika gminy patrzył. Ten nalał pełną szlankę miodu i młodemu parobkowi ją podał.

— Pij — zawołał — *kaby* prędkiej wąsy pod nosem wyrosły. — I, wszystkim znowu do szklanek dolewając, powtarzał: — Pijcie, panowie gromada, pijcie!

Pili i śmieli się z Klemensa, który na wspomnienie o wąsach palcami powiódł po złotym puszkę, który mu górną wargę osypywał, a potem głową skinął i raźnie zawołał:

— Na zdrowie, panie starszyno!

— Na zdrowie tobie! — odpowiedział starszyna, a do Piotra rzekł. — W żołdacy nie poszedł? ha?

Piotr z jaśniejącą twarzą odpowiedział:

— A nie poszedł; kiedy na niego pora na losowanie przyszła, Jasiuk jeszcze małoletni był, a mnie już chwala Bogu Najwyższemu, pięćdziesiąty siódmy roczek życia mego szedł.

Brat mały... ojciec stary... znaczy jemu *lgotę* dali i został się w chacie; niech za to Pan Bóg będzie pochwalony...

— Ot i wykręcił się zauważył ktoś z boku.

— Nu szczęśliwy! — dorzucił kto inny.

— A szczęśliwy — powtórzył Piotr — *kab* tylko Pan Bóg we wszystkim tak błogosławił...

Starszyna znowu szklankę miodu szczęśliwemu parobkowi podawał.

— Pij! — wołał — pij i pamiętaj, kto to taki ten, co ciebie *trachtuje!*

Chłopak zawahał się, na ojca spojrzął, ale Piotr, którego zaszczyty wszelkie zawsze przyjemnie głaskały, rad zresztą ze skromnego dotąd zachowania się syna, szturchnął go w łokieć i zachęcił.

— Pij, kiedy pan starszyna każe...

Zupełnie już ośmielony i bardzo rozweselony, Klemens, nie poniósł tym razem szklanki wprost do ust, ale podniósł ją w górę z takim gięstem, że aż część miodu wylała się z niej na stół, przytém sam podskoczył...

— *Kaby* tak koń brykał! — zawołał i dopiero szklanicę do dna wychylił. Koncept ten podobał się otaczającym, którzy także szklanki swe nad głowy podnosząc, jedni po drugich powtarzali.

— *Kaby* tak koń brykał, panie starszyno, *kaby* tak koń brykał!

Stosowało się to do konia tego, którego dziś od Piotra kupił starszyna. Wesoly z natury, a może i interes w tém swój mający, Anton Budrak, starosta Suchej Doliny, krzyknął na arendarza jeszcze o garniec miodu. Teraz on starszynę i całą kompanię wzajemnie poczęstuje. Kilka głosów ozwało się:

— *Nie chcemo bolsz* miodu; kiedu *trachtujesz*, to wódki dawaj!

Budrak krzyknął o wódkę, a starszynie, który miód wołał, trunek ten do szklanki lejąc, zaczął:

— *Jenteres* jest taki, panie starszyno. *Chcemo* proces o te grunta i łąki zacząć... *Kaby* dawność nie *zaszła*... co wiecie o tém, to gadajcie... może cokolwiek nam poradzicie... *Jenteres* jest taki...

I choć już wiele miodu, a trochę wódki wypił, dość przytomnie jeszcze ważną dla całej wsi sprawę opowiadać zaczął. Ale Piotr przebił mu mowę i głos przed starszyną zabrał. Maksym Budrak i trzej Łobudowie jednemu i drugiemu przerywali, z czego zrobił się wielki chaos głosów i słów. Ale starszyna do publicznych rozpraw był już nieco zaprawionym.

— Po kolei, panowie gromada — zawołał — po kolei *hawarycie*. Wprzód jeden, potem drugi, a ja będę słuchać. Ja między wami wszystkimi *najwyższejszy* i wscyscy wy do mnie jak do ojca...

— Jak do ojca! — chórem wszyscy potwierdzili, a w tym momencie pijany Szymon przytoczył się ku starszynie i, w łokieć go całując, zaczął:

— Ja do was, panie starszyno, jak do ojca... gospodarstwa nie sprzedawajcie... *horkaja* bieda mnie i dziatkom moim...

Parę pięści wyciągnęło się i odepchnęło pijaka, który też krokiem chwiejnym połaż ku arendarzowi, mrucząc.

— Chackielku, wódki daj... kiedy Boga boisz się, jeszcze ze dwa kruczki daj... jeszcze z parę złotych mam... zapłacę... *Horkaja* bieda...

Klemens, ujrawszy, że pomiędzy starszyną i gospodarzami zanosi się na poważną rozmowę o interesie, wysunął się z tego grona i poszedł do innego, które przed kominem składało kilkanaście kobiet. Jadły one także to, co z domów przywiozły, o targu dzisiejszym rozmawiały, sprzeczały się, lub różne swe troski wzajemnie sobie opowiadały. Przy zbliżeniu się Klemensa, w gromadce téj wnet rozległy się piskliwe krzyki i chichoty. Dwoma szklankami miodu rozweselony i uzuchwalony parobek, znajomą jakąś molodycę z Suchej Doliny w ramię uszczypnął, a drugiej coś takiego do ucha powiedział, że zaczerwieniła się jak piwonja i twarz ręką od niego zasłoniła. Inne starsze, niby gniewając się, niby żartując, pięściami go odpychały i krzyczały, aby sobie do mężczyzn szedł. Wkrótce jednak ucichły wszystkie i, wspinając się na palce nóg, jedne przez drugie patrzeć zaczęły na przedmiot, który parobek z za siermięgi wyjął i im pokazywał. Przedmiotem tym był

spory obrazek, przedstawiający jakąś świętą i oprawiony w ramki, pokryte złoconym papierem. Święta miała czerwoną szatę, złotą koronę nad głową, a w ręku trzymała błękitną palmę. Grubo nakładane jaskrawe farby obrazka i lśniący przed ogniem pozłota ramek, wprawiły grono kobiet w pełen zdumienia zachwyty. Szeroko otwierały oczy i usta, patrzyły, lubowały się i dopytywać się zaczęły, czy Klemens dla siebie, śliczną i świętą rzecz tę kupił, czy dla kogo innego? On wiedział dobrze, dla kogo obrazek ten kupił, ale nikomu o tym nie powiedział i zanośliwie śmiejąc się z ciekawości i chciwości, które malowały się na twarzach bab, znowu go za siermięgę schował. W tym z gromady gwarzącej i pijącej u okna, zawołał go mały, ruchliwy, z zadartym nosem człowieczek, wpół z chłopską a wpół już ze szlachecką ubrany, leśnik z poblizkiego dworu, który dziś u ojca jego krowę kupił.

— Klemens! — wołał — hej, Klemens! wypijno z nami. Żeby krowie zdrowo było!

Wychylił podaną mu czarzkę i, w szal wesołości wpadając, ku stojącej w kącie beczce poskoczył, przechylił ją i znajdującą się w niej wodę na podłogę wylał.

— *Kaby* krowa tyle mleka dawała — krzyknął!

Grzmot śmiechu zatrzęsł izbą, kobiety piszczały, spodnice podnosiły i do przeciwnych kątów uciekały. Szeroki strumień wody od ściany do ściany płynął, niosąc po spadzistościach nierównej podłogi, rzucone wprzód na ziemię skorupki jaj, lupiny ogórków, głowy i ogony śledzi. Klemens zniknął w wirze kilkunastu chłopów, którzy go z czarkami w rękach otoczyli, a pomiędzy którymi był także Szymon, pociągający go wciąż za rękaw i z czarką w ręku mruczący...

— Pożycz *broszy*, Klemens, *zmiłuj*śia pożycz... choć złotówkę... wszystkie swoje już przepił... *Horkaja* dola mnie i dziatkom moim...

Zmrok zapadł zupełny. Posługacze karczemni, postawili na stolach, w różnych miejscach izby, trzy cienkie łojuwki w mosiężnych i otłuszczonych lichtarzach.

Stepan Dziurdzia głośno do tej pory przywodził w niewielkiej jakiejś gromadce, widocznie uszczęśliwiony tym, że choć raz, gdziekolwiek i komukolwiek mógł przywozić. Kiedy błysnęły światelka łojuwek, spostrzegł on starszynę, otoczonego mieszkańcami Suchej Doliny i poważnie coś do nich prawiącego. Na brązową, pomarszczoną twarz Stepana, wybijały się rumieńce, pochodzące od żywych rozpraw, w których rej wiódł i od wódki, którą wypił. Zaciekawilo go jednak, o czym też sąsiedzi ze starszyną rozprawiają i, przysunawszy się ku grupie, którą składali, słuchać zaczął.

— Tak już trzeba, panowie gromada — prawil starszyna — inaczej nie można, bez tego już nic. *Planipotentów* sobie wybieriecie, żeby od was wszystkich do miasta poszli i *hadwokata* najęli, *piérwsza* rzecz *planipotentów* wybrać... a druga *hadwokata* nająć. Całą gromadą nie będziecie do *hadwokata* i do sądu chodzić... *Planipotenty* wasze będą chodzić... którego tam dnia do starosty zejdźcie się wszyscy i naradę zróbcie: kogo wybrać? kto u was najmądrzejszy i na największe *uważanie* zasługuje!

Dziurdziowie, Budrakowie, Łobudowie i kilku innych przed siedzącym starszyną stali, uważnie słów jego słuchając. Gdy skończył, parę głosów ozwało się:

— Na co nam na później odkładać. My i teraz wybór zrobić możemy... niechaj pan starszyna świadkiem będzie.

— Ale — potwierdzili inni — możemy, czemu nie możemy...

— Nie wszyscy my tu — ktoś zaprotestował.

— Nic nie szkodzi. Co my *tut* postanowim, na to zgodzą się wszyscy — twierdził starosta Suchej Doliny, Anton Budrak.

— A ile tych *planipotentów* trzeba? — zapytał Piotr.

— Trzech — odpowiedział starszyna; — więcej nie trzeba, ale trzech, to już konieczne trzeba.

Stepan w tej chwili pociągnął Piotra za rękaw i szepnął.

— *Skaży*, Pietruk, żeby mnie na *planipotent*a wybrali...

Ale kilkanaście głosów szept jego zagłuszyło.

— Najpiérwéj to już starostę prosim...

Okrągła, pulchna, z konopiastym wąsem i zadartym nosem twarz Antona zajaśniała nakształt księżycy w pełni.

— Dobrze — odpowiedział — będę, czemu nie będę? A więcej kogo?...

Stepan już pięścią całą w bok Piotra uderzył.

— Nu, odezwił się... *skąży*, żeby mnie wybrali...

Oczy mu aż gorzały żądzą odznaczenia, a może i przywiązanej doń ruchliwej czynności. Ale chłopci plenipotentem drugim obwoływali starego Łobudę, który, drapiąc się w łysinę, prosił, aby go od *chłopotów* tych uwolnili, a obciążyli niemi lepiej którego z jego synów. Najstarszy, Pilip, oświadczył sam, że nie odmówi, choć mu ciężko będzie gospodarstwo opuszczać i do miasta jeździć, ale nie odmówi.

— Niechaj *budzie* Pilip — zgodzili się chłopci.

— Nu, a trzeci — zapytał starszyna.

— Trzecim niechaj już będzie Pietruk Dziurdzia...

Piotr wyprostował się tak, jak kiedyś, gdy go za starostę wybierano i z rozjaśnioną twarzą za *uważanie* podziękował. Stepan, znowu go pięścią w bok uderzał.

— *Skąży*, Pietruk, żeby za czwartego mnie obrali...

Piotr, rękę do włosów z zakłopotania niosąc, odezwał się jednak:

— Może-by na czwartego Stepanka wybrać...

— Nie trzeba czwartego — zakrzyczano go ze stron wszystkich, — pan starszyna powiedział, że trzech trzeba, więcej nie trzeba...

— To może na moje miejsce Stepana obierzecie, — zaproponował Pilip Łobuda; — i *ouszem* — dodał — mnie ciężko będzie i nie chce się...

— Nie *chcemo* Stepana! — krzyknęli wszyscy — na co nam on? z drugimi *planipotentami* tylko klócić się będzie... o piérwszeństwo i o wszystko...

— Jeszcze *hadwokata* wybije — ozwał się ktoś ze śmiechem.

Stepanowi krwiste rumieńce buchnęły do twarzy, w sam środek gromady wparł się i hałasować począł. Dowodził, że wybory nie były prawne, bo wszyscy gospodarze Suchéj Doliny nie byli tu obecni, że jego na *planipotentę* wybrać muszą, a jeżeli nie, to on do sądu pójdzie... Wszczęła się kłótnia i przyszło-by pewnie do pięści, ale starszyna podniósł się z ławy i na Stepana krzycząc zaczął, grubych wyrazów i przezwisk nie żałując. Czuł się on osobiście obrażonym.

— Co to nieprawne? — krzyczał — kiedy ja tu jestem, to wszystko prawne? ja tu *najwyższy* i wszystko stanowić mogę... jeżeli zechcę, ulaskawię, a jeżeli zechcę, do *katorgi* ześle...

Stepan zmieszał się na chwilę, ale wnet potem z zawadyacką miną na arendarza o garniec wódki krzyknął i, wraz z kilku przyjaźniejszymi sobie ludźmi, opodał nieco od starszyny, zawzięcie pić zaczął.

Piotr tymczasem trunkiem rozmarzony, spadłym nań zaszczytem rozweselony, z kolei częstował starszynę i sąsiadów.

— *Dziakuju!* panie starszyno! *dziakuju*, panowie gromada! — nieustannie powtarzał, a potem, stanąwszy przed Antonem Budrakiem, z czarką w ręku i przymrużonemi oczyma, mówił.

— Ty *planipotent* i ja *planipotent*, ty starosta i ja starosta... tak i *pocahujmy* *sia*...

Całowali się tak głośno, jakby korki z butelek wyskakiwały...

Ogólna zresztą pijatyka dosięgła w tej chwili stopnia wysokiego, ale odznaczała ją szczególność pewna. Ludzi, którzy-by, tak jak Szymon Dziurdzia, upijali się na swoją rękę i bez przyczyny żadnej, było bardzo niewiele. Ogromna większość piła na zabój, ale z powodu traktamentów i okazji, a okazją było tu wszystko: koń sprzedany, krowa kupiona, spotkanie się znajomych, pogodzenie się skłóconych, wspomnienie o ojcu, który rok temu umarł, projekt ożenienia syna, lub wydania za mąż córki. Wesole czy smutne zdarzenie, zysk czy strata, przyjaźń czy kłótnia, nadzieja czy żal, wszystko wywoływało traktament, po wiele razy z kolei odwzajemniany. W izbie panował niesłychany chaos głosów, na przeróżne tony nastrojonych i poruszeń, przeróżne stopnie i natury pijactwa objawiających. W jednym miejscu izby toczyła się bójka, zakończona wypchnięciem za drzwi zwyciężonych, w innym, przyciskano do ściany żyda-arendarza, który krzyczał ze strachu, to znów lają chłopów, przeraźliwie go lających, gdzieindziej dwaj parobcy, ująwszy się pod boki, do dwóch rozsierzdzonych kogutów podobni, kołysali się przed sobą, monotonnym głosem, wymawiając wciąż jedne i te same słowa. Kilku mieszkańców Suchéj Doliny, z czarkami w rękach, lazło całować starszynę, który, także mocno podpiły, rozparł się na ławie i tak już wielką swą czapkę głęboko na twarz nasunął, że samę

prawie rudę brodę z pod niej widać było. Chłopi jednak dostawali się mu do policzków i, cmokając w nie, powtarzali.

— Ty z nas *najwyzszejszy*, ty nad nami wszystkimi, jak ojciec...

Szymon przeciwnie, podszedł teraz do niego z miną zawadyacką:

— Ty mnie gospodarstwa opisywać nie śmieć! — Krzyczał, — bo jak opiszesz, zabiję... dalibóg zabiję... choć ty starszyna, a taki zabiję... i *budzie* tobie *szabasz!*

Piotr Dziurdzia stał naprzeciw Maksyma Budraka.

— U ciebie córka — prawil — a u mnie syn... niech będzie pochwalony Pan Bóg *najwyzszejszy*. — A Budrak jednocześnie mówił:

— U ciebie syn, a u mnie córka... Czemu nie ma być woli bozkiéj... będzie... tylko swatów przysyłaj...

— Przysyłaj! — twierdząco powtórzył Piotr i, podnosząc w górę wskazujący palec, z namaszczaniem zaczął znowu:

— U ciebie córka, u mnie syn... niechaj *jak toj kazau*, boska siła przewycięży czartowską siłę...

W tém Klemens ojca za rękaw kożucha pociągnął:

— *Jedziom* do chaty, tatku, — cienkim, proszącym tonem zapiszczał.

Był także pijanym ale jeszcze dość przytomnym. Zachciało mu się wracać do domu, aby co prędzej Nastce obrazek oddać. Piotr spojrział na syna, zdziwionemi jakby oczyma i z gniewem krzyknął.

— A ty chory był! tylko co nie umarł! *Czartowskaja* siła chorobę tę tobie robiła...

Klemens splunął.

— *Kab* ona świata nie widziała, ta co mnie téj biedy narobiła! *Jedziom* do chaty, tatku!

I za rękaw od kożucha ciągnął ku drzwiom ojca, który, dając się powodować synowi, na Maksyma oglądał się i krzyczał.

— Pamiętaj, Maksym! u ciebie córka, u mnie syn... Niechaj przed królestwem niebieskiém przepadnie czartowskie królestwo...

Przy samym progu ojciec i syn natknęli się na Szymona.

— A ty czego tu jeszcze łajdaczysz! — krzyknął na krewnego Piotr; — do chaty tobie... a to ostatnią kopiejkę przepijesz...

— Już i przepił... — wnet prawić zaczął Szymon — już to co za żyto i groch wziął do ostatniej kopiejki przepił... już i *szabasz* mnie i dziatkom moim...

Wychodząc Piotr i Klemens, wypchnęli sobą Szymona naprzód do sieni, a potem na placyk, odkryty jeszcze chłopskimi saniami i końmi, choć część pewna biesiadujących, rozjechała się już przed tém. Tu zobaczyli Stepana, który z szyi konia swego worek zdejmował i zabierał się do odjazdu.

— Hej, *dziadźku* — krzyknął Klemens — poczekaj, razem pojedziem...

Stepan miał pijaństwo ponure i złośliwe; za całą odpowiedź zaklął przez zęby, a potem do Piotra krzyknął:

— A taki, szelmo ty, ja *plenipotentem* będę... słyszysz?

— A ty nie łaj się... bo niema za co... niechaj będzie pochwalony Pan Bóg *najwyzszejszy*, na wieki *wiekou*... — odpowiedział Piotr...

Szymon lał także do sań swoich, mrując.

— Nie dała... szelma wiedźma hroszy nie dała... *kab* ona tego świata nie oglądała... a teraz tobie i dziatkom twoim *szabasz!*

Troje sań Dziurdziów, z których pierwsze zajmowali Piotr z Klemensem, jednocześnie od karczmy odjechały i, drobnym truchcikiem chłopskich koni przesunawszy się przez miasteczko, znalazło się wkrótce pośród śniegiem usłanych pól.

Zimno! Mróz nie duży, dziesięć stopni może, nie więcej, ale wiatr silny dmie i z ziemi podnosi tumany śniegu Z góry téż śnieg pada, drobnutki jak pył, twardy i gęsty. Księżyc świeci, ale nie widać go za białymi chmurami, które ociągnęły całe sklepienie nieba i choć noc ciemną nie jest, mało co widzieć można przez tę mgłę, śnieżną, która pada z góry i podnosi się z nad ziemi. Wiatr ją skręca w kłęby, lub wielkimi płachtami rozpościera w powietrzu, a światło księżyca z-za białych obłoków przenika ruchome jój wnętrze białą światłością, która nie oświeca nic.

Sześć wiorst tylko dzieliło miasteczko od Suchéj Doliny i cała prawie prowadząca doń droga wysadzona była drzewami. W śnieżnej mgłę, drzewa te szarzały nakształt błędzących

po polu widm, ale Dziurdziowie rozpoznawali je od czasu do czasu i, zacinając konie, coraz więcej przestrzeni za sobą pozostawiali. Żaden z nich nie spał. Piotr czasem z akcentem nabożeństwa wdychał, lub coś szeptał; Klemens kilka razy gwizdać rozpoczynał; Stepan konia swego głosem ponurym do pośpiechu zachęcał; Szymon, na saniach swych leżąc prawie, stał się dziwnie rozmownym i krzykliwym. Szumiący i gwizdzący wiatr słowa jego zagłuszał, on jednak, nie dbając o to, czy jest przez kogo słuchanym, wykrzykiwał, komuś odgrażał się, na coś żalił się i kogoś przeklinał. Nagle, Klemens zawołał.

— Ot i Pryhorki

Taką nazwę nosiło wzgórze, obrosłe dębowym i brzozowym lasem, a o półtoręj wiorsty może oddalone od wysokiego krzyża, od którego już krótki tylko i prosty kawałek drogi do Suchej Doliny wiódł. Ztąd już przestrzeń paru zaledwie wiorst rozdzielała ich ode wsi, ale tu także znikaly drzewa przydrożne a otwierała się gładka równina, wzdęta tylko przed samym już krzyżem kilku niskimi pagórkami, których w śnieżnej zamieci zupełnie widać nie było.

Minęli Pryhorki i nic już przed sobą nie widzieli. Białe i białe: na niebie, ziemi i w powietrzu. Śnieg i śnieg wszędzie, ani drzewa, ani wiorstowego słupa, ani żadnego wzgórze. Klemens skręcił lejcami na lewo. Sanie zaryły się zrazu w śniegu.

— Gdzie ty pojechał? — zaszemrał Piotr.

— Dobrze, tatusiu, tak trzeba — odparł parobek i raźnie zagwizdał. W gruncie rzeczy gdyby go kto zapytał, dla czego zawrócił na lewo, kiedy od Przyhorek do Suchej Doliny, droga wyciągała się prosto jak struna, nie umiał-by odpowiedzieć. Był pewnym, że wcale nie zawracał i w potrzebie uroczyście by to zaprzysiął.

Tamci dwaj nie kierowali wcale końmi swemi. Obaj na wznak na saniach leżeli. Stepan ponuro milcząc i jakby wsłuchując się w szmery wiatru; Szymon, wciąż gadając i wykrzykując. Jechali. Konie czasem tonęły w śniegu i wydostawały się z trudnością, czasem na gładziej przestrzeni biegly sobie truchcikiem, czasem też pod płozami sań czuć było zagony, które wiatr gołocił. Nie drogą jechali ale polem i nie zwracali na to żadnej uwagi, dopóki znowu nie zamajaczyły przed ich oczyma wzgórze i las Przyhorek.

— A toż co? — zawołał Klemens — znów Pryhorki?

— Aaa! po jakimu ty jedziesz? — zadziwił się Piotr.

Wyrwał lejce z rąk syna i, chcąc uczynić całkiem przeciwnie temu, jak uczynił tamten, konia na prawo skręcił.

— Nie tak! — z sań swoich krzyknął Stepan.

— Tak! *nibójs*, tak! — odkrzyknął mu Piotr i jechał znowu dopóty, dopóki koń Piotra nie zagłębił się po kolana w jakimś rowie.

— Aaa! — zadziwił się chłop — taki znów nie tak pojechali!

I z niewielką trudnością, wołaniem i ściągnięciem lejców wyrwawszy z rowu tęgiego konika, zawrócił nazad. Dwoje sań innych zawróciło także, ale w ten sposób, że Szymon teraz znalazł się na przedzie. Jechali i jechali, aż znowu Stepan, z sań swoich do Piotra krzyknął:

— Znów Pryhorki!

— Pfu! zgiń, przepadnij nieczysta siło! — splunął Piotr i na Szymona zawołał.

— Skręć nazad!

— *Naszto* mnie nazad, kiedy tak dobrze! — odpowiedział nowy przewodnik.

— Może i dobrze! czy ja wiem — mruknął Piotr.

Klemens trząść się zaczął i dzwonić zębami.

— Tatusiu, — odezwał się, — mnie zdaje się, że znów ta choroba mnie bierze!

Choroba go nie brała, ale nieprzyzwyczajonego jeszcze do trunków, głowa od upicia się boląc zaczęła, a wicher przenikał kożuch i chłodem wdzierała się aż do szpiku kości. Piotr splunął znowu i szeptać zaczął:

— Panie niebieski, królu ziemski, zlituj się nad nami grzesznymi!...

— Zawracaj! — krzyczał teraz na Szymona Stepan, — zawracaj, Szymon! Nie widzisz, że nad staw pojechali!

Rozpoznał wśród śnieżycy cienie drzew, rosnących nad brzegiem stawu. Potężny głos jego przebił się przez szum wiatru i dosięgnął uszu Piotra, który wnet konia zawrócił. Za nim zawrócili się dwaj inni.

Godzina przeszło upłynęła, odkąd w pół tylko przytomni i śnieżną zamiecią oślepieni, krążyli tak po równinie, zwracając się w różne strony i niemogąc trafić na drogę, którą po razy wiele, w różnych już punktach wszczepiali.

— Czort tuman w oczy puszczał! — odezwał się Piotr.

— Ale, — potwierdził Klemens, coraz więcej trzęsąc się od zimna.

Stepan do siebie zamruczał:

— Przyjdzie się człowiekowi jak psu zmarznąć.

A po chwili dodał:

— Jakby mnie nie stało, to ta *niehodna* ze wszystkiém by już Kaziuka zamęczyła...

I westchnął.

— A Szymon na swoich saniach lamentował.

— Oj, *borkaja, borkaja* dola mnie i dziatkom moim!

W tém Klemens podniósł się trochę na saniach i tonem wielkiego przestachu krzyknął:

— Znów Pryhorki...

Piotr podniósł się także i wzrok wyteżył.

— A jakże! Pryhorki, — potwierdził. — *Czort* wodzi, taki już nie inaczej... Czort uwziął się dziś na nas, tuman w oczy rzuca i wodzi...

— Po jedném miejscu wodzi... — zauważył Klemens.

— Ale, po jedném miejscu. Czort, nie inaczej... złaż z sań...

Wysiadł z sań i syna wołał:

— *Budziem* drogi szukać...

Wysiedli obaj, a nadjeżdżające sanie Stepana z temi, które się zatrzymały, zetknęły się tak blisko, że płozami zaczęły się o ich płozy.

— *Chadziom* drogi szukać... — krzyknął Piotr na Stepana i Szymona.

Wszyscy czterej brnąc w śniegu postąpili kroków kilka, wtém Klemens zawołał:

— *Baczysz*, tatku, *baczysz?* (widzisz?).

Rękę wyciągał do szarzejącego, ruchomego cienia, który teraz właśnie wychylił się z za lasu Pryhorek i dość zblizka, powoli, przesuwając się w śnieżnej mgle.

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnał się Piotr — zgiń, przepadnij nieczysta siło...

Stepan najodważniejszy parę kroków jeszcze naprzód postąpił.

— Czort czy baba... — wahającym się głosem wymówił.

— Baba... — zaczął Szymon — szelma baba, *broszy* nie dała, wiedźma ta... ja jój jak matki prosił... Oho! poczekaj!

I puścił się naprzód. Po paru sekundach, całą siłą swych pijanych nóg, ku zarytom w śniegu saniom powracał. Przypadł do swoich sań i, sapiąc, klnąc, wyciągać z nich zaczął jeden z poprzecznych drągów, składających siedzenie i przykrytych słomą.

— Ona sama — belkotał — wiedźma ta... czortowa przyjaciółka... kowalicha *proklataja*... *broszy* nie dała, a po nocy ludzi na zmarznięcie wodzi...

— Ona! znów ona — krzyknął Piotr i także poprzeczny drąg z sań wyciągać zaczął.

— Niechaj czartowska przepadnie przed bozką siłą... niechaj bozka siła przewycięży czartowską siłę... *Pobana* dusza jój... synka mnie zgubić chciała, a teraz znów na polu zamrozić... nie doczekanie jój...

— Czego ona do naszej familii przyczepiła się i prześladuje... — krzyknął Klemens. — Czy to już moja młodzieńka głowa przepadać ma przez nią?...

Stepan tchu z ust nie wypuszczał, ale także poprzecznice z wozu wyciągnął... W napelniających świat białych ciemnościach, twarze ich niewidzialne były, ale z grośnych sapań ich piersi, z ponurych mruceń i pijanych wykrzyków, bił wzbierający wulkan namiętności najsroźszych, trwogi i zemsty. Minuta upłynęła, a wmgłę śniegowój o kilkanaście kroków od trojga skupionych z sobą sań zaciemniała szamocąca się gromadka ludzi i wzniosły się krzyki i jęki straszne, które jednak wichur przykrywał swym szumem i wraz z pogwizdami swemi niósł na szerokie, burzą huczące pola...

Pięć minut upłynęło, a wielka fala wiatru, rozsuwając na chwilę mgłę śnieżną, ukazała drogę, jak struna prosto wyciągająca się w przestrzeni, a na téj drodze, troje sań, na których siedzieli czterej chłopci. Czartowską moc zniszczyli i drogę znaleźli. Konie zacięli, przeciągłemi głosy na nie zawołali, szybko posunęli się gładkim szlakiem drogi i w gęstych znowu zamieciach śnieżnych zniknęli. Za nimi Pietrusia, żona Michała kowala,

nieruchomą plamą ciemniała na białej ziemi. Kijami połamali jęj piersi i zębra, młodą twarz krwią zaleli i zostawili na pustém polu, na szerokiém polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukóm na strawę.

ZAKOŃCZENIE

W sali sądowej gorąco od ścisiku i światel. Od długich rozpraw i późnej godziny nocnej, ciężkie znużenie napelnia powietrze. Drzwi szczelnie zamknięte i pilnie strzeżone otwierają się nakoniec. Z głuchym szmerem powstaje z miejsc swych publiczność; obwinieni podnoszą się także w swęj ławie. Długim szeregiem sędziowie przysięgli opuszczają miejsce swych obrad; jeden z nich, w postawie pełnej powagi, donośnym głosem odczytuje cztery pytania, z których każde stosuje się do jednego z obwinionych, a zakończone być ma odpowiedzią bardzo krótką: winien, nie winien.

Cztery razy w głębokiej ciszy, po rzęsiście oświelonej i tłumem ludzi napelnianej sali, donośnie rozbrzmiewa wyraz:

— Winien, winien, winien, winien.

Po krótkiej przerwie, głos inny donośnie ogłasza wyrok:

Piotr, Stepan, Szymon i Klemens Dziurdziowie, skazani na pozbawienie wszelkich praw stanu, dziesięć lat ciężkich robót w kopalniach i dośmiertne pozostanie w Syberyi.

Skazańcy słuchali, słuchali. Głos ogłaszającego wyrok umilkł... Stało się. Po bladej jak chusta twarzy Piotra, jedna za drugą ciekły łzy, ciche, ciężkie, a ręce jego podnosiły się zwolna i splatały u piersi.

— Panie niebieski, *krolu* ziemski, niech *budzie* wola twoja jak w niebiesiech tak i na ziemi — wymówił głośno, wyraźnie i zapatrzył się w górę.

Stepan ani drgnął, tylko na zmiętą w tysiąc zmaszczek twarz jego, spadł krwisty rumieniec, a z czarnych oczu strzeliła rozpaczna i zarazem groźna błyskawica.

Szymon pozostał jak był, z obwisłemi rękoma, otwartemi usty i mokrym, osłupiałym wzrokiem. Zdawać się mogło, że wszystko na świecie było już mu obojętném, albo że nawet nie rozumiał wcale, czém odtąd miała mu być przyszłość.

Ale za tym pijakiem i głupcem podniosły się w górę dwa silne, młodzieńcze ramiona i dwie dłonie, które nie miały jeszcze czasu stwardnieć i zczernieć w pracy, konwulsyjnym ruchem wpiły się w gęstwinę płowych jak len włosów. Włosy swe w obie garście Klemens pochwycił i głośnym płaczem ryknął...

Potém po jednemu, ławę swoję opuszczać zaczęli i powoli, ciężko stąpając, z kolei wchodzili w niskie drzwi, które otworzyły się przed nimi, a za którymi widać było boczną sień budynku, ciemnością swą odbijającą czarno od rzęsiatego oświelenia sali. Z powodzi światel, jeden po drugim wstępowali oni w tę czarną ciemność, za ostatnim z nich zniknęli dwaj zamykający pochód zbrojni żołnierze. Niskie drzwi zamknęły się zwolna, bez szelestu...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dziurdziowie/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Dziurdziowie. Powieść, własność, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1888.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Rachel Samanyi@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0614-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).